

LORD TERROR

#10



**TEOLOGIA WYZWOLENIA * UNABOMBER *
ANARCHISTYCZNA KRYTYKA MARKSIZMU * FILOZOFIA
PRAW ZWIERZĄT * ANARCHIZM W ROSJI * ZROZUMIEĆ
SPEKTAKL * ANARCHISTYCZNA SYMBOLIKA**

Witajcie

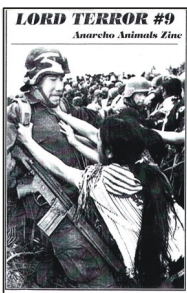
To już dziesiąty więc jubileuszowy numer naszego pisemka. Mamy tylko nadzieję, że uda nam się pozostać z wami przez kolejne lata. Dziękujemy że nadal nas czytacie.

Łódzka Biblioteka



Za-

prasza
do korzystania ze swoich zbiorów
pon. 17:30-20:00
lub po uzgodnieniu telefonicznym
tel. 0605065148 (prosić Maćka)
maciek@riseup.net

LORD TERROR #9**anarcho animals zine**

Panarchia - potoniona koncepcja
Machnowszczyzna na Ukrainie 1918
Gdy nad Sekową wybuchły bomby
Kabylia
Rasa, podziały klasowe i przemoc wobec kobiet
Seksualne wykorzystanie dzieci
Historia aborcji
Mały w EL-Al
Przeciw wojnie
Co z tego jest w konsumpcyjnej i
Wolności owa krytyka globalizacji ekonomicznej
Revolucja anarchizyczna w Hiszpanii
Na ile starzy nam sił?
Beścia
Człowiek i otóż ludzka
Vegetarianizm
Narkotyki a współczesny ruch wolnościowy
i inne

Powrót po latach. A4 40 str./5zł+6 poczt./Płatne przy odbiorze listu na pocztę.
Zamówienia: ezln@ezln.prv.pl lub listownie/kartka pocztowa z namiarami/ na adres
Centrum Inicjatywy Lokalnej P.O.Box 203 90-950 Łódź 1

LORD TERROR # 8**anarcho animals zine**

Czy Kropotkin kochał zwierzęta? Granice moralności.
Anarchista Leon Czolgasz – zabójca prezydenta USA
Proces Rewolucyjny i ALF
Głos w sprawie Aborcji
Milicja Praw Zwierząt
Tutaj jest wielka rewolucja etyczna
Powstanie w Kronstadiem
Słowniczek Autorytarnej nowomowy
Prymitywizm
Szybkie jedzenie? - nie dziękuję
Leszek Kołakowski – autorytet moralny?
Proces Sacco i Vanzettiego
Noam Chomsky o kapitalizmie
Czy tylko globalizacja?
Edukacja czy indoktrynacja?
Idee Kooperatywności
Krzywdy zwierząt jako problem moralny
i inne

Powrót po latach. A4 40 str./4zł+6 poczt./Płatne przy odbiorze listu na pocztę.
Zamówienia: ezln@ezln.prv.pl lub listownie/kartka pocztowa z namiarami/ na adres
Centrum Inicjatywy Lokalnej P.O.Box 203 90-950 Łódź 1

Spis Treści

Teologia Wyzwolenia	3
USA Izrael Palestyna	5
Unabomber	7
Anarchizm jako nieodłączna część ...	9
Anarchistyczna krytyka Marksizmu	10
List Durrutiego	12
Wojownicy Tęczy	13
Filozofia praw zwierząt	14
Dobrodziejstwo czy plaga	15
Zdroworozsądkowe powody ...	16
Żeby wilk był syty i owca cała	17
Sceny strajkowe z dziejów Francji	18
Pracownicy przejmują zakład	18
Warcy	19
Anarchizm Rosyjski	21
Anarchistyczna Sybolyka	24
Paradygmat do muzeum	28
Zrozumieć spektakl	29
Marsz Zapatystów	31
Antyszczyt w Warszawie	35
Święto Łodzi	36
Geora Busha wojna z demokracją	37
Powszednie piekło Czecheni	38
Jak mówić prawdę i popaść w kłopoty	39

LORD TERROR #10

Na okładce: konflikt zbrojny w Chiapas

Kolektyw Redakcyjny: Seksa, Sebastian Glica, Łukasz Kutylko

Współpracownicy: Andrzej Obuchowski, Lele, Maciek

Skład: Seksa

Kontakt: Centrum Inicjatywy Lokalnej P.O.Box 203 90-950 Łódź

ezln@ezln.prv.pl www.lordterror.prv.pl

Nakład: 500 egz.

Teologia Wyzwolenia

„(...) podstawową rzeczą jest wyrazić w zrozumiałych dla mas symbolach, mitach i języku to, czego każda istota ludzka pragnie i co stanowi podstawową humanistyczną perspektywę socjalizmu: zniesienie wyzysku w perspektywie prawdziwego pojednania (społeczeństwo bezklasowe), co jednak koniecznie należy poprzedzić przeprowadzeniem zwycięskiej walki ze sprzecznościami teraźniejszości (walka klas)”.¹

„W Ameryce Łacińskiej być dziś Kościołem to znaczy zajmować jasne stanowisko w odniesieniu zarówno do obecnego stanu niesprawiedliwości społecznej, jak i do rewolucyjnego procesu, który dąży do zniesienia owej niesprawiedliwości i zbudowanie bardziej ludzkiego porządku. Pierwszy krok to przyznanie, że w rzeczywistości stanowisko zostało już zajęte: Kościół jest związany z panującym systemem społecznym. (...) Najlepszym sposobem pozbycia się władzy tego systemu jest właśnie zdecydowanie się na dzielenie losu uciemiężonych i wyzyskiwanych w walce o sprawiedliwsze społeczeństwo.”²

W tym krótkim szkicu – który z oczywistych powodów nie rości sobie pretensji do wyczerpania tematu – podejmę próbę przedstawienia ogólnego zarysu i historii „Teologii Wyzwolenia”. Teologii, która jeszcze stosunkowo niedawno stanowiła dominujący nurt w kościele katolickim Ameryki Łacińskiej. Zagadnienie to wydaje się ciekawe z kilku powodów. Po pierwsze, trzeba je traktować jako próbę zrozumienia przez część kleru kościołów latynoskich tragicznej sytuacji społeczno-politycznej tego kontynentu. Po drugie, Teologia Wyzwolenia jest nurtem starającym się łączyć przesłanie Biblii z działalnością zgola rewolucyjną, w warstwie teoretycznej odwołującą się do swoiście interpretowanego marksizmu. Te związki i konotacje nadają jej szczególnego charakteru powodując, że nigdy nie była ona jednym z wielu nic nie znaczących przejawów działalności kościelnej, obecnym jedynie na wydziałach teologicznych, lecz stała się znanym i szeroko dyskutowanym nurtem w refleksji nad działalnością i miejscem kościołów chrześcijańskich we współczesnym świecie, starając się jednocześnie wprowadzić swoje postulaty w życie.

Czym więc jest Teologia Wyzwolenia, jakie czynniki miały wpływ na jej powstanie i jaki obecnie przybiera charakter? Te wszystkie pytania stają się ważne z jeszcze jednego powodu. W obliczu niezwykle konserwatywnego charakteru pontyfikatu Karola Wojtyły ciekawym jest odpowiedzenie na napytanie: czy w ogóle w kościele katolickim jest dzisiaj miejsce – i czy kiedykolwiek było – na taki nurt aktywności, który można odezwać jako zamach na jego pozycję i strukturę? Na to pytanie również spróbuję odpowiedzieć. W polskiej sytuacji interesującym za to będzie pokazanie, że chrześcijaństwo nie musi wiązać się jedynie z konserwatyzmem, lecz mogą w nim tkwić załaski rewolucyjnych postaw, co jednak – o czym jestem głęboko przekonany – niestety nie ma żadnego wpływu na polski kościół katolicki.

Teologia Wyzwolenia powstała jako wynik wielu różnych czynników, zarówno tych o charakterze religijnym, jak i społeczno-politycznym. Czynnikiem tych jednak nie należy absolutnie analizować oddzielnie, lecz są one pokłosiem określonej sytuacji Ameryki Łacińskiej i prób odnalezienia się w niej chrześcijaństwa³. Jaka więc była sytuacja Ameryki Łacińskiej w chwili powstania Teologii Wyzwolenia?

Myszę, że dla każdego w miarę interesującego się otaczającym nas światem człowieka odpowiedź na to pytanie nie nastęrczą praktycznie żadnych trudności. Ameryka Łacińska to kontynent niebywałego wręcz wyzysku, wyzysku, którego ofiarami były i są szerokie masy społeczne. To kontynent zinstytucjonalizowanej przemocy, zarówno państwowej, jak i kierowanej przez miejscowe oligarchie. To w końcu kontynent poddawany nowemu kolonializmowi, szczególnie ze strony Stanów Zjednoczonych. Oczywiście można tezy te potraktować jako szeroko znane slogany, lecz trudno zanegować przedstawioną w nich rzeczywistość tego kontynentu. Ramy tego szkicu ograniczają możliwość przedstawienia bardziej dokładnych danych na ten temat, ponadto są to informacje powszechnie znane, o których wielokrotnie wspominała prasa i publikacje niez-

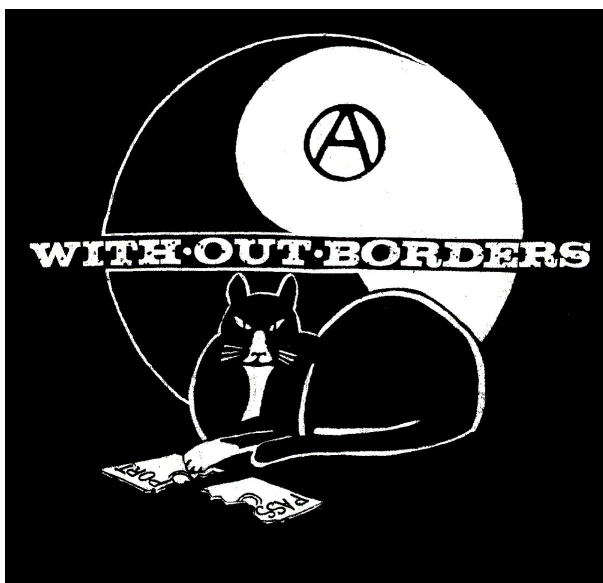
ależne⁴. W tym miejscu trzeba jednak wspomnieć, że niezwykle ważnym czynnikiem dla społecznego charakteru tego kontynentu jest kolonizatorska polityka Stanów Zjednoczonych. Praktycznie bez końca można przedstawiać interwencje USA w krajach obydwu Ameryk – interwencje bezpośrednie, jak i pośrednie, chociażby przez wspieranie przewrotów wojskowych, bronienie oligarchii, czy szkolenie miejscowych służb specjalnych w „umiejętnym” stosowaniu tortur. Nie może to jednak dziwić, gdyż już od 1823 roku Stany Zjednoczone traktują obydwie Ameryki jako sferę swoich wpływów, przypisując sobie rolę jedynego hegemonu⁵. Efektem tego była chociażby wojna z Hiszpanią o Kubę, co zaowocowało uczynieniem z tego kraju na ponad pięćdziesiąt lat „burdelu” USA, jak i szereg interwencji, zarówno zbrojnych, jak i nieoficjalnych, w celu instalacji posłusznych sobie reżimów. Salwador, Grenada, Nikaragua, Honduras, Chile, Panama, Haiti, Kolumbia to tylko niektóre ofiary takiej polityki z ostatnich lat⁶. Nie można również zapominać o układzie NAFTA, będącym kolejną próbą jeszcze większego podporządkowania ekonomicznego takich

roli i miejsca chrześcijaństwa, co zaowocuje powstaniem chociażby „Teologii Śmierci Boga”, „Teologii Nadziei”, „Teologii Rewolucji”, czy ruchu księży robotników, na którego powstanie wpływ miała przede wszystkim „filozofia pracy” francuskiego dominikanina D. M. Chenu. Wszystkie te koncepcje określić można wspólnym pojęciem „Teologii Kontekstu”. W Teologii Śmierci Boga, obecnej głównie w kościołach protestanckich⁶, zauważono, że dla współczesnych społeczeństw Bóg „umarł”, dlatego też orędzie Chrystusa musi być przekazywane w zupełnie inny sposób, adekwatny do współczesnej sytuacji. Powinno ono stać się bardziej zbiorem zaleceń etycznych a nie operować nic już nie znaczącymi symbolami i obrazami religijnymi. W przypadku Teologii Nadziei⁷ i Teologii Rewolucji⁸, ale także i w ruchu księży robotników, postulowano za to włączenie się kościołów w przebudowę świata, w zmianę systemów tworzących wyzysk i niesprawiedliwość. Ważnym więc elementem tej „przemiany” w teologiach chrześcijańskich było odejście od pytko pojmowanej eschatologii i zwrócenie się w stronę działań zmierzających do zaprowadzenia

„królestwa bożego” już na tym świecie. Dochodzi więc – co znajdzie swoje najbardziej radykalne rozwinięcie w Teologii Wyzwolenia⁹ – do odrzucenia „Teologii św. Pawła”, negującej świat doczesny w imię eschatologicznej nagrody w życiu wiecznym. Teologia Pawłowa była przez prawie dwa tysiące lat jedną z przyczyn utrzymywania się status quo w świecie, a ją samą trzeba dosadnie scharakteryzować jako teologię poddaństwa. W myśl niej jedynie życie wieczne warte jest zainteresowania ze strony chrześcijan. W postawie św. Pawła mamy więc do czynienia z przeciwstawieniem życie doczesnego i „królestwa bożego”, co w ostateczności prowadziło do uznania cierpień doznawanych za życia za wartość samą w sobie, w imię nagrody po śmierci. Nie trzeba chyba dodawać jakie miało to skutki, z których najważniejszym był brak jakichkolwiek działań zmierzających do poprawy życia człowieka w jego ziemskiej niedoli, co było faktyczną zgodą na tworzenie nieludzkich systemów społecznych.

Wielu „nowych” teologów zaczęło za to akcentować – i akcentuje do dzisiaj – potrzebę rewolucyjnego obalenia istniejącego porządku społecznego, potrzebę aktywnego działania w celu budowy już teraz „królestwa bożego”. Ważną podkreślenia rzeczą jest również to, że większość tych nurtów teologicznych (o charakterze rewolucyjnym) wcześniej czy później pojawiła się w Ameryce Łacińskiej – choć sama Teologia Rewolucji zapoczątkowana została przez europejskich teologów, na przykład T. Rendtorffa i H. Gollwitzera. W końcu lat sześćdziesiątych doprowadziło to do ukonstytuowania się Teologii Wyzwolenia. Z drugiej strony Ameryka Południowa jawiła się wówczas nie tylko jako kontynent potrzebujący zmian społecznych, lecz jednocześnie do tych zmian dążący. Wybuchy rewolucyjne dotyczyły większości państw tego kontynentu, a przykład Kuby dawał nadzieję na obalenie zniechwilonych dyktatur tuż pod okiem „Wielkiego Brata”. Można więc powiedzieć, że Teologia Rewolucji i południowoamerykańska Teologia Wyzwolenia były próbą „pokierowania” oddolnymi działaniami i nadania im określonego – chrześcijańskiego – charakteru. Nie oznacza to jednak, że powinno się traktować je tylko jako klerikalną, czy intelektualną narosł na zdrowym ciele mas ludowych, lecz były one raczej próbą interpretacji wrodzenia rewolucyjnego i zaproponowania określonych środków potrzebnych do budowy nowego społeczeństwa.

Teologie opowiadające się za rewolucyjnymi zmianami społecznymi, w przeciwieństwie do teologii tradycyjnych, starały się – i starają – wychodzić od konkretnej sytuacji historycznej i dopiero na tej podstawie budować program zmian społecznych i wizję nowego świata. Dla Teologii Wyzwolenia ważnym staje się więc nie ortodoksja – czyli koncentrowanie się na usystematyzowanych kategoriach intelektualnych, wynikających z literalnie interpretowanej Biblii, lecz ortopraksja, rozumiana jako prymat działania, działania wynikającego z niezgody na stan obecny. Takie rozumienie teologii niesie ze sobą kilka ważnych konse-



krajów jak chociażby Meksyk, co zaowocowało kilka lat temu gigantycznym kryzysem ekonomicznym w tym kraju.

Można pokusić się o stwierdzenie, że w momencie narodzin Teologii Wyzwolenia – a więc w latach sześćdziesiątych – sytuacja na kontynencie południowoamerykańskim była szczególnie dramatyczna. Po udanej rewolucji kubańskiej polityka USA, jak i miejscowym reżimów uległa jeszcze większemu zaostreniu. Przykład Kuby, jak i fiasco – oczywiście dla ludności południowoamerykańskiej – „Sojuszu dla Postępu”, mającego być „pozytywną” reakcją na udaną rewolucję kubańską⁵, spowodowały wybuch, a raczej zwiększenie, nastrojów rewolucyjnych. W tym okresie spora grupa katolickiego kleru, wcześniej przejściowo związana z teorią postępu, której niektórzy z nich próbowali nadać teologiczne podstawy, zdecydowała się zaangażować po stronie „zniewolonej” części społeczeństwa. Było to opowiedzenie się po stronie biedoty i ciemiężonych, co było wynikiem zarówno sytuacji społeczno-politycznej, jak i fermentu jaki wówczas panował w kościołach chrześcijańskich, fermentu, który zawędrował aż na Sobór Watykański II – sobór, który nakazywał kościołowi katolickiemu zwrócić się w stronę biednych, nakazywał mu bycie „kościółem cierpiących i ubogich”. Ferment ten oczywiście nie był związany jedynie z doświadczeniami kolonializmu i wyzysku w krajach Trzeciego Świata. Tragiczne doświadczenia wojen światowych, ludobójstwo dokonywane przez państwa totalitarne, a także faktyczne wspieranie przez Watykan reżimów faszystowskich miały niezaprzeczalny wpływ na zmianę myślenia o miejscu orędzia chrześcijańskiego w świecie. W tym okresie więc następuje w pracach wielu teologów – związanych z różnymi kościołami – przewartościowanie

kwencji. Po pierwsze, Biblia traktowana jest jako dzieło określonego kontekstu kulturowego – stąd pojęcie Teologii Kontekstu – dlatego też obecnie nie można jej interpretować literalnie, a sam teolog – jak uważał chociażby jeden z przedstawicieli Teologii Wyzwolenia Jose Segundo – musi mieć całkowitą wolność w interpretacji orędzia Chrystusa. Po drugie, przy interpretacji konkretnej sytuacji społeczno-politycznej musimy odwoływać się do nauk społecznych, które pozwolą nam nie tylko wyjaśnić procesy jakie występują w świecie, lecz stworzyć również odpowiednią strategię rewolucyjną.

Tą strategią rewolucyjną dla teologów wyzwolenia jest marksizm, oczywiście rozumiany w inny sposób niż było to czynione chociażby w krajach tak zwanego realnego socjalizmu. Pojmowany jest on także nie jako całościowy program budowy nowego społeczeństwa, lecz wyłącznie jako strategia rewolucyjna. Dlatego też Teologia Wyzwolenia odwołuje się nie do całości spuścizny Marksa, lecz koncentruje się na taktyce walki klas, która ma być sposobem dokonania rewolucji i budowy socjalizmu. Jednocześnie teologowie wyzwolenia nie akceptują marksowskiej wizji nowego społeczeństwa, sami głosząc hasła budowy struktur opartych na zasadzie „miłości”. Zasada „miłości” nie powoduje jednak najczęściej wyrzeczenia się stosowania przemocy, gdyż aby mogła zapanować miłość musi zostać obalony kapitalistyczny porządek. „*W krajach, gdzie panuje wyzysk, zniewolenie, ucisk, chrześcijanie będą realizować miłość, angażując się w rewolucję poprzez prawdziwe utożsamienie się z położeniem wyzyskiwanych. «Konkretnie sformułowanie i realizacja słusznych interesów uciskanych stanowi dziejową konkretyzację miłości.»*”² Postulat „panowania” miłości w nowym świecie musi również zakładać, że nowe społeczeństwo mogą zbudować przygotowani już do tego ludzie, co oczywiście powoduje, że odrzuca się jakąkolwiek rolę przywódczą partii, czy innych „awangardowych” struktur mających dokonać rewolucji w imieniu mas. Oddolna rewolucja – i jednocześnie przemiana – to droga prowadząca do budowy socjalistycznego społeczeństwa. Nie muszę chyba dodawać, że takie postulaty niewiele mają wspólnego z rewolucją w duchu bolszewickim, czy jakobińskim. Więcej wykazują one za to podobieństwo do postulatów – bliskich mi osobiście – anarcho-syndykalistów i wolnościowych socjalistów. W przypadku tych ideologii, często również akcentujących swoje przywiązanie do marksizmu (szczególnie w przypadku wolnościowych socjalistów), nie chodzi o wierność ideom Karola Marksa, lecz uprawianie czegoś na kształt teorii krytycznej, której Marks jest bez wątpienia prekursorem, przy akceptacji walki klas jako sposobu tworzenia nowego, często bezpaństwowego społeczeństwa. Teorię krytyczną rozumieć można w tym wypadku jako: po pierwsze, niezgodę na istniejący status quo, poprzez proponowanie rozwiązań lepszego urzędzenia świata. Po drugie, przeprowadzenie krytyki samego marksizmu, pozwalającej odkryć wciąż aktualne w nim idee. Oczywiście związki Teologii Wyzwolenia z wyżej wspomnianymi podejściami dotyczą tylko ogólnego zarysu – sami teologowie wyzwolenia w warstwie werbalnej nie wspominają o wpływie na swoje idee, na przykład, teorii krytycznej – choć, jeżeli chodzi o jej związki z syndykalizmem, to wpływ jej założeń na południowoamerykański ruch związkowy był swego czasu bardzo znaczący. To właśnie w tym okresie latynoskie chrześcijańskie związki zawodowe przeszły z pozycji – popieranego przez Watykan – solidaryzmu społecznego na pozycje klasowe, co doprowadziło do ich radykalizacji i zbliżenia do związków rewolucyjnej lewicy.

Przedstawione powyżej idee można – moim zdaniem – uznać za cechy konstytutywne Teologii Wyzwolenia. Jeżeli chodzi o dane historyczne, to za moment oficjalnego powstania Teologii Wyzwolenia uznaje się konferencję biskupów latynoskich w Medellin w 1968 roku. Wtedy to uznano zasadę wyzwolenia za niezwykle ważną – w kontekście nie tylko sytuacji Ameryki Łacińskiej – część orędzia chrześcijańskiego. Mimo prób pacyfikacji tego ruchu przez Watykan, postulując propagowanie wyzwolenia przez ewangelizację a nie radykalne działania zmierzające do zmian społecznych, w krótkim okresie czasu zdecydowana większość teologów wyzwolenia przeszła na pozycje rewolucyjne, co było formą radykalizacji programu z Medellin, który nie odwoływał się bezpośrednio do walki klas jako strategii obalenia kapitalizmu. Symbolami takiej postawy stali się Gustavo Gutierrez i Hugo Assmann, – teologowie i kapłani katolicy. Oby-

dwaj oni akcentowali potrzebę zmian społecznych przez radykalne działania, widząc w walce klas metodę obalenia istniejącego porządku społecznego. Koncepcje Gutierrez i Assmanna miały wpływ na szereg innych teologów, najczęściej również akceptujących marksowskie konotacje Teologii Wyzwolenia. W tym miejscu można chociażby wymienić takie postacie jak: Leonardo Boff, Juan L. Segundo, czy Jose M. Bonino. Co prawda różnili się oni często sferą swoich zainteresowań, lecz jądro ich systemu religijnego i społeczno-politycznego było zbieżne. Różnice dotyczyły za to pól analizy. Tak więc znaczna część zainteresowań Segundo dotyczyła zadań i miejsca teologii w chrześcijaństwie, a szczególnie postulatu wolności teologii w interpretacji Biblii. L. Boff w swoich pismach odczytywał działalność Chrystusa jako działalność rewolucyjną, i to zarówno w sensie społecznym jak i narodowym – akcentując również jego walkę z Rzymem. Chrystus rozumiany był przez niego jako wyzwo-

wcześniej podobnej rzeczy dokonał z filozofią Arystotelesa. Trudno w tym miejscu wypowiadać się co do słuszności takiej koncepcji, lecz postulat „ochrzczenia” marksizmu nadał myśli Camary niezwykle charakteru. Życie Camary nie wolne było ponadto od zagrożeń ze strony krytykowanych przez niego reprezentantów miejscowych oligarchii, a także od krytyki konserwatywnego kleru. Przykładem tego mogą być słowa samego Camary: „*Gdy daję jedzenie biednym, nazywają mnie świętym. Gdy pytam, dlaczego biedni nie mają jedzenia, nazywają mnie komunistą.*” Walka miejscowych elit z Camarą doprowadziła między innymi do okaleczenia, a następnie zamordowania jego sekretarza. Podobny los spotkał salwadorskiego arcybiskupa Oscara Arnulfo Romero – obrońcę biedoty i aktywnego uczestnika konferencji episkopatu Ameryki Południowej w Puebla w 1979 roku – zamordowanego przez prawicowe szwadrony śmierci w 1980 roku¹⁰. Wydarzenia te jasno pokazują, że latynoskie elity władzy nie miały – i nie mają nadal – zamiaru przyjmować do wiadomości „rewolucyjnej” działalności chrześcijańskiego kleru.

Przemoc państwowa i prywatna, a także ataki Watykanu, o których jeszcze będą za chwilę pisał, spowodowały osłabienie Teologii Wyzwolenia. Nie oznacza to jednak, że odeszła ona całkowicie w niepamięć. Miała ona pewien wpływ chociażby na powstanie ruchu zapatystowskiego, szczególnie poprzez działalność biskupa z San Cristobal Samuela Ruiza – trzeba jednak w tym miejscu podkreślić, że jego zaangażowanie nie było zbieżne z działaniami hierarchii meksykańskiego kościoła katolickiego, która w imię obrony swoich materialnych dóbr opowiada się po stronie miejscowych oligarchii. Wolnościowe komunij w Chiapas można ponadto potraktować jako formę realizacji „wspólnot podstawowych” propagowanych przez „rewolucyjnych” księży. Wspólnoty te jednocześnie pokazują, że mimo czasami ortodoksyjnych założeń teoretycznych – obecnych w Teologii Wyzwolenia – praktyczne działania rewolucyjne nie przybierają autorytarnego charakteru, będąc raczej formą oddolnego budowania nowego społeczeństwa.

Teologia Wyzwolenia, po okresie bujnego rozwoju w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, w latach pontyfikatu Karola Wojtyły znalazła się na cenzurowanym. Nie oznacza to absolutnie, że już wcześniej elity kościelne nie próbowały ograniczyć jej wpływu – kościół katolicki przez wieki był przecież częścią miejscowych struktur władzy, czerpiąc bezpośrednie korzyści z ciemnienia mas ludowych. Za czasów pontyfikatu Pawła VI próbowano tamować wpływ Teologii Wyzwolenia poprzez forsowanie „Teologii Ewangelizacji”, odrzucającej działania rewolucyjne w imię napominania możnych i bogatych o większą solidarność z ubogimi. Dopiero jednak za czasów Wojtyły postanowiono rozprawić się z „niebezpiecznym” ruchem. Dlatego dokonał tego ten, zakończony w Maryi, papież, nie trzeba chyba dokładnie tłumaczyć. Znana jest jego awersja do marksizmu w jakiegokolwiek postaci, dlatego też trudno było spodziewać się, że zgodzi się na obecność w kościele tak „bezbożnej” teorii. Efektem tego były między innymi dwa dokumenty katolickiej Kongregacji Doktryny Wiary, z 1984 i 1986 roku – kierowanej przez jedną z najbardziej konserwatywnych postaci w kościele, rzeczownika tradycjonalizmu, kardynała Josepha Ratzingera – faktycznie piętnujące dokonania i program Teologii Wyzwolenia. Dokumenty te nakazywały odrzucenie przez nią postulatu walki klas i aktywnej postawy w sprawach polityczno-społecznych, w imię ogólnie rozumianego solidaryzmu społecznego, czyli napominania bogatych o solidarność z ubogimi, lecz absolutnie nie czynnego działania w celu zmian społecznych. Te napominania nie były oczywiście jedynymi atakami Watykanu skierowanymi na tą teologię. Większe znaczenie miały, i niestety nadal mają, działania praktyczne, które koncentrują się na odsuwaniu nieposłusznych biskupów i księży oraz zastępowaniu ich przez osoby o konserwatywnych poglądach. Świadczyć tutaj mogą chociażby działania Watykanu w Brazylii w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, które zaowocowały między innymi wystąpieniem franciszkanina Leonarda Boffa z kościoła katolickiego¹¹, oraz usunięciem prospołecznego biskupa Sao Paulo Paulo Amsa¹², a także próby odwołania – na prośbę rządu meksykańskiego i przy poparciu hierarchii miejscowego kościoła – biskupa Ruiza, którego płomienne kazania mogły mieć pewien wpływ



liciel – nie na darmo jedna z prac Boffa nosi tytuł „Jesus Cristo Libertador” – którego działalność może być wzorem dla nas współcześnie. Bonino, który jest teologiem protestanckim, pokazywał za to, że Teologia Wyzwolenia nie jest jedynie związana z aktywnością kościoła katolickiego, lecz obecna jest w większości chrześcijańskich kościołów latynoskich – czasami pod nazwą Teologii Rewolucji.

Nie ulega więc wątpliwości, że dominującym nurtem w Teologii Wyzwolenia było dążenie do rewolucyjnych zmian społecznych, co swoje najbardziej radykalne potwierdzenie znajdzie w założonym w Chile w 1971 roku ruchu „Chrześcijaństwo na rzecz socjalizmu”. W nurt radykalnych postaw rewolucyjnych wpisuje się także działalność – wcześniejsza niż formalne ukształtowanie się Teologii Wyzwolenia – kolumbijskiego księdza Camilo Torresa, zwolennika przeprowadzenia reformy rolnej, który już w 1964 roku zdecydował się walczyć o emancypację wyzyskiwanych z karabinem w rękę, stając się jednym z bohaterów rewolucyjnych ruchów wyzwoleniowych, szczególnie po swojej śmierci w 1966 roku.

Szczególne miejsce w Teologii Wyzwolenia należy się dla Heldera Camary i Oscara Romero. Arcybiskup Helder Pessoa Camara znany jest przede wszystkim jako twórca południowoamerykańskiej wersji zasady non-violence. Przez wiele lat pracował on w jednym z najbardziej zacończonych regionów Brazylii, który obejmuje diecezję Recife. Założony przez niego ruch „Akcja, Sprawiedliwość, Pokój” postulował zmiany struktur społecznych poprzez presję moralną. Działania jakie podejmował, a przede wszystkim głębokie zaangażowanie na rzecz rozwoju krajów Trzeciego Świata spowodowały, że zyskał on ogólnosiwiatowe uznanie. Postawa Camary ciekawa jest z dwóch powodów. Po pierwsze, co już podkreślałem, w przeciwieństwie do większości innych „rewolucyjnych” teologów wyzwolenia przez całe swoje aktywne życie – Camara zmarł w 1999 roku – głosił on program wyrzeczenia się stosowania gwałtu w walce o obalenie kapitalizmu. Po drugie, opracował on program inkulturyacji chrześcijaństwa do marksizmu, idąc śladami św. Tomasza, który

na wybuch powstania w Chiapas.

Problem, którym teraz chciałbym się zająć dotyczy możliwości istnienia Teologii Wyzwolenia w tak hierarchicznej instytucji – i jednocześnie związanej z istniejącym porządkiem społecznym – jaką jest kościół katolicki.

W latach sześćdziesiątych, na progu posoborowych nadziei wydawało się, że kościół katolicki jest w stanie nie tylko zmienić swoje orędzie, lecz wręcz poddać się – jako instytucja – głębokiej reformie. Nadzieje takie obecnie były również wśród wielu nowych prądów teologicznych, także wśród teologów wyzwolenia. Wszelkie były wówczas postulaty zupełnie innego zorganizowania kościoła. Podobnie chociażby jak Hans Küng¹³, czy inni „nowi” teologowie, południowoamerykańscy kapłani krytykowali zarówno hierarchiczność kościoła jako instytucji, jak i jego moralny i polityczny konserwatyzm. Wzorem dla Teologii Wyzwolenia były wspólnoty pierwszych chrześcijan, gdzie nie było podziału na kapłanów i wiernych, gdzie wszyscy tworzyli wspólnotę. Można więc chyba pokusić się o stwierdzenie, że propagowane przez Teologię Wyzwolenia wspólnoty podstawowe były próbami realizacji tej utopii¹⁴. Niestety lata siedemdziesiąte, a szczególnie okres pontyfikatu Karola Wojtyły nie potwierdziły nadziei na reformę kościoła katolickiego. Przekała się o tym Küng, któremu już w 1979 roku odebrano prawo nauczania teologii¹⁵, przekonali się o tym także ludzie związani z Teologią Wyzwolenia, o czym już wspominałem. Tak więc wniosek może być niestety jeden – w obecnej sytuacji, przy utrzymywaniu się konserwatywnych tendencji w kościele katolickim, nie ma w nim miejsca na radykalne ruchy społeczne. Nie oznacza to jednak, że w przyszłości ta sytuacja nie może ulec zmianie. Trzeba mieć jednak świadomość, że wprowadzenie postulowanych – chociażby przez teologów wyzwolenia – reform oznaczać będzie kres kościoła katolickiego jako scentralizowanej instytucji i jego rozpad na w pełni niezależne, lokalne wspólnoty. Droga do tego jest jednak niestety bardzo długa, jeśli nie niemożliwa, co piszę z dużym żalem, mimo, że jestem osobą niewierzącą.

Na koniec warto jeszcze dodać, że mimo bezpardonowych ataków na Teologię Wyzwolenia ze strony południowoamerykańskich elit i Watykanu jej spuścizna nie jest całkowicie martwa, czego przykładem mogą być wydarzenia w Chiapas, a także realizowanie jej idei we wspólnotach podstawowych. Trzeba także zauważyć, że niestety trudno spodziewać się wybuchu podobnego zjawiska w polskim kościele katolickim, gdzie nawet jeśli krytykowany jest kapitalizm – a kapitalizm w Polsce coraz bardziej zaczyna przypominać ten z Ameryki Południowej – to alternatywą dla naszego kleru nie jest budowanie wspólnot podobnych chociażby do tych istniejących w Chiapas, lecz tworzenie społeczeństwa o charakterze teokratycznym. Z drugiej jednak strony zjawisko rewolucyjnych postaw wśród katolików – oprócz Teologii Wyzwolenia można w tym miejscu wymienić istniejący w USA ruch „Catholic Worker”, na którego powstanie wpływ miały idee anarchistyczne – pokazuje, że w pewnych sytuacjach możliwe jest zaangażowanie się części kleru po stronie ciemniejszych, co może być w naszej sytuacji pewną – choć niestety bardzo wątpliwą – nadzieją na przyszłość.

Sebastian Glica

Przypisy:

* H. Assmann, *Teologia desde la praxis de la liberacion*, Salamanca 1973, s. 69

* G. Gutierrez, *Teologia wyzwolenia*, Warszawa 1976, s. 273-274

¹ Muszę tutaj wyjaśnić, że próba zmiany sytuacji Ameryki Łacińskiej, przez zaangażowanie się części kleru w obalenie istniejącego porządku społeczno-politycznego, jest tożsama zarówno dla kościołów protestanckich, jak i kościoła katolickiego. Z oczywistych jednak względów – znacznie katolicyzmu w Ameryce Łacińskiej – katolicka Teologia Wyzwolenia jest nurtem dominującym.

² Wystarczy chociażby sięgnąć do prac Noama Chomskiego: zob. N. Chomsky, *Rok 501*. *Podbój trwa*, Warszawa 1999; N. Chomsky, *Zysk ponad ludzi*. *Neoliberalizm a ład globalny*, Wrocław 2000

³ W 1823 roku opracowana została „doktryna Monrogo” – ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych – jasno określająca przyszłą politykę USA w stosunku do obydwu Ameryk.

⁴ Encyklopedyczny zarys amerykańskich interwencji po II wojnie światowej przedstawia: W. Blum, *Interwencje amerykańskie po drugiej wojnie światowej*, w: *Lewa Noga*, nr.14/02, s. 43-66

⁵ Sojusz dla Postępu, opracowany w 1961 roku miał być propagandową odpowiedzią na zdobycze rewolucji kubańskiej. W wyniku niego kraje Ameryki Łacińskiej miały wkroczyć na drogę szybkiego rozwoju. W rzeczywistości okazał się on jeszcze jedną z form podporządkowania sobie tego kontynentu przez USA, co zaowocowało zwiększeniem wyzysku szerokich mas społecznych.

⁶ Na powstanie tego nurtu teologicznego główny wpływ wywarł, zamordowany przez nazistów, Dietrich Bonhoeffer. Po drugiej wojnie światowej teologia ta rozwijana była przede wszystkim przez amerykańskiego baptyście Herveya Coxa.

⁷ W kontekście Ameryki Południowej ten nurt teologiczny rozwijany był chociażby przez Rubena Alvesa.

⁸ Najbardziej radykalną wersję Teologii Rewolucji w Ameryce Południowej zaproponował Richard Schaul, teolog amerykański przez wiele lat mieszkający w krajach Ameryki Łacińskiej. Ten nurt teologiczny rozwijany był także przez związanego z tym kontynentem belgijskiego katolickiego kapłana Josepha Comblina.

⁹ W: B. Mondin, *Teologowie Wyzwolenia*, s. 93. Przedstawiona wypowiedź jest autorstwa Hugo Assmanna.

¹⁰ Na kanwie zabójstwa arcybiskupa Romero oparty jest między innymi film Olivera Stone'a „Salvador”.

¹¹ Trzeba tutaj zaznaczyć, że konserwatyzm nie jest obecny tylko w kościele katolickim. Z podobnych powodów z argentyńskiego kościoła prezbiteriańskiego wystąpił reprezentant Teologii Nadziei, a zarazem jeden z prekursorów Teologii Wyzwolenia Ruben Alves.

¹² Oburzenie w Brazylii wywołała wypowiedź papieża, podczas jednej z jego ostatnich pielgrzymek do tego kraju, jakoby Teologia Wyzwolenia umarła wraz z upadkiem państw komunistycznych. Sytuacja ta chyba jasno pokazuje stosunek Karola Wojtyły do „rewolucyjnego chrześcijaństwa”, co jest wynikiem „tradycjonalistycznej „rewolucji” w kościele za jego pontyfikatu. Przykładem tego może być także wynoszenie na ołtarze księży popierających Franco podczas wojny 1936 roku – ostatnio 4 maja 2003 roku, co świadczy dobitnie o powrocie Watykanu do czasów sprzed Soboru Watykańskiego II.

¹³ Wybitny teolog i kapłan katolicki, zwolennik Teologii Wyzwolenia. Miał między innymi wpływ na postanowienia Soboru Watykańskiego II. Bardzo krytycznie wypowiada się o pontyfikacie Karola Wojtyły – ze względu na jego konserwatyzm i przenoszenie na grunt ogólnokatolicki wzorów polskiego, ludowego katolicyzmu. Znaną są również jego odważne wypowiedzi w sprawach obyczajowych, oraz kwestionujące celibat księży i dogmat o nieomylności papieża.

¹⁴ Utopię rozumiem podobnie jak Ernst Bloch, który wywodził to pojęcie z własnej „Filozofii Nadziei”. Utopia w takim rozumieniu nie oznacza dążenia do czegoś nierealnego, lecz jest działaniem na rzecz zmiany systemu, postrzeganego jako niesprawiedliwy, prowadzący do wyzysku i cierpienia. Warto w tym miejscu dodać, że Filozofia Nadziei Blocha miała wpływ na Teologię Nadziei, szczególnie w wersji J. Moltmanna.

¹⁵ Küng nie jest jedynym „wyklętym” teologiem katolickim. Podobny los spotkał chociażby w 1991 roku Eugena Drewemanna, próbującego w teologii wykorzystywać psychoanalityczną koncepcję mitu.

Noam Chomsky USA IZRAEL PALESTYNA



And then you call him the terrorist?

Rok temu socjolog Baruch Kimmerling z Hebrew University przestrzegając, że „to, czego baliśmy się, uwidoczniło się”. Żydzi i Palestyńczycy „cofają się do poziomu przesądnych szczerpów (...) wojna wydaje się być nieunikniona”, „zła kolonialna” wojna. Po izraelskim ataku na obozy uchodźców w tym roku jego kolega Ze'ev Sternhell napisał: „W kolonialnym Izraelu (...) życie ludzkie jest tanie”. Przywództwo „nie wstydzi się już mówić o wojnie, kiedy rzeczą, która ich naprawdę interesuje jest kolonialna polityka przypominająca opanowywanie przez białą policję biednych skupisk Murzynów w czasach apartheidu w Afryce Południowej”. Obaj zaznaczają jedną oczywistość: nie ma żadnej równości pomiędzy tymi dwoma „etniczno-narodowymi grupami”. Konflikt jest skoncentrowany na terytoriach, które zniósły twardą okupację przez 35 lat. Okupant stanowi wielką siłę militarną i działa wraz ze zdecydowanym wojskowym, ekonomicznym i dyplomatycznym poparciem światowej potęgi. Jego przeciwnicy są samotni, bezbronni, wielu ledwo egzystuje w żalonych obozach doświadczając obecnie jeszcze brutalniejszego terroru znanego z czasów „wojen kolonialnych”, więc wynoszą w odpowiedzi na zewnątrz okrucieństwa, których sami doświadczali.

„Proces pokojowy” w Oslo zmienił natężenie okupacji, ale nie jej podstawowe znaczenie. Tuż przed przyłączeniem się rządu Ehuda Baraka historyk Shlomo Ben-Ami napisał, że: „porozumienia z Oslo oparte zostały na neokolonialnych podstawach, na życiu jednego w zależności od drugiego na zawsze”. Sam wkrótce został architektem amerykańsko-izraelskich projektów w Camp-David wiosną 2000, które także pasowały do tego założenia. Zostały one wysoko ocenione w amerykańskich komentarzach. Palestyńczycy i ich okrutny przywódca zostali potępiani za swoje zaniedbania i późniejszą przemoc. Lecz jest to całkowite „oszustwo”, jak donosił Kimmerling wraz z innymi poważnymi komentatorami.

Prawdą jest, że Clinton z Barakiem poczynili kilka kroków w stronę porozumienia zwanego typem Bantustan. Tuż przed Camp David, Palestyńczycy z Zachodniego Brzegu Jordanu ściśnieni byli w ponad dwustu rozproszonych regionach i duet Clinton-Barak zaproponował ulepszenie: skupienie w trzy okręgi pod kontrolą izraelską oddzielone od siebie i od czwartej enklawy, małego rejonu we wschodnim Jeruzalem, centrum palestyńskiego życia i komunikacji w tym obszarze. Co do piątego okręgu – Gazy – plany są dość niejasne, poza tym, że ludność miała być faktycznie więziona. To chyba zrozumiałe, że w amerykańskich mediach nie mogą być znalezione żadne mapy, ani szczegóły tych planów.

Nikt nie może wątpić, że rola Stanów Zjednoczonych nie pozostałaby decydująca. Poza tym jest to niezwykle istotne – zrozumieć jak jest ona postrzegana. Wersję o białych gołąbkach prezentuje redakcja New York Times (7 kwietnia) wychwalając „przełomową mowę” prezydenta i



jego „wyłaniającą się wizję”. Jej pierwszym elementem jest natychmiastowe „zakończenie palestyńskiego terroru”. Później przyjdzie czas na „okrzepienie i wreszcie wycofanie izraelskiego osadnictwa i negocjacje nowych granic” oraz pozwolenie na powstanie palestyńskiego państwa. Jeśli terror palestyński się zakończy, to Izrael



będzie ośmielony do „wzięcia historycznej oferty Ligii Arabskiej pełnego pokoju i uznania państwowości w zamian za izraelskie wycofanie poważnie”. Ale najpierw Palestynscy przywódcy muszą udowodnić, że są „pełnoprawnymi dyplomatycznymi partnerami”.

Rzeczywistość jednak ma niewiele wspólnego z tym przedstawieniem przypominającym zresztą dokładnie to z lat osiemdziesiątych, kiedy USA, Izrael robiły wszystko, aby mieć wymówkę do nieprzyjmowania oferty negocjacji i porozumienia wystosowanej przez Organizację Wyzwolenia Palestyny, godząc się na rozmowy z OWP jedynie po przyjęciu żądań: „nie będzie kolejnego państwa palestyńskiego” (Jordania wówczas już uznawana za państwo palestyńskie) i „nie będzie zmian w statusie Judei, Samarii i Gazy niezgodnych z podstawowymi interesami [Izraela]” (maj 1989, plan Peresa-Shamira, poparty przez Busha w planie Bakera z grudnia 1989 roku). Wszystko to pozostało nieopublikowane w amerykańskich mediach jak zazwyczaj, za to komentarze demaskowały u Palestyńczyków ślepe zaangażowanie w terror podkopujące humanistyczne zabiegi USA i jego sojuszników.

W prawdziwej rzeczywistości podstawową barierą dla „wyłaniającej się wizji” zawsze było i jest amerykańskie jednostronne odrzucanie porozumień. W „historycznej ofercie Ligii Arabskiej” niewiele jest nowego. W zasadzie powtarza ona główne warunki rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ ze stycznia 1976 roku popartej praktycznie przez cały świat, włączając w to państwa arabskie, OWP, Europę i Blok Wschodni. Sprzeciwił się temu Izrael, a Stany Zjednoczone zawetowały wykreślając ją z historii. Rezolucja wzywała do porozumienia w sprawie międzynarodowo uznanych granic „ze stosownymi umowami (...) dla zagwarantowania (...) suwerenności, integralności terytorialnej i niepodległości wszystkich państw w regionie i ich prawa do życia w pokoju w bezpiecznych i uznanych granicach” – w rezultacie 242 poprawka ONZ (zinterpretowana tak oficjalnie również przez USA) rozszerzyła to też na państwo palestyńskie. Podobne inicjatywy ze strony państw arabskich, OWP lub Europy też zawsze były blokowane przez USA i zazwyczaj tłumione lub zakazane w publicznych komentarzach.

Z takim zachowaniem Stanów Zjednoczonych trzeba się cofnąć jeszcze 5 lat wstecz do lutego 1971 roku, kiedy prezydent Egiptu Sadat zaofiarował Izraelowi traktat pokojowy w zamian za wycofanie się z terytoriów egipskich. Nie było tam nawet słowa o prawach narodowych Palestyńczyków lub losie innych okupowanych rejonów. Rząd izraelski (rządziła wtedy Partia Pracy) ocenił to jako szczerą ofertę pokojową, ale odmówił mając zamiar rozszerzyć swoje osadnictwo na północno-wschodni Synaj, co wkrótce uczynił z ogromną brutalnością i stało się to przyczyną wojny w 1973. Izrael i Stany Zjednoczone orientowały się, że w zasadzie pokój w zgodzie z oficjalną polityką USA był możliwy ale, jak wyjaśnił przywódca Partii Pracy Ezer Weizmann (późniejszy prezydent), nie pozwoliłoby to Izraelowi „istnieć na taką skalę, w takim duchu, jaką ona zakłada”. Izraelski komentator Amos Elon napisał, że Sadat wywołał „panikę” wśród przywództwa izraelskiego, kiedy ogłosił swoją chęć „do porozumienia pokojowego z Izraelem i uznania jego niepodległości i suwerenności w bezpiecznych i uznanych grani-

cach”.

Kissinger osiągnął sukces w blokowaniu pokoju wprowadzając swój priorytet zwany przez niego „matem”: żadnych negocjacji, tylko siła. Oferty pokojowe Jordani również zostały odrzucone. Od tego czasu oficjalna polityka USA stosowała się do międzynarodowego porozumienia w sprawie wycofania, dopiero Clinton skutecznie unieważnił rezolucje ONZ i względy prawa międzynarodowego. Ale w praktyce polityka USA zawsze podążała za wytycznymi Kissingera akceptując negocjacje tylko będąc zmuszonym do nich, tak jak zmuszony był Kissinger po prawie totalnej klęsce w wojnie 1973 roku (za którą sam był w większości odpowiedzialny) negocjować, ale wciąż z założeniami, które wyjaśnił Ben-Ami.

Plany dla Palestyńczyków były zgodne z planami Moshe Dayana, jednego z zazwyczaj bardziej wrażliwych na los Palestyńczyków przywódcy Partii Pracy. Zalecił on rządowi, aby wyjaśniono uchodźcom, że „nie mamy wyjścia, musicie żyć jak psy, ale jak się komuś nie podoba, droga wolna; zobaczymy do czego to doprowadzi”. Kiedy to zakwestionowano, odpowiedział cytując Ben-Guriona, który „powiedział, że ktokolwiek zbliża się do syjonizmu od moralnej strony, ten wcale nie jest syjonistą”. Szkoda, że nie zacytował też Chaima Weizmanna, który otrzymywał, że los „wielu setek brudasów” w żydowskiej ojczyźnie „jest spowodowany brakiem konsekwencji”.

Nic dziwnego, że przewodnią regułą okupacji zawsze było ciągle, panizujące upokarzanie, wraz z torturami, terrorem, niszczeniem mienia, wysiedlaniem i przybywaniem izraelskich osadników, opanywaniem głównych surowców, szczególnie ropy. Wymagało to, oczywiście, zdecydowanego poparcia amerykańskiego, wzmoczonego zwłaszcza za czasów Clintona i Baraka. „Rząd Baraka pozostawia rządowi Sharona dziwną spuściznę”, co opisała izraelska prasa: „Największa liczba osadnictwa datuje się na czas, kiedy Sharon był ministrem budownictwa i osadnictwa w 1992 roku przed porozumieniami w Oslo” – zafundowana przez amerykańskich podatników oszukanych zmyślnymi bajeczkami o „wizjach” i „wspianolomyślności” przywódców USA udaremnionych przez terrorystów w rodzaju Arafat, który już jednak wyczerpał „nasze zaufanie”.

Co ma robić Arafat aby odzyskać nasze zaufanie najzwyczajniej wyjaśnił Edward Walker, zajmujący się tym rejonem w Departamencie Stanu za Clinton. Błądzący Arafat musi ogłosić jednoznacznie: „kładziemy naszą przyszłość i los w ręce USA”, które prowadziły kampanię podkopującą prawa Palestyńczyków przez ostatnich 30 lat.

Poważniejsze komentarze uznały, że „historyczna oferta” w większości powtarza saudyjski plan Fahda z 1981 roku – nieudanego, jak się zazwyczaj powtarza, z powodu arabskiej odmowy dla uznania izraelskiej państwowości. Fakty znów się trochę od tego różnią. Plan z roku 1981 roku się nie powiódł z przyczyny izraelskiej reakcji, która nawet główne media określiły „historyczną”. Shimon Peres ostrzegał, że plan Fahda „zagroził faktycznemu istnieniu Izraela”. Prezydent Haim Herzog oskarżał, że „prawdziwym autorem” planu Fahda była OWP i że jest on jeszcze dalej idący, niż rezolucja Rady Bezpieczeństwa ONZ ze stycznia 1976 roku też „przygotowana” przez OWP w czasie kiedy on sam reprezentował Izrael w ONZ. Te twierdzenia trudno uznać za prawdopodobne (choć OWP publicznie poparła oba plany), są one tylko oznaką desperackiego strachu przed porozumieniem cechującego izraelskich gołąbków stale i zdecydowanie popieranym przez USA.

Główny problem wówczas i nadal tkwi w Waszyngtonie, który wciąż wspiera odmowy Izraela dla rozstrzygnięcia na warunkach międzynarodowego porozumienia przedłożonego, „historycznej ofercie Ligii Arabskiej”.

Obecne zmiany w polityce Stanów Zjednoczonych są taktyczne i powierzchowne i nie idą zbyt daleko. Wraz z zagrożeniem amerykańskich planów ataku na Irak, USA dopuściło do rezolucji ONZ wzywającej Izrael do wycofania się z nowozajętych terytoriów „bezwzględnie” – czyli „kiedy to będzie możliwe”, jak zaraz wyjaśnił sekretarz stanu Colin Powell. To palestyński terror ma się skończyć „natychmiast”, ale znacznie brutalniejszy izraelski terror ciągnący się już 35 lat może jeszcze poczekać. Izrael od razu nasilił swój atak, przez co Powell stwierdził: „Miło mi słyszeć, że premier mówi o przyspieszeniu operacji”. Bardzo prawdopodobne, że przybycie Powella

do Izraela będzie opóźnione na tyle, aby „przyspieszona” operacja zdążyła się powieść. Taka postawa USA może się oczywiście zmienić, znowu tylko z przyczyn taktycznych.

Stany Zjednoczone zezwoliły nawet na rezolucję ONZ domagającą się wyartykułowania „wizji” dla palestyńskiego państwa. Ten bardzo pomocny dla Stanów gest, który zdobył już taki poklask, nie jest nawet tak poważny jak jak ten w Afryce Południowej 40 lat temu, kiedy reżim apartheidu wcielał w życie swoją „wizję” państw dla Czarnych, co było mniej-więcej tak praworządne, jak neokolonialne zależność jaką Izrael i USA planują dla okupowanych terytoriów.

Jednocześnie Stany Zjednoczone nadal „wzmagają terror”, jak to określił prezydent, poprzez dostarczanie Izraelowi środków na terror i zniszczenia, również wysyłając najbardziej zaawansowane śmigłowce z amerykańskiego arsenału (Robert Fisk, Independent, 7 kwiecień). To są standardowe reakcje USA na okrucieństwa zaprzężonego reżimu. Pouczający przykład: w pierwszych dniach obecnej Intyfady Izrael użył helikopterów do ataku na cele cywilne zabijając dziesięciu Palestyńczyków i raniąc trzydziestu pięciu, oczywiście w „samobronie”. Reakcją Clintona była zgodna na „największą sprzedaż śmigłowców bojowych Izraelowi w ciągu dekady” (Ha'aretz, 3 listopad 2001 rok) wraz z częściami zapasowymi dla śmigłowców Apache. Prasa w tym pomogła odmawiając podaniu tych faktów społeczeństwu. Kilka tygodni później Izrael zaczął używać tych helikopterów również do zamachów. Jednym z pierwszych kroków administracji Busha było wysłanie śmigłowców Apache Longbow, obecnie najbardziej morderczych. Wzbudziło to niewielkie zainteresowanie w prasie ekonomicznej.

Zaangażowanie Waszyngtonu we „wzmaganie terroru” ukazało się ponownie w grudniu, kiedy USA zawetowało rezolucję Rady Bezpieczeństwa wzywającą do wprowadzenia w życie planu Mitchella i rozmieszczenia międzynarodowych obserwatorów do doglądania postępów w redukowaniu użycia przemocy. Był to najefektywniejszy pomysł, jaki kiedykolwiek uzgodniono, ale sprzeciwił się mu Izrael, a Waszyngton zablokował. Weto miało miejsce w dwudziestu jednym dniowym okresie spokoju, co tam oznacza śmierć tylko jednego żołnierza



izraelskiego na 21 Palestyńczyków, w tym jedenastu dzieci, oraz tylko szesnastu wtrągnięć Izraela na obszary pod kontrolą Palestyńczyków (Graham Usher, Middle East International, 25 stycznia 2002). Dziesięć dni przed wetem USA zblokowała – i zupełnie podkopała – Międzynarodową Konferencję w Genewie, na której kiedyś wywnioskowano, że czwarta konwencja genewska odnosi się również do okupowanych przez Izrael terytoriów, więc poczynania USA i Izraela są „istotnym pogwałceniem” i „zbrodnią wojenną”. Konferencja szczególnie ogłosiła fundowane przez Stany Zjednoczone izraelskie osadnictwo jako nielegalne oraz potępiła praktyki „zamierzanych zabójstw, tortur, bezprawnych deportacji, umyślnego pozbawiania prawa do sprawiedliwego i prawidłowego

procesu, rozległego niszczenia i przywłaszczenia mienia (...) dokonywanych bezprawnie i świadomie". Jako kontrahent USA jest zobowiązane poprzez uroczysty układ do ścigania odpowiedzialnych za takie przestępstwa, nawet gdyby byli jej własnymi przywódcami. Jak widać wszystko pozostaje tylko na papierze.

USA nigdy oficjalnie nie wycofało się z uznawania zastosowania Konwencji Genewskich na okupowane terytoria lub krytyki izraelskiej przemocy jako „okupanta” (zatwierdzone przez Busha I, kiedy był w

ONZ). W listopadzie 2000 roku Rada Bezpieczeństwa ponownie uzgodniła porozumienie w tej sprawie „wzywając Izrael, siłę okupującą, do sumiennego dotrzymania swoich zobowiązań wynikających z czwartej konwencji genewskiej”. Wynik głosowania był 14:0. Clinton wstrzymał się od głosu przypuszczalnie nie chcąc głosować przeciwko jednej z najistotniejszych zasad międzynarodowego prawa humanitarnego, zwłaszcza biorąc pod uwagę okoliczności jej powstania: aby uznać formalnie za przestępstwa zbrodnie nazistowskie. Jednak

zbyt szybko pamięć o tym przeminęła, aby nie przeszkadzać we „wzmagananiu terronu”.

„Dopóki wszystkie te sprawy nie zostaną dopuszczone do dyskusji, a ich znaczenie zrozumiane, bez sensu jest nawoływanie do „zaangażowania Stanów Zjednoczonych w proces pokojowy” a perspektywy dla konstruktywnego działania pozostaną nikłe.

tł. Wojtas



Krzysztof Szymborski

UNABOMBER: WRÓG CYWILIZACJI?

W POŁOWIE LISTOPADA 1997 ROKU DR TED KACZYNSKI, MATEMATYK, ZNANY POWSZECHNIE JAKO UNABOMBER, STANĄŁ PRZED SĄDEM OSKARŻONY O ZBRODNIĘ, ZA KTÓRE GROZI MU KARA ŚMIERCI. CO PRZYNIESIE PROCES? CZY KACZYNSKI UZNANY ZOSTANIE ZA CHOREGO, CZY ZAJMIE SIĘ NIM KAT STANOWY? MANIAK, WARIAT CZY WIZJONER I REWOLUCJONISTA?



15 maja 1985 roku to data, którą John Hauser, obecnie profesor na Colorado University, będzie pamiętał do końca życia. Wtedy pracował nad swym doktoratem na Wydziale Inżynierii Elektrycznej w Berkeley. Jego pasją była astronautyka i marzenie życia było bliskie spełnienia - jako młody kapitan Sił Powietrznych otrzymał właśnie od NASA zaproszenie do konkursu mającego wyłonić nowy zastęp astronautów. Musiał jeszcze dokończyć dysertację. Jego laboratorium w Cory Hall mieściło się w niewielkim pomieszczeniu zastawionym komputerami.

Była akurat pora lunchu i Hauser gawędził z przyjacielem, który wpadł na chwilę. Po jego wyjściu uwagę Hausera zwróciło pozostawione przez kogoś na blacie stołu małe plastikowe pudełko, na którym leżał notes. Nie więcej niż 10 doktorantów miało wstęp do laboratorium. Zastanawiałem się - wspomina po latach Hauser - czy to zastawił Joe, czy Mike? Kiedy podniósł notes, zauważył, że przyczepiony jest gumką-recepturką do rączki na plastikowym pudełku. Rączka połączona była z zapalnikiem bomby...

W następnym ułamku sekundy prawie ramię Hausera zamieniło się w krwawy strzęp. Wybuch urwał mu cztery palce i pozbawił uczucia w kciuku; jeden odłamek metalowej rurki wyrwał z ramienia fragment ciała, a drugi utkwił mu w łokciu. Sygnet Akademii Sił Powietrznych, który Hauser nosił na serdecznym palcu prawej dłoni, wbił się w gipsową ścianę. Wraz z dlonią eksplodowało jego marzenie o lotach kosmicznych.

W zamachu na Hausera nie było niczego osobistego. Po prostu miał pecha, że to właśnie on zainteresował się tajemniczym pakunkiem, który leżał na stole od kilku dni. Bomba pozostawiona przez nieznanego zamachowca - jak określili to fachowcy z FBI - była "specyficzna terytorialnie", a nie adresowana do określonej osoby. Jej celem były zamach na instytucję - szkołę wyższą.

Hauser nie był też ani pierwszą, ani ostatnią ofiarą tego samego nieznanego terrorysty; nie był też najbardziej pechową. W końcu, pomimo utraty władzy w prawej ręce, mógł nadal pracować naukowo... W oficjalnym rejestrze FBI eksplozja w Cory Hall była 9 zamachem w serii 16, natomiast Hauser jedną z 23 ofiar okaleczonych przez zamachowca. Trzy straciły życie.

Kiedy w maju 1978 roku pierwsza bomba domowej produkcji, skonstruowana z główek zapalek, znaleziona na

parkingu Wydziału Inżynierii Illinois State University w Chicago, eksplodowała w biurze policji uniwersyteckiej Northwestern University (gdzie paczka została skierowana na podstawie adresu zwrotnego, niegroźnie raniąc jednego z oficerów), policja przekonana była, że ma do czynienia z głupim studentem żartem. Jednak w miarę upływu czasu zamachowic nieustannie doskonalili swą technikę, był coraz skuteczniejszy i coraz bardziej zabójczy. Po 2 latach i 4 zamachach zaczął się pojawiać w systemie działania terrorysty pewien schemat, który pozwolił FBI połączyć poszczególne przypadki i traktować jako dzieło jednego sprawcy. Adresatami pierwszych 4 bomb były osoby związane bądź z wyższymi uczelniami, bądź też z liniami lotniczymi i FBI nadało całej operacji pseudonim UNABOM (University Airline Bombings). Później krąg ofiar objął osoby związane z przemysłem drzewnym i z komputerami.

Pierwszą śmiertelną ofiarą Unabombera (tym imieniem ochrzczono działającego samotnie terrorystę) był 38-letni Hugh Scrutton, właściciel wypożyczalni komputerów w Sacramento w Kalifornii, który zginął od bomby ukrytej w papierowej torbie, podrzuconej przy śmieciniku na tyłach jego sklepu 7 miesięcy po zamachu na Hausera.

Kiedy miejscowa policja rozpoczęła śledztwo w sprawie śmierci Scruttona - pierwszą, typową hipotezą roboczą było podejrzenie, że zmarły miał jakichś wrogów i zamach był wynikiem porachunków osobistych. Nazajutrz po wybuchu w Sacramento pojawili się agenci FBI. Zamiast zając się życiorysem ofiary, zaczęli starannie przeszukiwać miejsce zbrodni i wkrótce znaleźli to, czego szukali - inicjał FC wygrawerowany na metalowym odłamku. Był to inicjał terrorysty, zawsze pozostawiany na wszystkich jego bombach.

W śledztwo zaangażowano w ciągu ostatnich lat setki oficerów policji na poziomie lokalnym, stanowym i federalnym. Za informacje umożliwiające identyfikację Unabombera wyznaczono nagrodę w wysokości miliona dolarów (wyższą cenę zaofertowano jedynie za ujęcie sprawców katastrofy samolotu PanAm nad Lockerbie). Utworzono specjalną grupę roboczą FBI, zatrudniającą na stałe 30 oficerów, którzy zajmowali się wyłącznie tą sprawą. Sprawdzono tysiące poszlak, przesłuchano setki podejrzanych i dwu świadków. Po kilkunastu latach pracy wywiadowczej policja nie znalazła nawet motywu przestępstwa i dysponowała jedynie portretem pamięciowym terrorysty, który mógł pasować do dobrych kilku milionów Amerykanów.

Jest to ów słynny portret białego mężczyzny, blondyna, o krótko przyszytych włosach, wzrostu ponad 180 cm, w ciemnych okularach i wiatrówece z naciągniętym na głowę kapturem.

Wczesnym popołudniem 20 grudnia 1987 roku odpowia-

dający temu opisowi osobnik pojawił się na tyłach CAAMs, Inc., sklepu komputerowego w Salt Lake City, niosąc pod pachą coś, co wyglądało jak zwykły kawał drewna. Pochylił się i starannie ułożył swój pakunek na parkingu, zwykle zajmowanym przez właściciela sklepu. Pracownica sklepu, siedząca po drugiej stronie szyby, obserwowała go z zaciekawieniem i kiedy mężczyzna wyprostował się, przez chwilę patrzyli na siebie. Nie zdradzając żadnego zdenerwowania, Unabomber powoli odszedł. 45 minut później eksplodująca bomba zraniła właściciela CAAMs w stopę i łydkę.

Unabomber nie był już terrorystą bez twarzy, ale twarz ta pozostała bezimienna. W czerwcu 1993 roku Unabomber dokonał 2 zamachów w odstępie 2 dni. W obu przypadkach bomby przesłał pocztą, a ich adresatami byli znani naukowcy: genetyk Charles Epstein z California University w San Francisco oraz specjalista od języków komputerowych w Yale, David Gelertner. Obaj zostali poważnie ranni, ale przeżyli zamach. Tego samego dnia kiedy bomba raniła Gelertnera, redakcja "New York Timesa" otrzymała list zawierający następujący fragment: Jesteśmy grupą anarchistyczną o nazwie FC. W tym samym mniej więcej czasie, kiedy dotrze do was ten list, nastąpi pewne godne uwagi wydarzenie. Spytajcie FBI o FC. Słyszeli o nas. We właściwym czasie prześlemy wam informacje na temat naszych celów. List zawierał też 9-cyfrowy numer identyfikacyjny, zapewniający autentyczność naszych przyszłych komunikatów. Znaczenie skrótu FC nie zostało wyjaśnione ("Freedom Club" czy "Freedom Community"?). I FBI nadal było przekonane, że tajemniczą grupą jest w istocie jedna osoba.

Słynny portret pamięciowy

List do "New York Timesa" stanowił jakby zapowiedź nowej, "publicystycznej" fazy działalności Unabombera. Zanim jednak, w połowie 1995 roku, maszynopis jego słynnego dziś manifestu przesłany został do redakcji tej gazety (a także "Washington Post"), terrorysta dokonał jeszcze 2 - tym razem śmiertelnych - zamachów. W grudniu 1994 roku wskutek wybuchu bomby zginął w swoim domu w New Jersey Thomas Mosser, dyrektor nowojorskiej agencji reklamowej, a w kwietniu następnego roku, w Sacramento w Kalifornii, eksplodująca przesyłka zabiła prezesa Kalifornijskiego Stowarzyszenia Przemysłu Leśnego, Gilberta Murraya. W tym też mniej więcej czasie rozpoczyna się drugi, równie surrealistyczny, etap sprawy. Po 17 latach mordowania i okaleczania, częstokroć przypadkowych i w większości zapewne nieznanym mu ofiar, Unabomber postanowił zostać filozofem społecznym. Jako zwiałuszc palcem na prawdziwych wrogów ludzkości: nauk i technice.

Manifest Unabombera, sążnisty traktat zatytułowany Społeczeństwo przemysłowe i jego przyszłość, trafił do "New York Timesa" i "Washington Post" w czerwcu jako ultimatum: ma zostać w całości opublikowany na łamach jednego z tych dzienników przed upływem 3 miesięcy. W przeciwnym razie mordercza działalność "FC" zostanie wznowiona. Jak świadczy przytoczony fragment tekstu (jeden z 232 starannie ponumerowanych paragrafów), Unabomber nie był osobnikiem pozbawionym realizmu. Tylko groźba śmierci niewinnych ofiar skłoniła go do szacowne redakcje do poważnego potraktowania jego propozycji. Napisany drewnianym i namaszczoneym językiem studentckiego wypracowania, maszynopis miał ponad 75 stron i zawierał litanie zwietrzałych już nieco idei, sformułowanych w pseudonaukowym żargonie. Niezależnie jednak od stylu i formatu przedstawionego dzieła, wydawcy gazet mieli także i inny dylemat. Słynną amerykańską wolność prasy, z której autor "poważnego eseju" wyraźnie sobie sztydził, traktują oni bardzo serio i nie lubią, kiedy każe im się coś wydrukować.

Zaczęła się więc wśród dziennikarzy wielka debata. No bo, z jednej strony, gdy ogłoszą, to może uratują komuś życie; z drugiej, jeśli raz ogłoszą, to jaką mają gwarancję,

że za tydzień 10 innych grafomanów i terrorystów nie przyśle im swoich rękopisów?

W końcu jednak ogłosili, spełniając oficjalną prośbę prokuratora generalnego, pani Janet Reno. Manifest Unabombera "rzucony został na rynek" 19 września, na krótko przed upływem trzymiesięcznego terminu, w postaci specjalnej wkładki do "Washington Post" ("New York Times" pokrył koszt). Nakład został natychmiast wyprzedany.

Nie znaczy to, że treść dokumentu pozostawała przedtem tajemnicą. Obszerne jego fragmenty opublikowane zostały jeszcze w czerwcu, a w lecie agenci FBI jeździli po kraju, dostarczając kompletne kopie około 50 wybranym osobom. Byli to głównie profesorowie historii nauki (skądinąd, moja specjalność), porozrzucający po uniwersytetach leżących na szlaku terrorysty - od Chicago, przez Salt Lake City, do Kalifornii. Według jednej z hipotez śledczych, poszukiwany przestępca - jak sugerowała analiza merytoryczna tekstu - prawdopodobnie zaliczył kiedyś wykłady z tej dyscypliny. Być może, łudzili się wywiadowcy, których z profesorów rozpoznał w manifeste styl i poglądy swego byłego studenta. Nadzieje ich jednak nie spełniły się. Kilka tropów prowadziło donikąd, a kiedy już idee Unabombera stały się powszechnie znane, efektywność śledztwa została skutecznie zniweczona przez gorliwych obywateli, którzy w ciągu 2 tygodni przekazali do FBI 20 tys. donosów.

Dokładnie tak, jak przewidział Unabomber, esej jego stał się wydawniczym sukcesem. W ciągu kilku dni po publikacji tysiące ludzi - bibliotekarzy, nastolatków, urzędników państwowych i gospodarzy domowych - nawiedziło "Washington Post" bądź też zadzwoniło do redakcji w poszukiwaniu egzemplarzy Społeczeństwa przemysłowego. "Time Warner" umieścił tekst w swej witrynie Internetu, gdzie natychmiast zaczęły się zawiązywać grupy dyskusyjne o nazwach takich, jak "alt.fan.unabomber" czy "Kościoł Eutanazji". Profesorowie zaczęli zadawać studentom lekturę manifestu jako pracę domową. Jednym słowem, Unabomber znalazł się w intelektualnym establishmentie.

Niektóre z ofiar zamachów

Dowodem na to, że traktat terrorysty potrafił kilka strun, które zarezonowały w pewnych kręgach amerykańskiej inteligencji, są m.in. dwa artykuły, opublikowane w liberalnym tygodniku "The National" i w "Time". W pierwszym z nich Kirkpatrick Sale, autor wcześniejszej książki o antytechnologicznym ruchu ludystów i znany rzecznik ochrony środowiska, który był jednym z wczesnych, wybranych przez FBI czytelników dzieła Unabombera, scharakteryzował je jako wypowiedź racjonalnego i poważnego człowieka, głęboko oddanego swej sprawie, który jego sformułowaniu poświęcił wiele namysłu, pracy i czasu. W przedstawionym przez Sale'a edytorskim skrócie dokument ten wydaje się nawet mieć jakiś sens. Jego centralnym motywem jest idea, że "system przemysłowo-technologiczny", w którym żyjemy, jest społeczną, psychologiczną i środowiskową "katastrofą dla gatunku ludzkiego". (Fakt ten, w oczach przychylnego komentatora, czyni Unabombera bez mała spadkobiercą duchowym Jeana Jacquesa Rousseau i innych proroczych prekursorów współczesnego ruchu ekologicznego). System ten, na skutek swej przytłaczającej złożoności, pozbawił ludzką wolność, czyli zdolności do kontrolowania okoliczności własnego życia. W konsekwencji, współczesny człowiek splewany jest siecią praw i przepisów i los jego zależy od działań nieznanymi mu osób, na których decyzje nie ma on żadnego wpływu.

Cały ten nieludzki i sprzeczny z naturą system zawalił się zresztą za około 40 do 100 lat i obowiązkiem świadomych jednostek (takich jak FC) jest przyspieszenie jego rozkładu przez pogłębianie napięć społecznych i destabilizację społeczeństwa przemysłowego. Ta destabilizacja doprowadzi w końcu do antytechnologicznej rewolucji. A potem? Potem będziemy żyli długo i szczęśliwie w małych grupach plemiennych, żywiąc się korzonkami i czerpiąc duchową siłę z bliskiego obcowania z naturą, od której nie będzie już nas dzielić dehumanizująca technika. Sale, choć znajduje dla generalnej koncepcji Unabombera wiele życzyliwych słów, nie uważa wszakże jego traktatu za w pełni zadowalający - gdyby była ta praca jego studenta, oceniliby ją, jak przyznaje, na 3+. Brak jej wewnętrznej spójności logicznej i pozostawia ona wiele nie wyjaśnionych punktów. Dlaczego, na przykład, autor sądzi, że wysyłanie pocztą bomb do nieznanymi ludźmi przyspieszyć ma nadejście tych nowych, lepszych cza-

ków? Czy przyszła społeczna transformacja ma być (nie daj, Boże) krwawą rewolucją w stylu bolszewickim, czy stopniowym procesem ewolucyjnej przemiany? W sumie, konkluduje Sale, warto rzecz opublikować, choć Unabomber nie omieszczał powołań się, z należytym respektem, na swych znakomych prekursorów, wśród których Sale wymienia Williama Blale'a, Mary Shelley, Lewisa Mumforda, Jacquesa Ellula i Maxa Webera. Może nigdy o nich nie słyszał?

Kalifornia: tu Unabomber wykładał matematykę...

Nieco inny charakter miał tekst Roberta Wrighta w tygodniku "Time". Autor opublikowanej w 1994 roku znakomitej książki Moral Animal: Why We are the Way We are: The New Science of Evolutionary Psychology, nie próbował dokonać egzegezy Społeczeństwa przemysłowego. Z opublikowanych fragmentów wybrał jeden passus jako motto swego artykułu i ugotował na nim zupę z gwoździami... Wspomniany passus pochodzi z 46 paragrafu manifestu, którego pierwsze słowa brzmią: Społeczne i psychologiczne problemy nowoczesnego społeczeństwa przypisujemy faktowi, że społeczeństwo to zmusza ludzi do życia w warunkach radykalnie odmiennych od tych, w których ludzka rasa rozwinęła się drogą ewolucji i do zachowań sprzecznych ze schematami zachowań, jakie ludzka rasa rozwinęła w owych wcześniejszych warunkach. Jest rzeczą zrozumiałą, że fragment ten zaintrygował Wrighta - mógł on, na dobrą sprawę, być przepisany z jego własnej książki.

Aby lepiej zrozumieć samą ideę "amerykańskiego kryzysu duchowego", dobrze jest zrobić w tym miejscu małą dygresję. Miliony ludzi na wszystkich kontynentach wydają się wciąż zapatrzony w wizerunek Ameryki jako raj na Ziemi, kraju nieograniczonych możliwości, oazy szczęścia oraz wolności. I wielu ryzykuje życie i zdrowie, by dotrzeć do tej Ziemi Obiecanej, maszerując przez pustynie czy przepływając morza na tratwach. Ja sam, jako nowo przybyły, rozumiem dobrze ich fascynację i nadzieje. Ameryka okazała się dla mnie łaskawa. Im dłużej jednak tu mieszkam, tym częściej spotykam ludzi - często mądrych i zamożnych Amerykanów - którym kraj ten jawi się jako przedsiónek piekła, podążający coraz szybciej ku skrajowi przepaści. Ten stan duchowej mizerności, szczególnie dotkliwie odczuwany przez wykształcone warstwy społeczeństwa (sam opis ten kondycje wymagałby osobnej książki), jest ewidentnie irracjonalny i wyjaśnienie jego podłoża wymaga sięgnięcia do podświadomości.

Psychoanaliza popadła jednak ostatnio w niełaskę - jak cierpko zauważa Wright we wstępie do swego artykułu; nikt dziś, na przykład, nie wierzy Freudowi na słowo, kiedy ten zapewnia, że nasz przodek żył w "pierwotnej hardzie", pod absolutną władzą autokratycznego samca, aż do dnia, kiedy synowie zbuntowali się, zamordowali go i spożyli jego ciało. W jakim cudownym sposób akt ten spowodować miał powstanie religii, a także pozostawić w naszych duszach głęboki osad poczucia winy. Dziś, twierdzi Wright, psychoanaliza zastąpiona została przez psychoanalogię ewolucyjną jako klucz do mrocznych zakamarków ludzkiej natury. Może więc Unabomber jest praktykującym psychologiem ewolucyjnym? Kto wie? Są w końcu w tej grupie uczonych i tacy, którzy przewidują, że dyscyplina ta zrodzi wkrótce nową, pokrewną dziedzinę badawczą, zwaną "teorią nieprzystosowania". Badać ona będzie psychologiczne schorzenia, których źródłem jest kontrast między współczesnym światem a pierwotnym środowiskiem naszych praojców. Cokolwiek można o tym ostatnim powiedzieć (choć tak naprawdę nikt nie potrafił go zrekonstruować z pełną wiarygodnością), to jedno jest dla Wrighta pewne - jego mieszkańcy nie cierpieli na społeczną izolację. Separacja od gromady oznaczała szybką śmierć. Nasi przodkowie zapewne rzadko lub nigdy nie cierpieli na depresję, mieli znacznie mniejszą skłonność do samobójstw i nie odczuwali alienacji. Należy też uczciwie dodać, że umierali zwykle w kwiecie wieku.

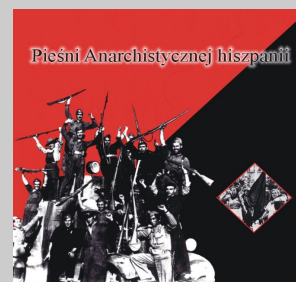
Jest trochę Unabombera w większości z nas - otwiera Wright swój wywód. - Możemy nie podzielać jego metody ekspresji swego niezadowolenia, ale samo niezadowolenie wydaje się znajome. Istotnie, generalna niechęć wobec nowoczesnej technologii wydaje się szeroko rozpowszechniona wśród tego społeczeństwa, które jest dość szczęśliwe, by na co dzień z niej korzystać. Ta niechęć, wyraźnie obecna w kontrkulturze lat sześćdziesiątych, ale mająca dużo głębsze korzenie, wydaje się dziś, po upadku Związku Radzieckiego, silniejsza niż kiedykolwiek. Ist-

nienie imperium komunistycznego było (choć może trudno w to uwierzyć) dla wielu Amerykanów źródłem nadziei na jakąś realną alternatywę dla "bezdusznego" kapitalizmu. Dla innych komunizm był śmiertelnym wrogiem, walka z którym nadawała ich życiu sens. Upadek komunizmu spowodował uczucie pustki po obu stronach ideologicznej barykady i dziś coraz częściej słyszy się opinię, że prawdziwa linia podziału przebiega gdzieś indziej - komunizm i kapitalizm właściwie mało się różniły, bo obie ideologie popierały postęp technologiczny. Przyszła bitwa rozegra się między zwolennikami technologii a obrońcami natury. Jest jedno pytanie, na które na razie brak odpowiedzi: co to jest natura?

Na taką to intelektualną głębię padła ostatnia (tym razem ideologiczna) bomba terrorysty, wystawiając wielu, skądinąd niegłupich, ludzi na nieprzepartą pokusę romantycznej interpretacji polspolitej zbrodni. W całym zamęcie przytomność i racjonalny osąd zachowała tylko policja. Kilka tygodni po opublikowaniu dzieła Unabombera i przeanalizowaniu wszystkich posiadanych informacji FBI doszło do następujących wniosków. Rzekoma ideologiczna motywacja jego terrorystycznych aktów jest nieprzekonywująca. Unabomber prawdopodobnie nigdy nie studiował historii nauki bądź matematyki, jak poprzednio sądzono. Esey jego autorstwa zawiera mało znamion intelektualnej oryginalności. Terrorysta jest człowiekiem zdradzającym cechy osobowości typowe dla innych seryjnych morderców. Jest obsesyjnie metodyczny, co można wywnioskować ze sposobu konstruowania bomby; przypuszczalnie to samotnik o niskim poczuciu własnej wartości. Jeśli mieszka w swoim sąsiedztwie, to prawdopodobnie jego zachowanie nie budzi żadnych podejrzeń. Seryjni zabójcy są często idealnymi sąsiadami. Jak widać, wnioski FBI okazały się już po raz kolejny mocno uproszczone...

Dlaczego działał ponad 16 lat, zanim postanowił wyjaśnić swe rzekome motywy? Istnieje na ten temat kilka hipotez. Jedna, generalna, głosi, że patologiczni zbrodniarze o opisanym typie osobowości angażują się w swą działalność jak w grę, w której ciągle podnosi się stawka. Unabomber nie tylko udoskonalał swą coraz bardziej zabójczą technikę, ale zaczął poszukiwać dodatkowej ekscytacji, prowokując organa ścigania swymi listami, które - jak dobrze wiedział - mogą zawierać informacje zwiększające prawdopodobieństwo jego ujęcia. Druga hipoteza jest bardziej specyficzna. Wszyscy jesteśmy próżni i Unabomber musiał czerpać pewien rodzaj perwersyjnej dumy z faktu, że przez lata był "wrogiem publicznym nr 1", najbardziej poszukiwanym przestępcą w Ameryce, za głowę którego wyznaczono milionową nagrodę. Ta jego pozycja (jak twierdzi ewolucyjni psychologowie, wszyscy jesteśmy wrażliwi na status społeczny) została zagrożona 19

Pieśni Anarchistycznej Hiszpanii



Nakładem wydawnictwa Czarny Sztandar Records ukazała się płyta CD "Pieśni Anarchistycznej Hiszpanii"

Płyta zawiera 23 utwory z czasów rewolucji hiszpańskiej, w przeważającej większości nie znane wcześniej w Polsce - w sumie prawie godzina muzyki z anarchistycznym przesłaniem.

Cena płyty: 15 PLN przy zamówieniach do 10 sztuk (13 PLN powyżej tej ilości) + koszty przesyłki (7.20 PLN za pojedyncze egzemplarze lub 8.50 przy większej ilości)

kwietnia 1995 roku, kiedy eksplodująca w Oklahomie ciężarówka, wypełniona materiałami wybuchowymi, zniszczyła budynek federalny, zabijając 168 osób. Unabomber musiał ustąpić swe miejsce Timowi McVeigh. I wtedy, zapewne, postanowił przypomnieć się szerokiej publiczności. 24 kwietnia 1995 roku w Sacramento, w Kalifornii, ginie od wybuchu bomby Gilbert Murray, prezes Kalifornijskiego Stowarzyszenia Przemysłu Leśnego. Przesłana pocztą paczka była adresowana do osoby poprzednio zajmującej jego biuro...

KRZYSZTOF SZYMBORSKI

MANIFEST

96. Co do naszych zagwarantowanych konstytucyj praw, to rozważmy, na przykład, wolność prasy. Nie chcemy oczywiście pozbawić społeczeństwo tego przywileju; jest to bardzo ważny instrument ograniczający koncentrację władzy politycznej i trzymający w ryzach tych, którzy władzę taką mają, przez publiczne obnażanie ich nieuczynnych postępów. Jednakże wolność prasy ma bardzo małe znaczenie dla przeciętnego obywatela jako jednostki. Środki masowego przekazu są w większości pod kontrolą wielkich korporacji i stanowią integralną część systemu. Każdy, kto ma trochę pieni-



dzy, może coś wydrukować albo rozpowszechnić swe idee poprzez Internet czy w inny podobny sposób, ale cokolwiek ma on do powiedzenia, zostanie zatopione w powodzi informacji transmitowanych przez media, a zatem nie będzie miało praktycznego efektu. Wywarcie wrażenia na społeczeństwie poprzez słowa jest więc prawie niemożliwe dla jednostki lub małej grupy. Weźmy nas (FC) jako przykład.

Gdybyśmy nigdy nie popełnili żadnych aktów przemocy i wysłali ten tekst do wydawcy, prawdopodobnie nie zostałby on przyjęty do druku. Gdyby został opublikowany, prawdopodobnie nie przyciągnąłby uwagi wielu czytelników - dlatego że oglądanie programów rozrywkowych w telewizji jest bardziej zabawnym sposobem spędzania czasu niż czytanie poważnego esaju. Nawet gdyby ten tekst znalazł wielu czytelników, większość z nich wkrótce zapomniałaby, co czytała, bo ich umysły są otepione zalewem bezmyślnej mioty. Aby przedstawić nasze przesłanie szerszemu kręgowi czytelników z pewną szansą wywarcia na nich trwałego wrażenia, musieliśmy więc zabijać.

ANARCHIZM JAKO NIEODŁĄCZNA CZĘŚĆ CHRZEŚCJAŃSTWA

konstruowanie broni, formuje i szkoli armię. Ktoś mógłby powiedzieć, że mogą być państwa nie prowadzące wojen (neutralne). Jednak pokój jest chwilowym stanem. Do władzy często dochodzą ludzie chciwi, a więcej podatników zyskają przez podbój nowego terytorium. Chrześcijanie powinni zwalczać wojny. Nasuwa mi się pewne hasło reklamowe: "Usuwa przyczyny, a nie skutki łupieżu". Przyczyna wojen leży we władzy, zawsze dążącej do pieniędzy.

DLACZEGO ANARCHIZM KŁOCI SIĘ Z OBECNĄ INSTYTUCJĄ KOŚCIOŁA

Obecnie często w kościele możemy usłyszeć wypowiedzi pochwalające zabijanie na wojnie, oraz hasło "Bóg, honor, ojczyzna". Jednak to co powiedziałem w pierwszej części artykułu jest z tym całkowicie sprzeczne, bo nawet papież powiedział, iż obrona państwa jest czynem chwalebny. Dotyczy to tylko stanu, kiedy państwo jest napadane. Nazywane jest to obroną bliźnich. Ale wg. Pisma Świętego WSZYSCY ludzie są bratnimi. A granica państwa jest jego własnym wytworem, nie boskim. Czy taka przyziemna rzecz jak kreska na mapie ma wyznaczać, czy odbiorę człowiekowi mieszkającemu za nią jego życie? Każdy jest bliźnim: Polak, Czech, Żyd, Japończyk, Mongoł i w ogóle KAŻDY CZŁOWIEK. Papież (wzbudzający litość, a przez to zaufanie starszerek) po prostu wspomaga państwa. Jak to się dzieje, że państwowa telewizja emituje transmisję "Anioł Pański"? Odpowiedź brzmi: instytucja kościoła i państwo nawzajem się wspomagają. Kościół wklepuje do głowy "patriotyzm" w zamian za propagowanie chrześcijaństwa w państwie (krzyż na sali obrad, Wałęsa nosił wizerunek Matki Boskiej). To się nazywa współpraca na zasadzie obopólnej korzyści. Wypowiedzi (nie wszystkich) dostojników duchownych są więc sprzeczne z zasadami Pisma Świętego, które powinno stanowić główne źródło wiedzy chrześcijan. Dlaczego więc większość ludzi dała się otumanić fałszywym duchownym? Ponieważ żywa istota sprawia lepsze wrażenie niż martwa książka. Któryś z następców Św. Piotra źle wybrał swojego następcę, co spowodowało dalej reakcję łańcuchową. Oczywiście istnieją chrześcijanie żyjący poza aparatem państwa, a są nimi amish. Oni zrozumieli, iż zło opanowało instytucję kościoła (nie mylić z wiarą). Jestem ateistą, lecz postaram się wytłumaczyć zrozumiale dla chrześcijanina obecny stan rzeczy: Szatan opanował instytucję kościoła i przywdział dobrą maskę, abyśmy go nie rozpoznali. Książka namawiająca do obrony państwa, poprzez zabijanie, a przecież to kłóci się z Pismem Świętym - podstawą wiary.

5. Nie zabijaj (dla wszystkich)

7. Nie kradnij (dla polityków)

10. Ani żadnej rzeczy, która jego (bliźniego) jest

Z Przykazania Miłości: ...a bliźniego swego jak siebie samego (jeżeli nienawidzisz agresora, to nienawidzisz siebie, jeśli go zabijesz to musisz stracić i siebie)



Anarchizm - stan porządku bezpaństwowego
Państwo - organizacja narzucająca coś siłą podwładnym na swoim terenie, dodatkowo ma organ który chroni państwa, a utrzymuje się z pieniędzy siłą wydzieranych ludziom.
Libertarianizm - dążenie do wolności na wszelkie możliwe sposoby, m.in. poprzez anarchizm, ateizm Tak mniej więcej rozumiem te pojęcia i wymieniałem je na wstępie dlatego, że cały artykuł jest oparty na nich i Piśmie Świętym. Choć o libertarianizmie nie ma tu mowy to zamieściłem jego definicję tylko z powodu częstego mylenia go z anarchizmem. Chodzi mi o to, że chrześcijanin może być anarchista lecz nie libertarianinem.

DLACZEGO CHRZEŚCJANIN WINIEN REPREZENTOWAĆ SOBĄ ANARCHISTYCZNĄ POSTAWĘ

Katolikowi nie przeszkadza bycie Anarchistą, gdyż w dekalogu ani nigdzie nie ma zapisku, że ten kto wierzy w Boga ma służyć państwu (przynajmniej ja takowego nie znam). Myślący katolik powinien wyciągnąć z zasad swojej wiary i doświadczenia razem wziętych wręcz przeciwne wnioski. Piąte przykazanie sprzeciwia się zabijaniu ludzi w ogóle. Nie ma żadnych okoliczności usprawiedliwiających morderstwo (może tylko wtedy, jeśli zapobiegnie to śmierci większej ilości ludzi). Więc chrześcijaństwo oznacza sprzeciw wobec zabijania. Najwięcej ofiar jest w wojnach i katastrofach typu wybuchy wulkanów, epidemie, trzęsienia ziemi. Wobec tych drugich ludzie są bezradni (wierzący mogą odmawiać modlitwy), ale wojny... Wojny są wytworem podziałów (państwowych, etnicznych, religijnych). Różnic etnicznych nie zlikwidujemy, a chrześcijanie z mocy dekalogu nie mogą zabijać w imię Boga. Każdy katolik powinien reprezentować postawę sprzeciwiającą się państwu, ponieważ ono wprowadza podziały, finansuje

Jeżus powiedział, że Św. Piotr i jego następcy będą nieomylni. Jednakże powtarzam po raz kolejny: Pismo Święte jest głównym źródłem wiedzy o Bogu dla chrześcijanina. To co mówi papież kłóci się z owym dokumentem. Lecz Bóg nie zmienia poglądów, gdyż od samego początku był nieskończenie mądry i już wtedy wybrał najmądrzejszą drogę dla ludzi. Chrześcijanie powinni się więc zastanowić: ufać Bogu czy ludziom. Bóg tworzy wiarę, ludzie są jej pośrednikami (przypomina mi się tu zabawa w "Głuchy telefon"). Wiem, że przedstawiony tu punkt widzenia kłóci się z punktem widzenia wielu anarchistów jak i chrześcijan. Chciałbym, aby ludzie po przeczytaniu tego artykułu nie kierowali się tym, jak odebrali to inni lecz oni sami. Artykuł ten ma dawać alternatywną postawę "chrześcijanina-anarchysty" wobec powszechnie przyjętej postawy "chrześcijanina-patrioty". Nie będę już tu się rozpisywał nad tym, czy anarchia jest chaosem, gdyż wg. mnie te kwestie najlepiej wyjaśnia "Krytyka systemu państwowego" ze wszystkich znanych mi artykułów. Wszelka zawarta tu krytyka kościoła odnosi się do jego obecnej instytucji, nie wiary. Jest to moja subiektywna opinia i nie musisz się z nią zgodzić.

KOMENTARZ

Chciałbym wypowiedzieć się na temat tekstu ANARCHISTY o anarchizmie jako nieodłącznej części chrześcijaństwa. Zgadzam się w pełni z pierwszą częścią wypowiedzi tj. DLACZEGO CHRZEŚCJANIN POWINIEN REPREZENTOWAĆ SOBĄ ANARCHISTYCZNĄ POSTAWĘ (świetne argumenty, nie dodać, nie ująć). Mam jednak zastrzeżenia co do drugiej części. Po pierwsze ANARCHIST krytykuje mocno papieża nie wspominając, że POTĘPIŁ on konflikt w Iraku i sposób w jaki USA i Anglia zdecydowały się ten problem rozwiązać. Odpada więc argument o pochwalaniu zabijania na wojnie. Owszem zgadzam się całkowicie jeżeli chodzi o kwestię braterstwa i obrony ojczyzny. Następnie papież powiedział, że obrona państwa jest czynem chwalebny. No i dobrze! Niepotrzebnie krytykowane są te słowa głowy kościoła katolickiego. Papież nie powiedział przecież w jaki sposób ta obrona ma być przeprowadzona (oprócz wojny istnieją inne formy rozstrzygnięcia konfliktów np. negocjacje, kompromisy). Poza tym piąte przykazanie chyba nie ma na myśli tego, iż w wypadku zaatakowania kraju przez agresora ludzie mają czekać na niechybną śmierć, nie broniąc się (np. Polacy podczas II wojny światowej). Po drugie ANARCHIST przyczepia się do transmisji "Anioł Pański" (państwo wspiera Kościół). W takim razie powinien też napisać o filmach sensacyjnych (państwo wspiera przemoc) czy fantastycznych (państwo wspiera pozaziemskie formy życia). Po trzecie Wałęsa nosił Matkę Boską, bo jest chrześcijaninem, a nie z powodu propagowania katolicyzmu (może księża mu jeszcze za to zapłacili?). Tak samo pacyfista ma prawo do noszenia pacyfki, a satanista pentagramu. Po czwarte Pismo Św. nie jest książką historyczną i każdy je czytając interpretuje je na swój sposób (księża mają swoją interpretację, a wierni swoją). A co do tego, że większość ludzi chodzących do kościoła co niedzielę nigdy nie miała Pisma Św. w rękę to już temat na inny raz. Jeżeli ANARCHIST tak dobrze zna Pismo Św. i znalazł gdzieś fragment o nieomyślności następców św. Piotra, to proszę o

numer wersu.

ODPOWIEDŹ NA KOMENTARZ RAPI

1. Sprostuję moją wypowiedź: papież może nie popiera wojen, ale pochwała zabijanie w OBRONIE ojczyzny. To z kolei jest również złe. Jak wiadomo podczas wojen ludzie nie bronią siebie, lecz tylko rządu. Przecież nikt nie chce wciskać się np. na miejsce ojca w rodzinie. Agresor dąży jedynie do tego, aby ludzie z państwa podbijanego płacili podatki jemu, a nie poprzednikowi (więc podatników chce zachować). Przytoczę tu pewne hasło "Koryto za samo, tylko świnię się zmieniają". Co do chrześcijan to nie

powinni oni brać udziału w konflikcie lecz stawiać przeciwko niemu, starać się pogodzić zwaśnione narody. Jestem za to zwolennikiem walki z rządem, który ma rasizm w swoich prawach. Wtedy to jest walka z rasizmem a nie innym rządem. 2. Transmisja modlitwy mi nie przeszkadza, przytoczony przykład był tylko i wyłącznie argumentem popierającym tezę o współpracy państwa i kościoła na zasadzie obopólnej korzyści. Państwo propaguje chrześcijaństwo, a kościół propaguje patriotyzm. Obie strony "reklamują" się wzajemnie. 3. Patrz punkt 2. Poza tym uważam, że nie powinno się mieszać wiary z polityką. Nie jest to w porządku wobec np. ateistów, którzy wybrali

go jedynie ze względów politycznych. 4. Pismo Święte ma własne, stałe przesłania. Mówisz o własnej interpretacji. Dzięki takiemu rozumowaniu ludzie starają się zinterpretować PŚ tak, jak im będzie najwygodniej, a nie najwłaściwiej. Poza tym, jeśli czyjaś interpretacja nie zgadza się z dekalogiem i przykazaniami to znaczy to, że jest ona niewłaściwa. A co do cytatu to postaram się go znaleźć.



ANARCHISTYCZNA KRYTYKA MARKSIZMU I ANTYMARKSISTOWSKI MARKS

David Gordon

**Marks i młodohegliści**

Jako student Marks należał do tak zwanych młodoheglistów. Członkowie tej grupy, choć różniący się między sobą w wielu szczegółach, chcieli sprowadzić filozofię Hegla (1770-1831) na ziemię. To znaczy, uważali, że słynna Absolutna Idea Hegla jest nader abstrakcyjna; zamiast urzeczawiać ideę rozumu i śledzić jej ciągły rozwój przez całą historię ku całkowitej samoświadomości, powinno się badać rzeczywistych ludzi. Fryderyk Engels (1820-1895), wielki współpracownik Marks, podkreślił w swych wspomnieniach, *Ludwig Feuerbach a zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej* (1), znaczenie, jakie dla młodoheglistów miała teza Feuerbacha (1804-1872), że abstrakcje w stylu Hegla są w rzeczywistości projekcjami ludzkich potrzeb. Sam Marks we swych wczesnych pracach (np. *Rękopisach ekonomiczno-filozoficznych* (2), *Świętej Rodziny* (3) czy *Ideologii niemieckiej* (4)) podkreślał tak, jak Feuerbach, że nierzeczywiste abstrakcje wywodzą się z alienacji człowieka z jego prawdziwej "istoty gatunkowej" (*Gattungswesen*). Jednak krytykował on Feuerbacha za bycie samemu zbyt abstrakcyjnym: Feuerbach, jak utrzymywał Marks, nie potrafił właściwie uwadzić społecznych i historycznych przyczyn tej alienacji, przeciwko której tak protestował. Ale w czymkolwiek Marks różnił się od Feuerbacha, zgadzali się oni obaj co do tego, że Hegel porusza się na nierealistycznie abstrakcyjnym poziomie. Najbardziej szczegółową krytykę Hegla Marks zawarł w swej *Krytyce heglowskiej "filozofii słusności"* (5). (Być może w tym punkcie warto zwrócić uwagę na fakt, że Hegel może być dużo mniej abstrakcyjny i bardziej radykalny politycznie,

niż sądzili młodohegliści. Takie stanowisko przyjmuje Alexandre Kojève w swej błyskotliwej pracy *Introduction to the Reading of Hegel* (6), jak również Shlomo Avineri (7). Inną znaczącą próbą marksyzacji Hegla jest wciąż jeszcze *Reason and Revolution* Herberta Marcusego (8), choć nieprzejrzystość jego stylu czyni ją niedostępną dla wszystkich poza zaprzysięgłymi entuzjastami).

Max Stirner kontra Marks

Historia młodoheglistów jest znana, ale nie jest tak znane to, że jeden z członków tego kręgu, radykalny egoista i anarchista Max Stirner (właściwie Johann Caspar Schmidt, 1806-1856) obrócił młodoheglowską krytykę Mistra przeciwko samej tej grupie. Nie tylko Hegel, ale także jego lewicowi uczniowie poświęcili się śmiertelnie nudnemu zajęciu urzeczawiania abstrakcji, to jest traktowania ich tak, jakby były one rzeczami. Krytyka Stirnera, daleka od tego, by być w intelektualnej historii poronionym już na prasie drukarskiej, niezauważonym zбочeniem, oddziaływała w wielkiej mierze na Marksa. Próbie odparcia zarzutów Stirnera poświęcił on drugą, bardziej drobiazgową część *Ideologii niemieckiej* (1846) i choć wątpliwe, by kiedykolwiek porzucił swe zainteresowania filozoficzne, od tego czasu pisał o filozofii bardzo mało. (II część *Ideologii niemieckiej* jest dostępna po angielsku tylko w edycji wydanej w Moskwie, tak, że jest często ignorowana).

Głównym dziełem Stirnera jest *Jedyny i jego własność* (*Der Einzige und sein Eigentum*, 1844), przetłumaczony na angielski jako *The Ego and Its Own*; szczególnie polecane jest wydanie z krytycznym wstępem i przypisami Jamesa J. Martina (9)...)

Dla Stirnera idee były "zjawami", które, jeśli uznawało się je za coś innego niż swobodne twory ludzi, mogły stać się złośliwymi krępującymi siłami. Na przykład wyobrażenie, że istnieją powinności moralne, które są czymś obowiązującym człowieka, ma być zupełnie odrzucone. Dlaczego ma się pozwalać takim ideom, jak "powinno się" czy "nie powinno się" na mieszanie się do każdego zajęcia jednostki, cokolwiek chce ona robić? Stirner całkiem dosłownie bierze motto rabelaisowskiego Opatu Thélème: "Rób co chcesz musi być całym prawem". (Wysiłki Stirnera w celu dezintegracji wszelkiej rzekomej istoty lub natury posiadanej przez człowieka i jego nacisk na odruchowości mają nieco wspólnego z teorią jaźni Hume'a i, współcześnie, ze zbliżaniem się do osobowej tożsamości Dereka Parfita (10). Żaden z tych autorów nie popierał jednak przyjmowanego przez Stirnera radykalnego poglądu na moralność).

Jest oczywiste, że pod pewnymi względami spostrzeżenia Stirnera są kontynuacją standardowego stanowiska młodoheglowskiego, ale wziął on ich ideę dużo głębiej. Oczywiście pozbýł się jako "zjawy" heglowskiego *Geist* (lub Ducha), ale zaatakował nie tylko Hegla. Pojęciowa miotła

Stirnera wymiotła samych młodoheglistów, z ich gadaniem o istocie człowieczeństwa. I oczywiście poglądy Marksa nie były żadnym wyjątkiem. Gdy Marks mówił o alienacji człowieka z jego istoty, używał słów przez Stirnera wyklętych.

Analiza Stirnera

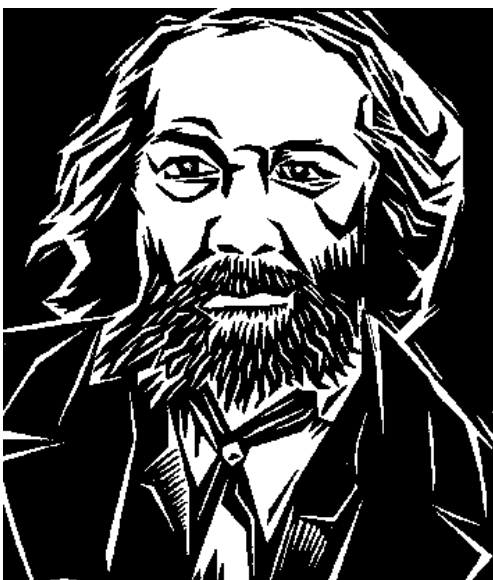
Wydaje się, że Stirner ma bez wątpienia rację utrzymując, iż jeśli rozumieć abstrakcje jako całkowicie podporządkowane temu, co jednostka chce w danej chwili robić, to marksizm upada. Ale czy on to wykazał? Można, sądzę, twierdzić, że postawił on dwie zasadnicze tezy, choćby taka interpretacja miała być zbyt wielkim uschematyzowaniem licznych partii dzieła Stirnera. Ryzykując pewne uproszczenie, można jednak powiedzieć, że Stirner utrzymywał po pierwsze, iż wszystkie abstrakcyjne terminy nie mają sensu, jeśli brać je za coś innego niż wyraz działalności ego, a po drugie, iż nie ma żadnych uzasadnionych zarzutów etycznych przeciwko egoizmowi chwili.

Co do pierwszego punktu, dotyczącego abstrakcyjnych terminów, stanowisko Stirnera jest w pewien sposób prekursorskie w stosunku do weryfikowalnościowego kryterium sensu bronionego przez pozytywistów logicznych; być może chciał on dowiedzieć, że abstrakcje nie mają sensu, o ile nie są testowane w postrzeganiu zmysłowym. Ale jeśli miał on na myśli właśnie to, to oczywiście nie wykazał prawdziwości tego poglądu. (I czy mógł to zrobić? Czy pogląd, że wszystkie pojęcia są "zjawami" nie jest sam, rozpatrywany z własnego punktu widzenia, "zjawą" i czy zatem nie podlega odrzuceniu? Stirner mógłby odpowiedzieć, że w każdym razie chce on uznać swoją doktrynę, nawet jeśli ktoś inny woli jej nie uznawać. Ale dlaczego wtedy ktoś, kto faworyzuje jakąś z odrzucanych przez Stirnera abstrakcji nie miałby zlekceważyć zarzutów Stirnera jako po prostu wyrazu arbitralnej preferencji z jego strony? Chociaż być może Stirner zaakceptowałby to). Warto zauważyć, że analogiczne podejście do sensu w wykonaniu pozytywizmu logicznego również nie wykazało owej prawdziwości. Dobre zwięzłe omówienie tego tematu dostępne jest w *God and Other Minds* Alvina Plantingi (11).

Jak sugerowałem wyżej, można spróbować oddzielić poglądy Stirnera na etykę od jakiegokolwiek ogólnej doktryny na temat sensu i rozumieć go po prostu jako (szczególnie radykalnego) etycznego subiektywistę. Jednak jeśli robi się to, wciąż będzie się musiało dojść do wniosku, że Stirner nie zrobił nic, by dowiedzieć prawdziwości swych poglądów na temat etyki. Oczywiście nie wynika z tego, że dzieło Stirnera jest filozoficznie bezwartościowe. System Stirnera rzuca pozytywne wyzwanie zwłaszcza w swej krytyce wartości osądów powinnościowych w etyce. Mówiąc bez osłonek, nie jest łatwo wykazać, że wartości są obiektywne. Jeśli interpretować Stirnera jako zadającego pytanie: "dlaczego" powinno się uważać osady etyczne za coś, co ma obiektywną wartość, jeśli

nie możemy dowieść ich słuszności?", to podniosłby on rzeczywiście kluczową kwestię. (Ostatnią znaczącą próbą wykazania obiektywności moralności jest *Reason and Morality* Alana Gewirtha (12), najlepsze omówienie tego znajduje się w *Philosophical Explanations* Roberta Nozicka (13)).

Nawet jeśli dojdzie się do wniosku, że ataki Stirera na abstrakcję i obiektywność etyczną nie powiodły się, to nie wynika jednak z tego (wracając do naszego tematu), że nie powiódł się jego atak na marksizm. Wydaje mi się, że jego praca podnosi przeciw Marksowi argument "ad hominem", który jest w najwyższym stopniu wartościowy. Skoro Marks, w sposób całkiem podobny Stirerowi, krytykował Hegla (i do pewnego stopnia Feuerbacha) za urzeczawianie abstrakcji, jak mógł on zapobiec zastosowaniu procesu Stirerowskiej krytyki do swego własnego systemu? Jeśli *Geist* Hegla jest bytem rzeczywistym, czemu nie ma być nim *Gattungswesen* Marksa? Można powiedzieć, że Stirer postawił Marksa przed trudnym wyborem: albo porzuć swoją krytykę Hegla, albo zastąpić ją do swego własnego systemu. Marks odpowiedział na krytykę Stirera w II części *Ideologii niemieckiej*. (Przytoczył on Stirera sztycherem jako "Świętego Maxa"). Sednem jego odpowiedzi jest to, że jego idee nie są "zjawami", ale w rzeczy samej są zakorzenione w konkretnej rzeczywistości społecznej. To właśnie ego Stirera, które podporządkowuje swym pragnieniom wszystko poza sobą, jest w rzeczywistości "zjawą", utrzymuje Marks. Osąd co do istoty tego sporu najlepiej, sądząc, pozostawić czytelnikowi.



Krytyka Bakunina

Anarchistyczna krytyka Marksa nie ograniczała się do tego, co parafrazując G. L. S. Shackle'a możemy nazwać "poziomem wysokiej teorii". Wprost przeciwnie, wielki rosyjski anarchista Michaił Bakunin (1814-1876) atakował Marksa na najbardziej podstawowym poziomie praktyki. W swojej broszurze *Państwowość a anarchia* (14) oskarżył on Marksa, że ten nie jest w rzeczywistości zwolennikiem wyzwolenia robotników. Kulminacją wymarzonej przez Marksa socjalistycznej rewolucji byłaby faktycznie brutalna dyktatura nad robotnikami. Bakunin podkreślał, że w przeciwnieństwie do jego własnego systemu dobrowolnie organizowanych syndykalistycznych związków Marks popiera, przynajmniej w początkowym stadium rewolucji, scentralizowaną kontrolę gospodarki przy pomocy dyktatury proletariatu. (Marks użył w swych dziełach wyrażenia "dyktatura proletariatu" tylko kilka razy, np. w *Krytyce Programu Gotańskiego* (1875) (15)). Ale ci, co skłonni są używać tego jako argumentu na rzecz "demokratycznego" Marksa ignorują fakt, że w korespondencji identyfikował on to pojęcie jako jeden ze swych głównych wkładów do teorii (16)). Rzekoma dyktatura zwolenników, utrzymywał Bakunin, przekształciłaby się wkrótce w dyktaturę nad robotnikami. Nieopublikowana odpowiedź Marksa, zawarta w uwagach na marginesie artykułu Bakunina, jest skrajnie nieprzekonująca (17). Ogranicza się on do oskarżania Bakunina o zaprezentowanie opisu od początku do końca abstrakcyjnego, ignorującego historyczny kontekst, w którym zaistniałaby władza

proletariatu. Nie precyzuje bardziej szczegółowo, niż gdziekolwiek indziej w swych pracach, jak to społeczeństwo ma działać, ani też nie wskazuje gwarancji chroniących przed wywołaniem przez Bakunina koszmarem.

Rozwinięcie krytyki Bakunina

Zainicjowana przez Bakunina linia krytyki stała się jednym z najbardziej znaczących ataków na marksizm. Zwolennik Bakunina, polski anarchista Waław Machajski (1864?-1926) rozszerzył oskarżenie, że marksistowski gatunek socjalizmu nieuchronnie prowadzi do dyktatury, podkreślając rolę, jaką odegrałby naukowcy i inni technicy. Jeśli marksistowskie idee zastosowaby w praktyce, to elita technologiczna, jak sądził, zaprowadziłaby żelazną dyktaturę nad robotnikami. Idee Machajskiego omawiane były w znakomitym eseju Daniela Bella (18). Pełniejsze omówienie można znaleźć w *Rebels and Renegades* Maxa Nomada (19). Niektóre z prac Machajskiego dostępne są w języku angielskim w *The Making of Society* V. F. Calvertona (20). Antycypują one w interesujący sposób dwudziestowieczną krytykę sformułowaną przez jugosłowiańskiego komunistę Milovana Đzilasa w *Nowej klasie* (21).

Dodatkowy bodziec antymarksizmowi tego typu dał początek rewolucji bolszewickiej w listopadzie 1917 r., jako że anarchistyczne proclwa dyktatury okazały się wkrótce skromnymi, statecznymi i powściągliwymi opisami bardziej ponurej rzeczywistości. Przeciw dyktatorskim i gnębielskim aspektom nowego rosyjskiego reżimu protestowało wielu z samych czołowych marksistów (np. Róża Luksemburg (22) czy Karl Kautsky (23)). Niektóre z "obron" przedstawianych przez bolszewików, np. *Terrorizm i komunizm* Lwa Trockiego (24) z jego otwartą obroną sprawy zniszczenia wrogów klasowych, wydawały się dostarczać krytyce przynajmniej tyle samo amunicji, ile miałyby ona bez nich. (Wciąż warto zajrzeć, jeśli o to chodzi, do interesującej dyskusji Trockiego z amerykańskim filozofem-pragmatystą Johnem Deweyem o terroryzmie, dostępnej w broszurze *Their Morals or Ours* (25)). Dewey skutecznie podkreśla, że usprawiedliwienie przemocy i pozornie niemoralnych środków przez Trockiego opiera się na niedowiedzionym założeniu, że dogmaty marksizmu są nieublaganymi prawami naukowymi). Byłoby czymś, jak sądzę, wykraczającym poza ramy naszego tematu omawiać literaturę opisującą reżim sowiecki, ale jako wczesną wskazówkę kierunku, w którym zmierzał komunistyczny rząd (i, nawiasem mówiąc, jako dowód, że egzekucje polityczne i obozy koncentracyjne nie były żadnym stalinowskim odstępstwem od leninowskiej ortodoksji) można potraktować nieocenioną pracę S. P. Mielgunowa (26). Oczywiście sytuacja nie wyglądała lepiej, gdy marksizm zastosowano w krajach tak zwanego Trzeciego Świata. Na ten temat patrz rozprawa Roberta Conquesta *Marxism and the Third World* (27).

Obroncy marksizmu mogliby twierdzić, że rosyjski rząd nie reprezentował naprawdę systemu, którego zwolennikiem był Marks. (Być może najbardziej znanym zwolennikiem tego punktu widzenia był nie kto inny, jak Trocki, który po swym wygnaniu z Socjalistycznej Raju gorzko oskarżył reżim Stalina w *Zdradzonej rewolucji* (28)). Krytycy socjalizmu sprzeciwiali się jednak tej linii obrony. Wracając w istocie do oryginalnego stanowiska Bakunina, krytycy ci wciąż powtarzali, że w centralnie planowanej i kierowanej gospodarce wolność nie może istnieć. Jeśli rząd posiada wszystkie maszyny drukarskie, pytał Friedrich A. Hayek w swej *Drodze do zniewolenia* (29) (1944), jak może istnieć wolność słowa? Hayek przedstawił podobieństwa między nazistowskim i komunistycznym typem dyktatury, i dowodził, że w socjalistycznym reżimie należy spodziewać się podobnych rezultatów. (Patrz w szczególności rozdział X *Drogi do zniewolenia*). Kolega Hayeka, austriacki ekonomista Ludwig von Mises, poszedł po tej samej linii krytyki w *Omnipotent Government* (30) i *Bureaucracy* (31). Mises antycypował już ten rodzaj antymarksistowskiej krytyki w swej wcześniejszej pracy *Socialism* (1922).

Antymarksistowski Marks?

(...) Sugerowałem, że pod pewnym względem sam Marks oferował bardzo skuteczną krytykę tego, co zazwyczaj uznaje się za system marksistowski. Jako przykład rozważmy podstawową tezę omawianej uprzednio anarchistycznej krytyki marksizmu, mianowicie twierdzenie, że państwowa kontrola gospodarki nieuchronnie prowadzi do dyktatury.

Marks o gnębielskim państwie

Marks przyznawał, że w pewnych okolicznościach (np. tam, gdzie między rozmaitymi klasami społeczeństwa występuje przybliżona równowaga) państwo może postuluje się na własną rękę niezależną i gnębielską siłą. Podkreśla on to zwłaszcza w jednym ze swych najsłynniejszych artykułów historycznych, *Osiemnaście brumaire'a Ludwika Bonaparte* (1852) (32). Co więcej, nawet tam, gdzie nie ma takiej równowagi między klasami i państwo jest uznawane za instrument klasy rządzącej, chroniący i uwieczniający jej panowanie nad resztą społeczeństwa, jest ono z tego właśnie względu widziane przez anarchistyczne okulary. To znaczy, Marks podobnie jak anarchiści widział państwo przede wszystkim jako instrument ucisku. Stąd już nie tak duży krok (choć oczywiście sam Marks go nie zrobił) do spytania się, wraz z anarchistą Bakuninem, dlaczego w marksistowskim socjalizmie państwo ma być czymś innym? Można powiedzieć, że anarchiści zechcieli po prostu zastosować marksowską negatywną analizę państwa do wszelkich jego przejawów. Myślę, że nie będzie to żadną wymuszoną analogią, jeśli populame wśród współczesnych wolnościowców, takich jak Murray Rothbard, podejście do państwa (wzięte z *The State* Franza Oppenheimera (33) i *Our Enemy The State* Alberta Jaya Nocka (34)) porówna się z analizą państwa w *Pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa* Engelsa (35). (Jeśli chodzi o wykazanie związków między marksistowską i wolnościową analizą państwa, wielkie znaczenie ma znakomity artykuł Waltera Grindera i Johna Hagela na temat wolnościowej analizy klasowej) (36). Prof. Steve Pejovich poszedł tak daleko, iż dowodzi, że występują podobieństwa między marksowskim opisem powstawania praw własności i podejściem faworyzowanym przez Harolda Demsetza, żarliwego obrońcę rynku. Obaj dowodzą, że prawa własności powstają w odpowiedzi na pewne potrzeby, ale Marksowi brakowało rzetelności analitycznych do przeprowadzenia przekonującej analizy z punktu widzenia indywidualizmu metodologicznego (37). Robert L. Cunningham, komentując pracę Pejovicha, wskazał, że trzeba zachować ostrożność co do tego, jak daleko tę analogię można poprowadzić (38).

Wittfogel o socjalizmie despotycznym

Będąc samemu socjalistą, Marks nie chciał rozciągnąć swej analizy państwa na socjalistyczny porządek, za którym orędownał. Ale według jednego ze znaczących dwudziestowiecznych badaczy marksizmu, Karla-Augusta Wittfogela, Marks uznawał niebezpieczeństwo możliwości powstania bezwzględnego despotyzmu nawet w socjalizmie. Wg Wittfogela Marks nie przyjmował, wbrew temu, co się potocznie sądzi, prostej, jednoliniowej teorii postępu społeczeństwa, tj. niewolnictwo-feudalizm-kapitalizm-socjalizm. Przeciwnie, uznawał on odmienny typ systemu, tak zwany azjatycki tryb produkcji. System ten był statyczną, centralnie kierowaną dyktaturą dającą niewielką okazję zmiany. Marks uważał, że ten azjatycki tryb produkcji ma kluczowe znaczenie przy wyjaśnianiu statycznych dziejów Chin i Rosji; i, w interpretacji Wittfogela, Marks bał się, że próby przekształcenia współczesnej mu Rosji w społeczeństwo socjalistyczne doprowadzą jedynie do innego wariantu zniecierliwionego azjatyckiego trybu. Lenin, uważał Wittfogel, żywił podobne obawy przed podpadnięciem na powrót w ten tryb. Być może zatem Marks nie był tak daleki od zrobienia tego, co nazwał ostatnim anarchistycznym krokiem, choć trzeba przyznać, że odczytanie Marksa przez Wittfogela jest kontrowersyjne. Podstawowym źródłem tej interpretacji jest jego (Wittfogela) *Oriental Despotism* (39). Jeśli chodzi o przykładową odpowiedź marksistowską (moim zdaniem bardziej obelżywą niż informującą), patrz Perry Anderson, *Lineages of the Absolute State* (40).

Prokapitalistyczny Marks?

Jaki by nie był ostateczny sąd na temat intrygujących tez Wittfogela, to inny aspekt poglądów Marksa jest dużo mniej kontrowersyjny. Może wydawać się to na pierwszy rzut oka zaskakujące, ale Marks pod wieloma względami był żarliwym szermierzem kapitalizmu. W słynnym ustępie *Manifestu Komunistycznego* (1848) wysławia on bezprecedensową produktywność nowego systemu i wychwala go za uwalnienie szerokiej mas od "idiotyzmu życia wiejskiego" (41). Idąc dalej niż większość dzisiejszych zwolenników kapitalizmu, broni historycznie postępowego charakteru brytyjskiego podboju Indii, jako że dialektycznie podbój ten przyczynił się do rozwoju kapitalizmu (42). (Współczesny marksistowski ekonomista Bill Warren wzbudził wielką kontrowersję wśród swych kolegów, podkreślając i rozwijając te elementy pracy Marksa.

W swoim *Imperialism* (43) wychwala on kolonizację jako w dużej części historycznie postępową. Zanim wrócimy do tej kwestii, powinienem być może wyjaśnić, iż nie dowodzę tu, że przyjmując życzliwe stanowisko w stosunku do kolonializmu, Marks obrał kierunek, w którym powinni iść współcześni obrońcy wolnej gospodarki. Wprost przeciwnie, moim celem jest jedynie przytoczenie kolejnego przykładu, w którym Marks wydaje się przeciwstawiać utartemu "marksistowskiemu" stanowisku.

Myszę, że chodzi tu o coś ważniejszego, niż o czyste biograficzne fakty. (Przypuśćmy, że Marks czasami przyswajał sobie niespójne idee: co z tego?). Oznacza to poniekąd, że jeśli pominiemy pewne problematyczne idee (np. możliwość "dobrego" państwa, gdy nastanie dyktatura proletariatu), wówczas cały system marksistowski może być widziany w kalkiewicz prokapitalistyczny sposób. Możliwość ta została przedstawiona szczegółowo przez socjologa Alvina Gouldnera w ostatnim rozdziale *The Two Marxisms* (44). Gouldner sam jest życzliwie nastawiony do marksizmu takiego, jak go się zazwyczaj rozumie, nie do jego prokapitalistycznej odmiany. Opisuje on możliwość, którą naszkicowałem, jako "marksistowski koszmarr". Przypuśćmy, pyta, że utrzymując sytuację panującą w dziewiętnastym wieku, klasa kapitalistów zawsze pozostanie klasą rewolucyjną? Co, jeśli proletariaty nigdy nie stanie się klasą rewolucyjną i, jak nawet socjaliści mają słuszne powody uważać, socjalizm okaże się systemem niezdolnym do funkcjonowania? Wówczas, zgodnie ze zmodyfikowanym poglądem marksistowskim, to kapitalizm, nie socjalizm, mógłby być uważany za ostatnią i najbardziej postępową fazę społeczeństwa. Czy jest to koszmarr, stanowi to kwestię, co do której niektórzy mogą słusznie mieć inną opinię niż Gouldner.

PRZYPISY:

- 1) Friedrich Engels, *Ludwig Feuerbach and the Outcome of Classical German Philosophy* (New York: International Publishers, 1941);
- 2) Karl Marx, *Economic and Philosophical Manuscripts of 1844* (Russia: Progress Publishers, 1974);
- 3) Karl Marx and Friedrich Engels, *The Holy Family* (Russia: Progress Publishers, 1980);
- 4) Karl Marx and Friedrich Engels, *The German Ideology* (Russia: Progress Publishers, 1977). Wydanie to powinno być przedkładane nad skrócony przekład wydawany w rozmaitych edycjach od 1947 r. przez International Publishers, New York. Tamta edycja pomija Część II, największy rozdział książki, zawierający odpowiedź Marksa na zarzuty Stirnera;
- 5) Karl Marx, *Critique of Hegel's "Philosophy of Right"*, ed. J. O'Malley (New York: Cambridge University Press, 1970);
- 6) Alexandre Kojève, *Introduction la lecture de Hegel* (Paris: Gallimard, 1947). Jest skrócone tłumaczenie w języku angielskim: A. Kojève, *Introduction to the Reading of Hegel*, ed. Allan Bloom (Ithaca: Cornell University Press, 1980);
- 7) Shlomo Avineri, *Hegel's Theory of the Modern State*

- (New York: Cambridge University Press, 1973). Avineri napisał też *The Social and Political Thought of Karl Marx* (New York: Cambridge University Press, 1971);
- 8) Herbert Marcuse, *Reason and Revolution. Hegel and the Rise of Social Theory* (Boston: Beacon Press, 1960);
- 9) Max Stirner, *The Ego and Its Own*, ed. James J. Martin (New York: Libertarian Book Club, 1963);
- 10) Derek Parfit, "Later Selves and Moral Principles", w: A. Montefiore, ed., *Philosophy and Personal Relations* (London: Routledge and Kegan Paul, 1973), str. 149 i nast.;
- 11) Alvin Plantinga, *God and Other Minds* (Ithaca: Cornell University Press, 1967), str. 156-168. Kryterium weryfikowalności zostało sformułowane przez A. J. Ayera w *Language, Truth, and Logic*, drugie wyd. (New York: Dover, 1946), str. 34. W tym drugim wydaniu nieco się on wycofuje; patrz w szczególności str. 13. Krytyką najbardziej szkodzącą kryterium weryfikowalnościowemu jest Alonzo Church, "Review of Ayer", "Journal of Symbolic Logic" (1949): 53;
- 12) Alan Gewirth, *Reason and Morality* (Chicago: University of Chicago, 1978);
- 13) Robert Nozick, *Philosophical Explanations* (Cambridge: Harvard University Press, 1981), str. 405-409;
- 14) Michael Bakunin, *Statism and Anarchism* (1874);
- 15) Karl Marx, *Critique of the Gotha Programme* (New York: International Publishers, 1938), str. 18;
- 16) Marx, Letter to J. Wedemeyer, March 5, 1852, w: Karl Marx and Friedrich Engels, *Selected Correspondence* (London: Lawrence and Wishart), str. 86;
- 17) Karl Marx, *Selected Writings*, ed. David McLellan (New York: Oxford University Press, 1977), str. 562;
- 18) Daniel Bell, *The End of Ideology* (New York: Collier Books, 1962), str. 355-357;
- 19) Max Nomad, *Rebels and Renegades* (New York: Macmillan, 1932);
- 20) V. F. Calverton, *The Making of Society* (New York: Modern Library, 1937);
- 21) Milovan Djilas, *The New Class* (New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1974), wydanie zrewidowane;
- 22) Rosa Luxembourg, *The Russian Revolution and Leninism or Marxism* (Ann Arbor: University of Michigan Press, 1961);
- 23) Karl Kautsky, *Terrorism and Communism* (Connecticut: Hyperion, 1973). Patrz też ostra odpowiedź Lenina, *The Proletarian Revolution and the Renegade Kautsky* (Russia: Progress Publishers, 1971);
- 24) Leon Trotsky, *Terrorism and Communism* (Ann Arbor: University of Michigan Press, 1961);
- 25) Leon Trotsky and John Dewey, *Their Morals or Ours* (New York: Pathfinders, 1974);
- 26) S. P. Melgounov, *The Red Terror In Russia* (London: J. M. Dent, 1925);
- 27) Robert Conquest, *Marxism and the Third World*, str. 1-10. Rozprawa przedstawiona na Liberty Fund Conference on Marxism, San Francisco, 15-17 kwietnia 1982, pod kierownictwem prof. Roberta Cunninghama z University

- of San Francisco i Leonarda P. Liggio z Institute for Humane Studies;
- 28) Leon Trotsky, *The Revolution Betrayed* (New York: Pathfinders, 1973);
- 29) F. A. Hayek, *The Road to Serfdom* (Chicago: University of Chicago Press, 1944);
- 30) Ludwig von Mises, *Omnipotent Government* (New Rochelle: Arlington House, 1969);
- 31) Ludwig von Mises, *Bureaucracy* (New Haven: Yale University Press, 1944);
- 32) Karl Marx, *The Eighteenth Brumaire of Louis Bonaparte* (Russia: Progress Publishers, 1972);
- 33) Franz Oppenheimer, *The State* (New York: Arno, 1972);
- 34) Albert Jay Nock, *Our Enemy The State* (New York: Arno, 1972);
- 35) Friedrich Engels, *Origin of the Family, Private Property, and the State* (New York: International Publishers, 1972);
- 36) Walter Grindel and John Hagel III, "Toward a Theory of State Capitalism: Ultimate Decision Making and Class Structure", "Journal of Libertarian Studies" (Winter 1977): 59-79;
- 37) Steve Pejovich, *Karl Marx, (The) Property Rights School and the Process of Social Change*, str. 1-20. Rozprawa przedstawiona na Liberty Fund Conference on Marxism, San Francisco, 15-17 kwietnia 1982, pod kierownictwem prof. Roberta Cunninghama z University of San Francisco i Leonarda P. Liggio z Institute for Humane Studies;
- 38) Robert L. Cunningham, *Comment on Pejovich*, str. 1-11. Rozprawa przedstawiona na Liberty Fund Conference on Marxism, San Francisco, 15-17 kwietnia 1982, pod kierownictwem prof. Roberta Cunninghama z University of San Francisco i Leonarda P. Liggio z Institute for Humane Studies;
- 39) Karl-August Wittfogel, *Oriental Despotism* (New York: Random, 1981);
- 40) Perry Anderson, *Lineages of the Absolute State* (London: NLB, 1979);
- 41) Karl Marx and Friedrich Engels, *The Communist Manifesto* (New York: International Publishers, 1948). Do tego ustępu wielką wagę przywiązuje Max Eastman, *Reflections of the Failure of Socialism* (New York: Devin-Adair, 1955);
- 42) Karl Marx and Friedrich Engels, *On Colonialism* (Russia: Progress Publishers, 1974);
- 43) Bill Warren, *Imperialism: Pioneer of Capitalism* (London, NLB, 1981);
- 44) Alvin Gouldner, *The Two Marxisms* (New York: Continuum, 1980), str. 380-389.

Powyższy tekst jest tłumaczeniem dwóch rozdziałów pracy Davida Gordona *Critics of Marxism* (III. Anarchist Critics oraz IV. An Anti-Marxist Marx?). Praca ta została opublikowana w oryginalnej przez Social Philosophy and Policy Center oraz Transaction, Inc. w 1986 r. Copyright : Social Philosophy and Policy Center, Bowling Green

List Durrutiego

W więzieniu w Walencji, gdzie był przetrzymywany Durruti, więźniowie z CNT i FAL, pochodzący z Katalonii, Aragonii i Lewantu, stanowili większość. W związku z tym wewnętrzne sprawy organizacji były jednym z tematów ich rozmów. Od rozłamu z CNT, dwa lata wcześniej, związane z nim konflikty stały się mniej ważne. Działania powrotu anarchistów do CNT, prowadzone przez J. Pedra i J. Lopeza, zaczęły przynosić skutek. Wszystkie tego typu działania były żarliwie dyskutowane w więzieniach.

Durruti, który był zajęty innymi sprawami i trzymał się z dala od tych debat. Po tym liście można by powiedzieć, że był w konflikcie z komitetem CNT.

List jest datowany na 01.09.35 i jest odpowiedzią na list J. Miry. Dokument, o którym wspomina Durruti, dotyczy stosunku do działań CNT. Stanowisko to można zawrzeć w kwestii "amunicja nie powinna być bezsensownie marnowana. Ważne jest aby zakończyć formowanie organizacji rewolucyjnej społecznej i zarządzanie rzadkimi zasobami.

Kadry działaczy, pozostających na wolności nie powinny się ujawniać, ani osłabiać ruchu bezcelowymi strajkami" (fragmenty dokumentu Durrutiego)

Otrzymałem twój list, na który mam zamiar oczywiście odpowiedzieć! Szczególnie, że dotyczy on spraw, którymi jestem zainteresowany. Nie mam dla ciebie żadnej informacji z tej strony, poza tym że wczoraj zwolniono dwóch towarzyszy. Mamy nadzieję, że zwolnienia będą trwały i wkrótce znajdziemy się na wolności. Po pierwsze pozwól mi na wstępny komentarz: to co uwięzieni z tobą towarzysze o mnie sądzą, ma dla mnie niewielkie znaczenie. Jestem wierny sobie, utrzymując kurs, który wyznaczyłem jakiś czas temu. Jeśli przypadkiem natrafisz na ślady mojej działalności, jako anarchista i rewolucjonisty w prasie lub rozmowach z towarzyszami, zauważyłeś pewnie, że mentalność rabusia czy rewolwerowca nie jest częścią mojego wizerunku. Uwierzyłem w idee i ciągle się nimi zajmuję, ponieważ



wierzyłem i nadal wierzę, że anarchizm jest ponad wszelkimi małostkami i urazami.

Zawsze myślałem i nadal myślę, że walki, prowadzone przez Konfederację, w obronie choć jednej pesety czy jednej godziny pracy mniej, były potyczkami potrzebnymi, ale nie postępiami w kierunku konfederacyjnych i anarchistycznych celów. Konfederacja ma dobrze zdefiniowane zasady i nastawia się na przekształcenie systemu kapitalistycznego w komunizm wolnościowy. Lecz dla tego typu rewolucji, Mira mój przyjacielu, potrzebne są anarchistyczne idee i rewolucyjna edukacja, zamiast kryminalnej. O wiele mniej ludzi uważa że CNT powinna marnować całe swoje siły na jeden lub dwa konflikty, aby ci przekonani do tego, mogli dostać większy kawałek tortu. CNT, która jest najsilniejszą organizacją w Hiszpanii, musi zająć należne jej miejsce, w kolektywnym porządku. Jej walki muszą korespondować z wielkością. Śmieszne byłoby gdyśmy znaleźli w dżungli lwa czatującego pod mysią dziurą i czekającego na pojawienie się myszy, aby ją zjeść. CNT jest obecnie w takiej sytuacji. Są tacy, którzy twierdzą że walka organizacji w Barcelonie jest wyrazem męskiej i rewolucyjnej postawy. Ja, Mira mój przyjacielu, jestem innego zdania. Sabotaż może się podobać, nawet ludziom niepewnym. Z drugiej strony, potrzeba odważnych ludzi do przeprowadzenia rewolucji, zarówno w komitetach jak i wśród działaczy działających na ulicach. Po postawie towarzyszy i organizacji w październikowym powstaniu, nie może być mowy o konfederacyjnej godności tylko dlatego że podpalono tramwaj, lub nawet dwadzieścia tramwaj. Czy nie ma więc nie obraźliwego w stwierdzeniu, że w tych ciężkich czasach, w których się znajdujemy, organizacja z Barcelony nie przynosi sprawie rewolucji żadnej pomocy? Czy może się zdarzyć, że gdy w najmniej oczekiwanym momencie pojawi się szansa rewolucji, organizacja nie będzie zdolna zająć swojego miejsca? Czy nie jest powodem do wstydu, że kolektywne interesy, mają być porzucone dla dwóch niezauważalnych konfliktów, z których tylko garstka ludzi wyjdzie z korzyścią? Jestem jednym z wybranych i wstydę się że CNT będzie narażać swój rewolucyjny kurs na rzecz mojej tygodniówki. Niektórzy patrzą na organizację,

jako na strukturę, która dba o ich interesy ekonomiczne, inni, jak na organizację współpracującą z anarchistami, aby przekształcić społeczeństwo. Na tym polu, przyjacielu Mira, jest bardzo trudno o osiągnięcie porozumienia pomiędzy typowymi syndykalistami a anarchistami. Teraz w kwestii dokumentu. Nie przywiązywałem do niego większej wagi, niż na to zasługiwał: sugerowałem Komitetowi Krajowemu zajęcie się obecną sytuacją i nic ponadto. Nie rozumiem, jak powstał ten zgiełk, o którym mi mówisz. Było to działanie osobiste: ćwiczenie, w którym każdy działacz mógł wyjaśnić swój pogląd, nawet Komitetowi Krajowemu. Delegaci z CNT przyszedli tu i gdy pewne pomysły, potrzebujące według nich wyjaśnienia, zostały sprecyzowane, doszliśmy do porozumienia. Co więcej, gdy wymieniliśmy poglądy z delegatem CNT, zgodził się ze mną co do podstaw dokumentu. Dokument sam w sobie jest tylko wyrazem opinii, którą wyraziłem na sali (więzienia - przyp. tłum.) nr 5 w Barcelonie. Nikt, gdy tam byliśmy, nie podniósł sprzeciwu. Opozycja wypowiedziała się dopiero, gdy został przeniesiony do Walencji. Komitet Regionalny Katalonii również przybył, aby się z nami zobaczyć. Po tym, gdy przeprowadziliśmy dokładną dyskusję, nie podnosili sprzeciwu. Pojawiła się jedynie skarga na kilka słów, które obrażały wrażliwość Komitetu Regionalnego. Nie mieliśmy trudności z usunięciem ich, ponieważ w żaden sposób nie wpływały na kształt dokumentu. Gdy wyjaśnienia wszystkich (Komitetu Krajowego i Regionalnych oraz sygnatariuszy dokumentu) zostały zakończone, zgodzono się, aby wydać jedynie notatkę wyjaśniającą kwestię członkostwa. Zredagowaliśmy ją i przesłaliśmy do Komitetu Krajowego, w celu ustalenia publikacji. Notatka nie zawierała żadnego rodzaju reakcji na dokument, ponieważ takie były ustalenia z delegatami organizacji. Dlaczego więc nie została ona wydana? Dlaczego Kataloński Komitet Regionalny i Komitet Krajowy, który podjął się opublikowania kolejnej, aby rozproszyć wątpliwości i zapewnić, że nasz dokument nie będzie źle zrozumiany, nie zrobili tego? To stanowisko komitetów jest podejrzane. Co mają do zyskania poprzez nie wyjaśnianie tej kwestii? Mam listy od Towarzyszy z więzienia w Burgos, gdzie odczytano dokument na spotkaniu. Mówią mi że nikt nie zgłosił sprzeci-

wu, co nie znaczy, że wszyscy się z nim zgodzili. Jednak zanim mieli okazję zapoznać się z całością, powiedziano wiele nonsensów. Teraz gdy to zrozumiano, myśli są bardziej ostrożne. Wiele można powiedzieć o skutkach taktyki z Barcelony, należy jednak być ostrożnym w listach. Wszystko co mogę ci powiedzieć, to że po tak dużym sabotażu, byli zobowiązani wyjść poza konfederacyjne zasady, czyli rozmowy z pracodawcami przemysłu wodnego i kierownictwem Przedsiębiorstwa Transportu Miejskiego. Nie krytykuję ich, ponieważ znajdujemy się w trudnych czasach. Myślę jednak o wielkich szkodach, które wyrządzał i wyrządza nam systematyczny sabotaż. Jest to system, którego organizacja nie powinna aprobować. Jako taktyka jest on wysoce dyskusyjny. Kolektywnie mówiąc, uważam że wyrządza nam to szkodę i kosztuje więcej, w porównaniu do osiągnięć. Za każdym razem, gdy rozpoczniemy walkę, należy rozważyć korzyści i straty. Nigdy nie byłem zwolennikiem porzucania debat o strajkach. Nie porzucanie ich to jedno. Co innego zapewnienie, że wszystkie nasze działania skupią się na debacie. Będzie to oznaczało ograniczenie teatru działań CNT. Zawężenie go do walki o zarobki, to porzucenie celów Konfederacji. Szczerze mówiąc sytuacja polityczna zaczyna się rozwijać, więc my i towarzysze, musimy zadać sobie pytanie, jak dobrze będziemy w stanie unieść jej ciężar. Na salach więzień rozmowy nie dotyczą obecnie CNT. Takie są oczekiwania tych, z którymi zawsze walczyliśmy. Obecnie CNT nie jest zabezpieczeniem. W oczekiwaniach więźniów są tylko są tylko stwierdzenia "pozwolmy im otworzyć parlament, znieść stan wyjątkowy i przygotować wybory". Ani słowa o CNT. Stało się to w wyniku stanowiska organizacji. Wiara w nasze siły stała się przeżytkiem. CNT, która jest organizacją z największą liczbą więźniów, nie będzie mogła grać znaczącej roli przed, ani po wyborach. Więźniowie z CNT będą musieli dziękować politykom za uwolnienie. Dla mnie, jako dla anarchisty, ma to duże znaczenie. Chciałbym być wolny dzięki działaniom moich towarzyszy, a nie gestowi kogoś, z kim będę musiał zaciekle walczyć, tak szybko jak stąd wyjdę.

WOJOWNICY TĘCZY

Opowieść rozpoczyna się w 1967 roku podczas antywojennego marszu w Vancouver. Tam właśnie doszło do nieoczekiwanego spotkania Jima Bohlena i małżeństwa kwakrów Irvinga i Dorothy Stowe. Bohlen był dosyć dziwną postacią jak na uczestnika marszu antywojennego. Po wojnie losy związały go z armią. Pracował między innymi przy projektowaniu pocisków Minuteman i Polaris. Z wojskiem zerwał dopiero pod wpływem kryzysu kubańskiego, gdy uświadomił sobie jak niebezpiecznie świat otarł się o krawędź wojny totalnej. Bohlen znalazł bratnie dusze w małżeństwie Stowe. W 1961 roku wyemigrowali oni ze Stanów Zjednoczonych do Nowej Zelandii uznając to za najbezpieczniejsze miejsce w razie wybuchu konfliktu nuklearnego. Szybko stwierdzili jednak, iż ucieczka nie jest żadnym rozwiązaniem i przenieśli się do Kanady, gdzie Irving rozpoczął współpracę z undergroundowo-pacyfistycznym pismem "Georgia Straight". Północnej organizacji ekologicznej Sierra Club. Po kilku udanych lokalnych akcjach pacyfistycznych i ekologicznych ich zainteresowanie skierowało się ku wyspie Amchitka w archipelagu wysp Aleuckich. Wyspa ta stanowiła miejsce amerykańskich testów nuklearnych, mimo iż leży w jednym z najbardziej narażonych na trzęsienia ziemi regionów świata. 2 października 1969 roku na wyspie eksplodował jednomegatonowy ładunek nuklearny. W tym samym dniu 10 000 protestujących zablokowało granicę pomiędzy Stanami i Kanadą. Na ich transparentach widniało hasło: "Dont Make a Wave" (Nie róbcie fali! - chodziło o ewentualne trzęsienie ziemi wywołane wybuchem atomowym). Stopniowo jednak wzburzenie opinii publicznej ucichło i Stany Zjednoczone mogły zapowiedzieć kolejny test w roku 1971. Tym razem ładunek miał być pięć razy silniejszy. Znacierpliwieni postawą Sierra Club, który nie wykazywał specjalnego zainteresowania sprawą zbrodni atomo-

wych, Bohlen i Stowe postanowili podjąć konkretne działania. Jak wspomina Jim Bohlen: "Siedzieliśmy w domu, kiedy nagle zadzwonił telefon. Był to reporter jednej z kanadyjskich gazet, który chciał się dowiedzieć co słychać wśród ruchów ekologicznych. Odpowiedziałem mu, że właśnie rozmawiamy z żoną i przyszło nam do głowy, że dobrym pomysłem byłoby wziąć łódź i popłynąć na Aleuty, żeby zaprotestować przeciwko próbom nuklearnym". Następnego dnia w gazetach pojawił się nagłówek: "Sierra Club przygotowuje się do blokady prób z bronią atomową". Zarządowi Klubu pomysł jednak



wcale się nie spodobał i Bohlen wraz ze Stowami założyli na własną rękę Komitet "Nie róbcie fali". Nazwa była jednak za długa i niewiele mówiła większości społeczeństwa. Szukając słowa, które łączyłoby troskę o środowisko ze sprawą rozbrojenia Komitet postanowił przekształcić się w nową grupę o nazwie "Greenpeace". Po długich poszukiwaniach "greenpeaceowcy" stwierdzili, że jedynym statkiem, który mógłby dowieźć ich na Aleuty, a jednocześnie mieścić się w zasięgu ich finansowych możliwości była "Phyllis Cormack" - 24 metrowy kuter

do poławiania halibutów. Chociaż sonda głębokościowa pracowała jedynie po mocnym uderzeniu pięścią, zbiorniki paliwa były przeżarte rdzą, a silnik już dawno powinien przejść na zasłużoną emeryturę, to jednak jego wypożyczenie na sześć tygodni kosztowało jedynie 15 000 dolarów. Pieniądze zostały zebrane między innymi podczas koncertu Joni Mitchell i 15 września 1971 roku "Phyllis Cormack", teraz już jako "Greenpeace", skierowała się ku Amchitce. "W noc przed wypłynięciem zadzwonił do mnie człowiek, który stwierdził, że jest rybakiem i dobrze zna Phyllis Cormack. Powiedział: Dokądkolwiek płyniecie, nie płynicie na tym wraku. Już dwa razy podnoszono go z dna" - wspomina Bohlen. Ostatecznie załoga "Greenpeaceu" składała się z 12 ludzi, włączając w to 60 letniego kapitana Cormacka, właściciela statku i doświadczonego wilka morskiego, który jednak nigdy nie zapuszczał się w rejon Aleutów o tej porze roku. Nic dziwnego, że trudno było znaleźć firmę chętną do ubezpieczenia łodzi. Stanowiło to jednak tylko jedną z tysięcy trudności, piętrzących się przed wyprawą. Na pokładzie "Phyllis Cormack" oprócz ludzi i sprzętu znalazła się także książka Wojownicy Tęczy zbiór indiańskich mitów i legend. Książka zawierała również liczącą 200 lat przepowiednię starej kobiety z plemienia Cree o imieniu Oczy Ognia. Przepowiednia mówiła o czasach, gdy Ziemia zostanie ograbiona ze swych zasobów, strumienie zatrute, morze zanieczyszczone, a ostatnie jelenie wyginą. Wtedy indiańskie duchy nauczą białych ludzi szacunku do planety i uczynią z nich Wojowników Tęczy. Jeden z członków załogi, Robert Hunter zapisał w swoim dzienniku: "Ta opowieść zrobiła na wszystkich duże wrażenie, a tęcza rzeczywistości pojawiała się przed nami co kilka dni i wydawała się czymś magicznym w tym labirynty wysp, kanałów i zatok, przez który płynęliśmy. Sunąc majestatycznie po wodzie z maksymalną prędkością 9 węzłów na godzinę "Phyllis Cormack" zbli-

żała się ku strefie testów nuklearnych. Na wysokości wyspy Akutan "Phyllis Cormack" dogoniła wiadomość o przesunięciu terminu prób na Amchitce. Po długich dyskusjach postanowiono kontynuować rejs. 30 września "Phyllis" została jednak oficjalnie aresztowana przez statek Straży Przybrzeżnej USS "Confidence" za niezgłoszenie władzom swojego przybycia na Akutan. W celu dopełnienia formalności "Phyllis" musiała popłynąć na wyspę Szumagina, daleko od celu wyprawy. Aresztowanie było punktem przełomowym; nikt nie wiedział kiedy nastąpi eksplozja na Amchitce, pogoda psuła się coraz bardziej, a ludzie byli już zmęczeni tą morską wyprawą. Co gorsze, niektórym kończyły się także urlopy.

12 października po całonocnej dyskusji podjęto decyzję o powrocie. W drodze powrotnej załoga "Phyllis" została zaproszona na wyspę Kodiak, gdzie Rada Miejska urządziła bankiet na ich cześć, a w Zatoce Alert członkowie Greenpeace wzięli udział w indiańskiej ceremonii, stając się dzięki niej się braćmi szczepu Kwakiutl.

Pomimo iż "Phyllis Cormack" nie osiągnęła swego celu, pierwsza wyprawa Greenpeaceu okazała się całkiem udana. Informacje o niej przez długi czas zajmowały pierwsze strony gazet w Kanadzie, a aresztowanie statku przez USS "Confidence" stało się głośne także w Stanach Zjednoczonych. Dzięki zainteresowaniu opinii publicznej niestrudzonemu Irvingowi Stowe (który nie brał udziału w wyprawie ze względu na brak odporności na chorobę morską) udało się zebrać fundusze na wynajęcie nowego, szybszego statku - 47 metrowego, przerobionego stawiacza za mln "Edgewater Fortune". Ścigając się z czasem "Edgewater" niezwłocznie wyruszył w drogę, mijając na wysokości wyspy Vancouver wracającą do domu "Phyllis Cormack". Pośpiech był niezbędny, gdyż prezydent Nixon wyznaczył następny termin próbnego wybuchu na Amchitce na 4 listopada. Spychany z kursu przez sztormy i zmuszony do dwóch postojów w celu uzupełnienia paliwa i wody "Edgewater", a obecnie już "Greenpeace II", znalazł się w chwili wybuchu 1100 kilometrów od Amchitki. Eksplozja i tym razem nie wywołała trzęsienia

ziemi, lecz amerykańskie testy wzbudzały już tak wiele protestów, iż Stany Zjednoczone nie były w stanie ich kontynuować. Cztery miesiące po wyprawie "Edgewater" USA oficjalnie obwieściło o zakończeniu testów na Aleutach "z politycznych i innych względów". "Innym wyrazem społecznego zaniepokojenia był długi na pół mili telegram z podpisami 177 000 obywateli Kanady wysłany do Białego Domu. Westem Union, która odbierała telegram przez 4 dni, twierdzi, iż jest to najdłuższa wiadomość, jaką musiało przekazać w swojej historii. Krótki tekst na górze telegramu głosił: Jako wasi sąsiedzi sądzimy, że wasza zgoda na dalsze testy jest trudna do zrozumienia... Gracie w rosyjską ruletkę tuż obok miejsca, w którym przyszło nam żyć. Prosimy was w imię zdrowego rozsądku, abyście natychmiast zaniechali testów z bronią jądrową". "Vancouver Province", 5 listopada 1971

FILOZOFIA PRAW ZWIERZĄT

Zwierzęta zjadane przez ludzi, używane w celach naukowych, zabijane podczas polowań i wykorzystywane na wiele innych sposobów - mają prawo do własnego życia, które nie może być uzależnione od ich przydatności dla nas. Zwierzęta nie tylko istnieją na świecie, są także tego istnienia świadome i to co się z ich życiem dzieje nie jest dla nich bez znaczenia. W tych fundamentalnych aspektach życia, zwierzęta powinny mieć takie same prawa jak ludzie. Życie zwierząt zawiera różnorodność biologicznych, indywidualnych i społecznych potrzeb. Zaspokojenie ich jest źródłem przyjemności, niezaspokojenie źródłem bólu i cierpienia. Wynika stąd wniosek, że etyka naszego postępowania ze zwierzętami musi się opierać na tych samych podstawowych moralnych zasadach, na których oparta jest etyka stosunków międzyludzkich. Etyka ludzka, w swoim najgłębszym znaczeniu jest na przekonaniu o obiektywnej wartości jednostki. Moralna wartość jednostki ludzkiej nie może być mierzona stopniem jej przydatności do pozostałych członków ludzkiej społeczności. Traktowanie jednostki ludzkiej w sposób nie uznający jej obiektywnej wartości jest łamaniem podstawowego prawa człowieka: prawa każdej osoby do bycia traktowanym z szacunkiem. Filozofia praw zwierząt żąda respektowania praw logiki. Z każdego argumentu przekonującego na rzecz istnienia obiektywnej wartości istot ludzkich wynika, że inne istoty mają ta sama obiektywna wartość. Każdy argument, dowodzący istnienia w obrębie społeczności ludzkich praw do bycia traktowanym z szacunkiem przekonuje, że zwierzęta mają to samo prawo i co więcej mają je w równym stopniu. A zatem prawda jest, że kobiety nie istnieją po to, by służyć mężczyznom, czarni, by służyć białym, biedni bogatym, słabi silnym. Filozofia praw zwierząt nie tylko akceptuje te prawdy, ale także je uzasadnia. Przedstawia niezależną wartość i prawa innych czujących istot, filozofia praw zwierząt daje naukowo uzasadnione i moralnie bezstronne podstawy do odrzucania tezy, że zwierzęta żyją po to, by nam służyć. Gdy ta prawda zostanie uznana, łatwo będzie zrozumieć, dlaczego filozofia praw zwierząt jest bezkompromisowa w swoim stosunku do każdej niesprawiedliwości popełnianej na zwierzętach. Na przykład - dla zwierząt używanych w eksperymentach naukowych sprawiedliwość żąda nie większych czy czystszych klatek, ale klatek pustych.

Nie żąda humanitarnego przemysłu hodowlanego, ale zupełnego zaprzestania handlu ciałem martwych zwierząt. Filozofia praw zwierząt nie żąda humanitarnych polowań, ale żąda całkowitego zaprzestania tych barbarzyńskich praktyk. Bo kiedy niesprawiedliwość jest absolutna, należy przeciwstawić się jej absolutnie. Sprawiedliwość nie żądała "zreformowanego" niewolnictwa, "zreformowanej" pracy dzieci, "zreformowanej" uległości kobiet. We wszystkich tych przypadkach jedyna moralna odpowiedź było zniesienie dyskryminującego prawa. Po prostu reformowanie niesprawiedliwości jest jej przedłużeniem. Filozofia praw zwierząt żąda takich samych rozwiązań, zniesienia dyskryminującego prawa w odniesieniu do eksploatacji zwierząt. Tu nie elementy niesprawiedliwego wykorzystywania muszą być zmienione. To właśnie niesprawiedliwe wykorzystywanie jako takie musi zostać zakonczone: na farmie, w laboratorium,

cyрку, czy wśród dziko żyjących zwierząt. Filozofia praw zwierząt nie żąda nic więcej, ale też niczym mniej nie będzie usatysfakcjonowana.

Filozofia praw zwierząt jest racjonalna

Wyjaśnienie: Despotyczna dyskryminacja jest nieracjonalna, a dyskryminacja wymierzona w zwierzęta, nie będące ludźmi, jest despotyczna. Jest złem traktowanie słabszych istot ludzkich, szczególnie tych o mniejszej inteligencji, jako "narzędzi", "towarów" lub "modeli". Tak więc nie może być słusznym traktowanie innych istot (zwierząt) tak, jak gdyby były "narzędziami" czy "towarami", skoro ich psychologia jest przynajmniej taka bogata, jak psychologia tych słabszych istot ludzkich. Myśleć inaczej to myśleć nieracjonalnie.

Filozofia praw zwierząt jest naukowa

Wyjaśnienie: Filozofia praw zwierząt respektuje naukę jako całość, a w szczególności, biologię ewolucyjną. Ta ostatnia uczy, mówiąc słowami Darwina, że ludzie różnią się od innych istot "co do stopnia, nie co do rodzaju". Jest więc jasne, że zwierzęta używane w laboratoriach, przetwarzane na jedzenie, zwierzęta na które ludzie polują dla przyjemności czy z chęci zysku, że te zwierzęta to nasi psychologiczni krewni. To nie jest fantazja, to fakt udowodniony przez naukę.

Filozofia praw zwierząt jest bezstronna

Wyjaśnienie: Rasiści to ludzie uznający, że członkowie ich rasy są ważniejsi od członków innych ras, tylko dlatego, że należą do tej "lepszej" części ludzkości. Zwolennicy dyskryminacji płciowej uznają wyższość swojej płci tylko dlatego, że ich płeć jest "lepsza" od drugiej. /Ten błąd to tzw. "sexizm" -przp. tłum./ Zarówno rasizm jak i sexizm są przykładami fanatyzmu. Nie ma "lepszej" czy "gorszej" rasy lub płci. Różnice pomiędzy rasami lub płciami to różnice biologiczne, a nie moralne. To samo odnosi się do gatunków i poglądu głoszącego, że członkowie gatunku Homo Sapiens są ważniejsi od członków innych gatunków tylko dlatego, że należą do swojego, "ważniejszego" gatunku. Jednakże nie ma żadnego "ważniejszego" gatunku. Inne myślenie prowadzi do uprzedzenia w nie mniejszym stopniu niż rasiści czy zwolennicy dyskryminacji płci.

Gdzie ustanowicie granice? Jeżeli ssaki naczelne i gryzonie mają prawa, tak więc ślimaki i ameby mają je również, co jest absurdem.

Odpowiedz: Często nie jest łatwo dokładnie ustalić miejsca gdzie przebiega granica. Na przykład nie możemy dokładnie powiedzieć ile ktoś musi mieć lat, by uznać go za starego lub też jaki wysoki musi być człowiek, by został uznany za wysokiego. Jednakże z pewnością o kims kto ma 88 lat możemy powiedzieć, że jest stary, a o kims kto ma ponad 2 m wzrostu, że jest wysoki. Podobnie nie możemy dokładnie określić granicy podziału świata zwierzęcego na istoty psychologiczne oraz te psychologii pozbawione. Ale z pewnością możemy powiedzieć (korzystając z dowodów naukowych), że ssaki naczelne oraz gryzonie są istotami psychologicznymi, a ślimaki i ameby nimi nie są. Co oczywiście nie oznacza, że możemy je beznamiętnie niszczyć. Ale z pewnością są zwierzęta, które mogą doświadczać bólu, a nie posiadają swojej psychologicznej tożsamości. Ponieważ te zwierzęta nie mają prawa do traktowania z szacunkiem, filozofia praw zwierząt daje do zrozumienia, że można je trakto-

wać w dowolny sposób. Odpowiedz: Jest prawda, że niektóre zwierzęta takie, jak krewetki i mięczaki doświadczają bólu, ale nie posiadają innych psychologicznych zdolności. W takim wypadku te zwierzęta nie będą posiadały niektórych praw należnych istotom o wyższych zdolnościach psychologicznych. Nie mają jednak żadnego moralnego usprawiedliwienia dla powodowania czyjejkolwiek bólu. Dlatego ludzie nie powinni zjadać krewetek lub mięczaków czy też wykorzystywać ich w inny sposób, gdy to wykorzystywanie związane jest z bólem, dla którego nie ma żadnego, moralnego usprawiedliwienia.

Filozofia praw zwierząt jest nieegoistyczna

Wyjaśnienie: Filozofia praw zwierząt domaga się pomagania tym, którzy są słabi i bezbronni, niezależnie od tego czy są ludźmi, czy zwierzętami. Istoty te nie mają możliwości mrowienia we własnym imieniu, ani też bronięcia się, a potrzebują obrony przed ludzką chciwością i brakiem serca. Filozofia ta żąda takiego zaangażowania nie tylko dla własnego interesu, ale dlatego, że tak powinno się postępować. Akceptacja takiego sposobu działania wspiera rozwój nieegoistycznego myślenia.

Filozofia praw zwierząt jest filozofia samo spełnienia

Wyjaśnienie: Cała wielka tradycja etyki, i to zarówno tej świeckiej jak i religijnej, podkreśla znaczenie czterech elementów: wiedzy, sprawiedliwości, współczucia i autonomii /rozumianej jako wolność podejmowania decyzji - przep. tłum./ Filozofia praw zwierząt nie jest zadany wyjątkiem. Uczy ona, że nasze wybory powinny być oparte na wiedzy ze powinny wyrażać współczucie i sprawiedliwość oraz powinny być podejmowane z własnej woli. Nie jest łatwo osiągnąć te wszystkie cnoty, czy też kontrolować ludzkie skłonności do chciwości i obojętności. Ale bez tych cnot pełnia ludzkiego życia jest niemożliwa. Filozofia praw zwierząt domaga się realizowania tych zasad.

Filozofia praw zwierząt jest społecznie postępową

Wyjaśnienie: Najważniejszą przeszkodą dla rozwoju społeczeństwa ludzkiego jest eksploatacja innych istot. Jest to prawda w przypadku niezdrowej diety, uprzedzonego wykorzystywania zwierząt w nauce i w wielu innych dziedzinach naszego życia. Odnosi się to także do oświaty i reklamy, które pomagają "uodpornić" ludzką psychikę na zadania bezstronności, współczucia i sprawiedliwości. W tych wszystkich dziedzinach (i w wielu innych) poszczególne kraje pozostają zacofane, ponieważ nie służą prawdziwym interesom swoich obywateli.

Filozofia praw zwierząt jest mądra z punktu widzenia ochrony środowiska naturalnego

Wyjaśnienie: Głównie przyczyną degradacji środowiska naturalnego, włączając w to efekt cieplarni, zanieczyszczenie wody, utratę ziemi ornej górnej warstwy gleby, wszystkie te problemy można zaliczyć do skutków eksploatacji zwierząt. Wszędzie istnieją te same problemy degradacji środowiska naturalnego, od kwaśnych deszczów i wrzucania toksycznych ścieków do oceanów, aż do zatrucia powietrza i niszczenia naturalnych terenów życia zwierząt. W takim zdegradowanym środowisku także zwierzęta cierpią i giną. Tak więc działania mające chronić zagrożone zwierzęta są działaniami chroniącymi Ziemię.

DOBRODZIEJSTWO CZY PLAGA?

Sprawa żywności modyfikowanej genetycznie budzi w ostatnich czasach bardzo duże kontrowersje. Jest ona wytwarzana z plonów pochodzących z roślin transgenicynnych, czyli takich, którym przy pomocy metod inżynierii genetycznej wszczepiono obce geny. W przeszłości podobna działalność przynosiła wiele dobrego. Na przykład chorzy na cukrzycę mieli poważne problemy ze zdobywaniem insuliny, gdyż stosowany w celach leczniczych hormon pochodzący od innych ssaków różnił się nieco swoją budową od ludzkiego. Problemy te istniały aż do czasu, gdy biotechnologia zmusiła hodowane w laboratorium bakterie do produkowania czystej ludzkiej insuliny poprzez "wkłucie" do ich genomu fragmentu ludzkiego DNA. Zdawało się wtedy, że otwiera się przed nami nowa epoka zupełnie nieograniczonych możliwości gospodarowania organizmami żywymi.

Przed wszystkim można było nadać pożądane właściwości roślinom uprawnym. Na przykład tytoniowi wszczepiono geny powodujące wytwarzanie substancji toksycznych dla owadów pożerających jego liście, przez co bardzo zmniejszyły się straty w uprawach. I wreszcie stanęliśmy u progu spełnienia się najśmielszych marzeń milionów ludzi - likwidacji głodu na naszej planecie. Przy pomocy manipulacji na DNA roślin stanowiących źródło żywności (i paszy dla zwierząt) starano się wyhodować odmiany bogate w substancje odżywcze, mające być istnym rogiem obfitości. Trzeba przypomnieć, że już w latach sześćdziesiątych przeludnione kraje azjatyckie stały się obliczu śmierci głodowej. Uratowała je wtedy tzw. "zielona rewolucja", czyli wprowadzenie do uprawy nowych odmian zbóż, głównie ryżu, wyhodowanych przez ośrodki badawcze (oczywiście jeszcze bez manipulacji genetycznych na poziomie molekularnym). Spodziewaliśmy się więc, że znowu nastąpi podobny "cud", tym razem na jeszcze większą skalę, a obrazek przedstawiający wychudzone ciała podgryzane przez muchy będziemy oglądać tylko w podręcznikach historii.

Rzeczywiście, wielkie firmy biotechnologiczne z krajów zachodnich, głównie ze Stanów Zjednoczonych, wypuściły patenty na ulepszone rośliny uprawne, mające zapewnić każdemu mieszkańcowi naszej planety możliwość najedzenia się do syta.

W czym więc problem? Największe korporacje starają się o wprowadzenie ulepszonych roślin do uprawy na szeroką skalę, ale przeciwstawiają się temu różnej maści oszołomy, twierdzące, że wszystkie gatunki zostały stworzone przez Boga, a człowiekowi nie wolno tego zmieniać, dodając geny od obcego gatunku. Dlatego też na skutek swojego fanatyzmu niszczą transgeniczne rośliny i ich nasiona.

Tak to wygląda z punktu widzenia oficjalnych mediów. Ale rzeczywistość jest nieco inna.

Po pierwsze, wszczepianie obcych genów bakteriom jest sprawą stosunkowo prostą i dać może przewidywalne rezultaty. Ekspresja (tzn. funkcjonowanie) genów u bakterii została dobrze poznana i podlega względnie prostym regułom. Inaczej jest u skomplikowanych organizmów zawierających jądro komórkowe, takich jak rośliny i zwierzęta. W tym przypadku ekspresja pojedynczych genów pozostaje w sieci skomplikowanych zależności od innych genów, sieci, która jest jeszcze bardzo daleka od całkowitego rozszyfrowania. Nie możemy więc do końca przewidzieć, jakie spowoduje skutki.

Na przykład - tylko niewielkie fragmenty DNA są sekwencjami kodującymi, to znaczy zawierającymi czynne geny. Większość nie koduje niczego i rola poszczególnych fragmentów może być bardzo różna, ale między innymi mamy tutaj geny (często zmutowane) odległych przodków, które w ewolucyjnej przeszłości kodowały określone białka, ale z czasem przestały funkcjonować, zapewne bez

szkody dla organizmu. A ponieważ ekspresja genów u roślin podlega skomplikowanym współzależnościom, to nie wiadomo, czy wkłucie obcego genu (też przecież uwikłanego w sieć współzależności!) nie spowoduje wskrzeszenia tych nieczynnych genów i czy to nie będzie przypadkiem zmiana niekorzystna dla rośliny, a tym bardziej dla człowieka pragnącego ją spożyć. Co więcej, w ten sposób być może nawet doprowadziliby się do ponownego ożywienia wirusów, które w odległej przeszłości ewolucyjnie zostały wbudowane w genom jądra komórkowego i dzięki temu przestały być czynne.

Tak więc końcowy efekt przeszczepiania obcych genów organizmom wielokomórkowym jest nieznany. Dlatego potrzebne są wszechstronne badania w tej dziedzinie. Takie badania w latach dziewięćdziesiątych zaczął prowadzić profesor Arpad Pusztai - absolwent węgierskiej uczelni, który po klęsce antysowieckiego powstania w 1956



roku osiadł na stałe w Szkocji i tam właśnie zrobił wielką karierę naukową. Profesor Arpad Pusztai prowadził badania nad transgenicznymi warzywami. Pierwsze rezultaty jego badań wyglądały niezwykle zachęcająco, więc i prasa nie szczędziła mu pochwał. Później jednak okazało się, że zwierzęta laboratoryjne karmione tymi warzywami odnotowały znaczny spadek masy ciała w porównaniu z grupą kontrolną. Badania te nie zostały dokończone, a profesor Pusztai w dalszym ciągu był pełen optymizmu co do modyfikowanej genetycznie żywności, gdy został wyrzucony ze swojej posady. Tylko dlatego, że zażądał bardziej szczegółowych badań. Został oskarżony o niekompetencję w przeprowadzaniu testów, co stało się pretekstem do usunięcia z go z uczelni i wydania mu zakazu rozmawiania z mediami na ten temat. Sprawa ujrzała jednak światło dzienne dzięki rozmowom z kolegami po fachu. Przy okazji wykryto, że Arpad Pusztai został wyrzucony dzięki telefonowi Blaira do jego zwierzników. A z kolei Blair faworyzował modyfikowaną genetycznie żywność pod naciskiem Clintona.

Interes zaś Clintona w rozpowszechnianiu tego typu pożywienia leżał w tym, że oznaczało ono bajeczne zyski dla amerykańskich koncernów biotechnologicznych. O ich sile finansowej mówi chociażby fakt, że zatrudnieni przez nie naukowcy zdołali niedawno temu w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu rozszyfrować sekwencję całego ludzkiego genomu, co publicznym placówkom według bardziej optymistycznych przewidywań miało zająć co najmniej kilkanaście lat.

Wprowadzanie tej nowej żywności, nazywanej ironicznie "żywnością Frankenstein", napotkało jednak - jak już wspominałem - na znaczne opory. Zmodyfikowane genetycznie organizmy podlegają prawu patentowemu, przez co ich genom jest własnością producenta. A więc same te

sztucznie stworzone rasy są też własnością producenta i nikt inny nie może ich rozsiewać. Doprowadziło to do sytuacji, w której za nasiona roślin transgenicynnych trzeba słono płacić, a uzyskane plony przeznaczać tylko do konsumpcji - nie wolno obsiać własnego pola ziarnem zebranych z tego samego pola, gdyż oznaczałoby to złamanie prawa patentowego i zmniejszenie zysków dla koncernów biotechnologicznych.

Gdy się przypadkiem zdarzyło, że ktoś odważył się obsiać swoją plantację zbożem zebranych z kłosów roślin opatentowanych, pracownicy koncernu biotechnologicznego natychmiast zniszczyli jego pole toksycznymi dla środowiska herbicydami. Proces sądowy w sprawie dewastacji środowiska zakończył się tym, że poszkodowany musiał zapłacić trucielom astronomiczną sumę za złamanie kontraktu, a dewastację gruntu uznano za działanie praworzadne.

Nieszkodliwość "żywności Frankenstein", jak również efektywność uprawy roślin transgenicynnych stoi pod bardzo wielkim znakiem zapytania. Brak jest po prostu wiarygodnych danych na ten temat. Naukowcy, którzy próbowali badać tę sprawę bezstronnie, jak profesor Arpad Pusztai, zostali usunięci, a jedyne dane, jakie posiadamy, to wyniki "badań" prowadzonych przez "uziemionych" naukowców - to znaczy pobierających pensje od koncernów bezpośrednio lub pośrednio zainteresowanych całym procederem. Nie możemy też zapominać, że wiele uczelni i instytutów naukowych jest sponsorowanych przez tego typu koncerny. Na pewno placówki te nie zrobią nic, przez co mogłyby stracić swoich sponsorów. Dlatego na przykład oficjalne dane "naukowe" mówią, że dzięki wprowadzeniu transgenicynnych odmian wydajność jakiejś uprawy wzrosła o 80%, a z próby niezależnego oszacowania faktów wynika, że spadła o 20%! Oczywiście naukowcy inni niż "uziemieni" nie mają żadnego prawa prowadzenia niezależnych badań.

Oprócz obaw o wpływ na zdrowie ludzkie i sprawy ekonomiczne rośliny modyfikowane genetycznie wywołują też ostry sprzeciw z powodów ekologicznych. Nie zostały stworzone w wyniku naturalnych procesów ewolucyjnych, i, co jest jeszcze ważniejsze, ich zapis genetyczny jest niemal identyczny.

A to już stanowi poważne pogwałcenie praw natury. Siłą każdego gatunku, dzikiego czy hodowanego, jest jego bioróżnorodność, czyli występowanie różnych odmian, ras, ekotypów (form przystosowanych do określonych warunków miejscowego środowiska), a w ich obrębie - zmienności osobniczej. To sprawia, że populacja jako całość jest lepiej przystosowana do zmieniających się warunków środowiska. Dlatego też gatunki o niewielkiej różnorodności genetycznej (np. gepard) są najbardziej zagrożone. Jeśli bowiem na przykład cechy osobnicze jednej rośliny (to samo zresztą dotyczy wszystkich innych organizmów) okażą się niekorzystne w wypadku konieczności stawiania czoła niekorzystnym zmianom (pasożytom, wyższym ogniom łańcucha pokarmowego, warunkom pogodowym, stosunkom wodnym, glebowym, chorobom genetycznym itp.), to za to cechy osobnicze innej mogą okazać się lepsze i to właśnie ona wyda więcej potomstwa i poprowadzi dalszą ewolucję danej populacji w kierunku uodpornienia się na niekorzystne zjawiska. Ale gdy wszystkie osobniki mają te same cechy, to oznacza to przystosowanie do bardzo wąskiego zakresu warunków (jakiego nie daje się urzeczywistnić w praktyce) i ich odporność na niekorzystne zmiany będzie bardzo mała. Wtedy na przykład jakiś gatunek owada czy grzyba pasożytniczego, który naturalnej populacji wyrządziłby bardzo niewielkie szkody, populację zmodyfikowaną genetycznie może całkowicie zniszczyć. Stąd raporty o obniżeniu się plonów wydają się więcej niż prawdopodobne. A nawet jeśli się tego uniknie, to konieczne jest wtedy stosowanie końskich dawek pestycydów, co nie tylko rujnuje całe środowisko i stwarza zagrożenie dla zdrowia, ale jeszcze sprawia, że uprawa tego typu staje się zwyczajnie nieopłacalna. Ale co jest nieopłacalne dla rolnika, może przynosić kokosowe zyski koncernom mającym monopol na nasiona (a do tego jeszcze koncernom chemicznym produkującym pestycydy!).

Wszystkie te uwagi o populacjach stosują się też do całych

biocenozy - im więcej gatunków w danej biocenozie, tym jest ona silniejsza. Dlatego lasy zawierające jeden gatunek drzewa czy też sztucznie oczyszczone z chwastów i owadów plantacje (a takimi muszą być plantacje roślin transgenicznych) są najbardziej narażone na uszkodzenie, na przykład w wyniku niekorzystnych warunków środowiska albo inwazji pasożytów czy owadów. Co pewien czas zdarza się, że sosnowy chojnik zostanie niemal w całości zjedzony przez gąsienice. Jeżeli jednak jest to las o dużej różnorodności gatunkowej drzew, to rosące w nim sosny wcale aż tak bardzo nie ucierpią w wyniku inwazji gąsienic, które wtedy będą miały mniej pożywienia (a więc aż tak szybko się nie rozmnożą) i więcej naturalnych wrogów (ponieważ będą żyły tam stale, a nie od jednej inwazji do drugiej) i innym organizmom oplaci się wtedy je atakować).

Z tego powodu "czyste" plantacje, czy to roślin transgenicznych, czy zwyczajnych, są biocenozy bardzo słabymi, nieodpornymi na szkodliwe czynniki, co powoduje konieczność ich sztucznego wzmocnienia przy pomocy chemii i innych zabiegów rolniczych. Kilkanaście lat temu widziałem reklamę pewnego pestycydu, z trójwymiarowym rysunkiem przedstawiającym dwa różne widoki w zależności od kąta patrzenia. Z jednej strony była normalna, nieregularna uprawa jakichś drobnych krzewów z chwastami, a z drugiej - te same rośliny w wojskowym porządku, z czystą ziemią dookoła nich. Umieszczony poniżej napis pytał "Co się rolnikowi bardziej oplaca: czysta plantacja czy zachwaszczone pole?". Wbrew przesłaniu autora reklamy, mnie bardziej się podobało "zachwaszczone pole", ale okazuje się, że z opłacalnością też wcale tak nie jest różowo w przypadku "czystej plantacji" z powodu tego, że pestycydy należy stosować w coraz większych dawkach. Natomiast gdybyśmy mieli tutaj rośliny zmodyfikowane genetycznie, to zapewne "czysta plantacja" byłaby koniecznością. Na "zachwaszczonym polu" raczej by one nie przetrwały.

Te reguły dotyczące siły przetrwania populacji można by zastosować również i do ludzi. Lansowane powszechnie ujednolicenie doprowadzić może do śmiertelnego zagrożenia. To już jednak zupełnie inny temat...

Koncerny biotechnologiczne niewiele jednak się tym wszystkim przejmują. Dążą do tego, aby wprowadzenie żywności modyfikowanej genetycznie stało się standardem. Motywacją jest dla nich oczywiście troska o głodujących. W Stanach Zjednoczonych wydano już odpowiednie zezwolenia, natomiast Unia Europejska wciąż się jeszcze opiera, podobnie jak wiele krajów Trzeciego Świata. Ale DUBYA z pomocą Tony'ego Blaira próbuje je zmusić do posłuszeństwa przy pomocy ekonomicznego szantażu, wywołania między nimi niesnasek i wzruszającej propagandy o tym, jak to wredne rządy dla swoich przyziemnych interesów odmawiają głodującym w swoich krajach dostępu do taniego pożywienia. Rzecz w tym jednak, że to nie tylko rządy krajów Trzeciego Świata są przeciwnie "żywności Frankenstein". Przede wszystkim wywołuje ona nienawiść u samych rolników, na przykład w Indiach, gdzie walczy się zębami i pazurami o wyeliminowanie transgenicznych nasion. Rolników oburza fakt, że nie wolno wysiewać samemu wyhodowanych nasion, ale też konieczność stosowania ogromnych ilości pestycydów i przenikające gdziekolwiek informacje o szkodliwości i nieopłacalności nowych upraw. To, że przestajemy być właścicielami naszego powszedniego chleba, wszędzie jest postrzegane jako zamach na największe prawa natury.

Pomimo oporu większości państw wobec modyfikowanej genetycznie żywności prognozy na przyszłość są raczej pesymistyczne. Można się spodziewać, że ustawiczny nacisk ze strony Światowej Organizacji Handlu i poszczególnych koncernów wcześniej czy później zmusi Unię Europejską do kapitulacji, zwłaszcza odkąd przybędą jej nowi członkowie. Złamanie Indii czy Brazylii będzie jeszcze łatwiejsze. Jedyna nadzieja więc w oddolnym oporze samych rolników, który jednak musi być prowadzony w skali światowej.

W dniach 20 - 25 czerwca bieżącego [tj. 2003] roku w stolicy Kalifornii, Sacramento, odbył się specjalny szczyt Światowej Organizacji Handlu (WTO) dotyczący spraw biotechnologii. Towarzyszył mu antyszczepkowy organizowany przez rolników z całego świata, sprzeciwiających się globalizacji i łamaniu praw natury. Doszło tam, jak zwykle przy takich okazjach, do starć z policją. Wszystko to na szczęście dowodzi, że nie jesteśmy ślepi ani głusi i że korporacjom nie będzie tak łatwo przeforsować swoją propagandę o dobrodziejstwach "żywności Frankenstein" i o tym, jak to jedynym smartwaniem DUBYI i jego przyjaciół są głodujący biedacy.

Scott Rittenhouse

ZDROWOROZSĄDKOWE POWODY DLA PRACOWNICZEJ SAMORZĄDNOŚCI



SZEF NAS POTRZEBUJE - MY NIE POTRZEBUJEMY SZEFA

W JAKI SPOSÓB PRACODAWCY STAJĄ SIĘ BOGACI I POTĘŻNI NASZYM KOSZTEM

Co robią szefowie?

- Ustalają godziny pracy. Ustalają terminy. Równie dobrze może być to zrobione przez samych pracowników.

- Koordynują, upewniają się, czy czynności zależne od innych nie opóźniają się nawzajem. Rozdzielają też surowce pracownikom, których praca tego wymaga. Często taka scentralizowana dystrybucja tamuje i przeszkadza w wydajności pracy. Ponadto zazwyczaj nieformalnie jest to robione przez samych pracowników.

- Księgowość-To jest zajęcie urzędnicze, liczenie pieniędzy, które dla nich zarabiasz

- Tworzą budżet - Aktualny koszt wszystkich wydatków i tak jest ustalany przez samych pracowników i zsumowany przez menadżera. Także on ustala priorytety.

- Przyjmują, zwalniają ludzi i przydzielają im zadania do wykonania.

- Im mniej szef pracuje, tym więcej on zarabia! Przyczyną jest fakt, że nie dostają oni pieniędzy za konkretną czynność do wykonania, ale za utrzymywanie innych przy jak najefektywniejszej pracy po jak najmniejszych kosztach. Ponadto często używają swojej władzy, aby samemu się wzbogacić.

Co robią udziałowcy (Kapitałści) ? Nic!

- Kapitałści kupują część przedsiębiorstwa ("akcja" jest miarą własności) i otrzymują część wartości wypracowanej przez pracowników tego przedsiębiorstwa (dochód zabrany pracownikom zwany "dywidendami") lub pożyczają swoje pieniądze przedsiębiorstwu kupując obligacje i zarabiając na odsetkach. Oni nie pracują na te pieniądze, co najwyżej przejawia się w nich myślenie typowe dla złodzieja kombinującego, gdzie znajdzie łatwiejszy łup.

Skąd zabierane są zyski? Od Ciebie!

- Koszt prowadzenia biznesu to pieniądze wydane na pracę, maszyny i narzędzia, materiały, wynajęcie, odsetki od kredytu, utrzymanie i inne rzeczy. Wartość pracy jest różnicą pomiędzy przychodem przedsiębiorstwa a jego pozapłacowymi kosztami. Zysk firmy jest różnicą wartości pracy a pieniędzy, jakie szef płaci w formie pensji i na ubezpieczenia społeczne.

- Osiągnięto szefów są po prostu liczone pieniędzmi, jakie zdołali wycisnąć od Ciebie. Często płaci im się akcjami, lub w formie części zysków przedsiębiorstwa, aby bardziej zależało im na mniejszych płacach pracowników.

Szef nad Tobą to dyktatura.

- Współczesna biurokracja została wynaleziona w nazistowskich Niemczech przez Maxa Webera, który skopiował znany z wojskowości łańcuch podwładnych. Niewykonanie zadania oznacza konsekwencje dyscyplinarne albo wyrzucenie!

- Współczesna produkcja została wynaleziona przez Henry'ego Forda, który chciał zredukować czynności robotników do powtarzających się tych samych ruchów, niczym maszyny oraz Frederick'a Taylora, który poprzez zminimalizowanie liczby ruchów wykonywanych przez pracownika chciał zmaksymalizować jego "produktywność". Zadania wymyślone przez szefów dehumanizują pracowników.

- Wiele miejsc pracy wymaga od Ciebie pracowania w nadgodzinach. Często pracownicy mają tylko stałą pensję bez dodatków za nadgodziny (lub z bardzo niewielkimi) i w praktyce muszą pracować tak długo, jak tylko się umyśli szefowi.

- W wielu miejscach pracy podwładni z innymi pomysłami nie mają nic do powiedzenia, a niemile widziane jest nawet zadawanie pytań.

- W wielu miejscach pracy próbuje zmusić się pracowników do donoszenia jeden na drugiego.

- Wiele zakładów pracy szpieguje swoich pracowników używając specjalnych programów komputerowych, ukrytych kamer, informatorów, a nawet prywatnych detektywów! Niekiedy dochodzi też do ustalania limitu czasu, jaki pracownik może spędzić w toalecie.

- Wiele przedsiębiorstw wymaga od pracowników zakładania firmowych ubrań.

Szefowie są nieefektywni!

- Duża liczba menadżerów zmusza do bezsownych prac, lub wykonywania jej wyłącznie "ich sposobem", aby usprawiedliwić swoją nadrzędną rolę i zmusić Cię do uległości.

- Wiele menadżerów tworzy pod sobą prawdziwe "imperium", gdzie nie się może wydarzyć bez ich zgody. W takiej scentralizowanej kontroli dostęp do surowców, czy informacji niezbędnych dla codziennej pracy jest ograniczony. Bez szefa decydowanie w tych sprawach byłoby zdecentralizowane i dostosowane do aktualnych potrzeb.

Szefowie mogą Cię zabić!

- Praca jest jedną z najczęstszych przyczyn śmierci z powodu wypadków i wywołanych nią chorób. Wypadki zdarzają się, kiedy Twój szef próbuje przyspieszyć tempo pracy dla zwiększenia zysków.

- Szefowie starają się obniżyć kosztą poprzez oszczędzanie na zabezpieczeniach i specjalnych szkoleniach. Praca może być wybitnie stresująca z powodu nadgodzin, współzawodnictwa, manipulacji, intryg, szczególnych poleceń, itd... Wszystko z powodu szefów i Twoich kolegów, którzy myślą, że tylko poprzez całowanie szefa w tyłek zająd wyżej. Stres może bardzo zagrozić Twojemu zdrowiu.

- "Wypadki" w pracy zabijają ludzi, ale złe warunki pracy wcale nie są pojedynczymi wypadkami, lecz zdarzają się nagminnie. Ale pracownikom musi ktoś wydawać polecenia...

- Tak naprawdę nieformalnie pracownicy sami decydują wspólnie o wielu problemach swojej pracy i razem je rozwiązują. Nawet nie pytają szefa, bo wiedzą, że on nawet nie ma pojęcia o tych rzeczach i nie może pomóc.

- Pracownicy cały czas podejmują wiele "menadżerskich" decyzji dotyczących ich domów, rodzin i własnego życia. Wcale nie potrzebują do tego żadnych szefów. Ale szefowie mają specjalne wykształcenie...

- Obecnie większość z nich ma wykształcenie w polu księgowości i kapitalistycznej ekonomii, ale nie uczą ich rozwiązywania wielu problemów związanych z pracą z ludźmi, czego można się nauczyć tylko przez doświadczenie. Czego się nauczyli, to zarządzanie i teoria motywacji, czyli jak wyzyskiwać ludzi wspomagając się psychologią. Ale szefowie tworzą miejsca pracy...Nie!

- Szef jedynie przyjmuje i zwalnia Cię. Miejsca pracy tworzone są, ponieważ szef widzi szansę na wzbogacenie się, ale praca do wykonania jest większa, niż możliwości aktualnie pracujących. Jednak szef zrobi wszystko możli-

we, aby uniknąć zatrudnienia kogoś nowego, raczej przydzieli więcej zadań dotychczasowym pracownikom

("zwiększanie efektywności pracy"), zakupi maszyny lub zmusi pracowników do pracowania w nadgodzinach. Nadgodziny kosztują szefa znacznie mniej, niż zatrudnienie nowej osoby, zwłaszcza, że pracujący w nadgodzinach dostają mniej, niż za "normalną" pracę.

Ale mój szef jest "sympatyczny"... Nie ufaj im!

- Szef jest przede wszystkim szefem...!

- Szef zdaje sobie sprawę, że jego praca zależy od umiejętności jak największego "eksploatowania" Cię. Możesz jednak być co do niego pewien, że zawsze skłamię i powiem to, co chcesz usłyszeć. Boss, o którym myślisz, że go znasz jest iluzją.

- Im ciężiej pracujesz, tym więcej będą od Ciebie wymagać. - Jeśli wykonujesz w pracy dobrą robotę, szef skrytykuje Cię przed swoimi szefem, aby cała zasługa spłynęła na niego.

- Jeśli jest jakiś problem w pracy, wtedy on powie, że to Twoja wina.

- Jeśli wiesz więcej, niż Twój szef, wtedy on spróbuje Cię wyrzucić lub dokucać Ci, abyś sam odszedł lub popełnił jakieś błędy, które mogą być podstawą dla zwolnienia. Powie Ci takie rzeczy jak "Chcę Ci pomóc", czy "jesteś dla nas za dobry". Jeśli słyszysz coś takiego - koniec jest bliski.

A co, jeśli szef jest jednocześnie właścicielem? - Po pierwsze większość małych przedsiębiorstw faktycznie należy do banków (z powodu hipoteki) i w ten sposób wielcy kapitaliści zabierają Ci pieniądze poprzez Twojego bezpośredniego szefa.

- Argumentuje się, że wielu "małych-średnich" pracuje znacznie ciężiej, niż pracowałby dla kogoś innego. Ale nawet jeśli oni rzeczywiście pracują ciężiej, to wciąż nie płacą oni swoim pracownikom pełnej wartości wykonywanej przez tamtych pracy. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że kiedy Ty musisz dojeżdżać autobusem do pracy, to on jeździ własnym samochodem. Kiedy Ty musisz wynajmować mieszkanie, on ma własny dom. To oczywiste, że nie możesz sobie pozwolić na taki standard życia, jakie prowadzi szef i nawet najciężiej pracujący szef nigdy nie będzie pracował ciężiej od Ciebie, chociaż powinien, biorąc pod uwagę ogromną różnicę w zarobkach.



EXKLUSIVE SCHWAPP-ZEICHNUNG DES ANARCHISTISCHEN MASSENAUFZUGS AUF DEM TIAN-AN-MEN-PLATZ IN PEKING 1989.

Ale jeśli będę pracował ciężko i wykonywał rozkazy, to osiągnę sukces i pieniądze... - Ludzie znający się dobrze na swojej robocie są zazwyczaj traktowani jako zagrożenie przez swoich szefów, ponieważ istnienie takich ludzi podważa sens istnienia szefów.

- Szefowie zazwyczaj awansują lub przyjmują do pracy kogoś ze względu na osobiste sympatie/antypatie i kapry-

sy. Kompetencje są już sprawą drugorzędną.

- Rozejrzyj się. Ilu widzisz bogatych ludzi? Jeśli oddzielisz tych, którzy cały majątek po prostu odziedziczyli, to okaże się, że pozostała garstka zdobyła pieniądze z tytułu posiadania towaru lub innej własności, a nie uczciwą pracą. Twoja ciężka praca może tylko zniszczyć Twoje nerwy i uczynić Twojego szefa bogatym! Najlepszym sposobem na owocną pracę jest brak jakiegokolwiek szefa nad sobą.

JAK MOGLIBYŚMY PRACOWAĆ BEZ SZEFÓW?

W jaki sposób podejmowane są decyzje?

- Pracownicy zorganizowani są w grupy oparte na rodzaju wykonywanej pracy. Decyzje są podejmowane demokratycznie przez pracujących.

- Każda grupa deleguje przedstawicieli na wszystkie spotkania koordynujące sekcji w miejscu pracy. Każdy komitet koordynujący wysyła reprezentację do komitetu zakładowego.

- Reprezentanci mogą być w każdej chwili odwołani przez grupę, która ich wybrała. Nie mają oni żadnej władzy, ich zadaniem jest jedynie reprezentowanie zdania swojej grupy.

- Konflikty powinny być rozstrzygane poprzez mediację i arbitraż kogoś neutralnego.

Jak zorganizowana jest praca?

- Grupy pracownicze same planują i rozdzielają zadania. Bez szefów nie potrzebują czekać na zgodę na cokolwiek. Wystarczy zgodzić się z kolegami, co powinno być zrobione. Pracownicy powinni też sami decydować o nauce i zdobywaniu nowych kwalifikacji.

- Komitety koordynujące (jak sama nazwa wskazuje) mają za zadanie koordynować planowanie i rozdział surowców dla poszczególnych grup. Pomagają one również w przepływie informacji, aby pracownicy mieli świadomość, co się dzieje w miejscu pracy.

- Komitety zakładowe koordynują tworzenie budżetu i podstawowe rzeczy, jak księgowość, zakup i sprzedaż wyprodukowanych dóbr, dba też aby produkcja dostosowana była dla aktualnych potrzeb.

W jaki sposób opłacani są pracownicy?

- To pracownicy decydują jaki procent przychodów idzie na ich zarobki, a jaki na zakłady.

- Bez "pracy wykonywanej" przez szefów każdy rodzaj pracy stanie się równie ważny i niezbędny: zarówno fizycznej, jak i umysłowej. Pracownicy mogą, czy płacić każdemu po równo, czy w zależności od przepracowanych godzin.

- Bez udziałowców i przepłacanych szefów więcej pieniędzy idzie do tych, którzy naprawdę pracują.

Co z zyskami?

- Bez szefów pracownicy nie będą już określani jako "zbyt kosztowni". Opieka medyczna, dentystyczna, nad dziećmi, dla niezdolnych do pracy, urlopy, chorobowe i emerytury będą kosztem działania miejsca pracy i będą pokrywane z jego urobku.

- Miejsce pracy również pokrywa koszt narzędzi, zabezpieczeń i szkoleń.

Co z awansami?

- Zadania są przydzielane zgodnie z czynnościami: zależy w czym czujesz się "moocny". Nie ma podlizywania się nikomu, ponieważ ludziom się płaci za pracę, a nie za ich pozycję.

- Uczysz się w czasie pracy jak pracować lepiej.

Samorządność pracowników ustala praktyki i sposób nauki dla nowych pracowników.

- Jedynym "awansem" jest odpowiedzialność. Grupa pracownicza sama daje najczęściej odpowiedzialności tym, którym ufa. Jest to wyraz osobistego poważania.

- Poprzez pozbycie się prawdziwych pasożytów w miejscu pracy (szefów) jest znacznie więcej ludzi do wykonywania pracy, i dlatego można skrócić czas pracy dla wszystkich. Ludzie mogą też sami określać swój czas pracy.

- Bez szefów stres w pracy znacznie się zmniejszy.

Co z nierobami?

- Objanie się jest zazwyczaj reakcją na bycie wyzyskiwanym > bez wyzysku będzie mniej skłonnych do nierobstwa.

- Ci, którzy wciąż nie nie robią i zwalają większość pracy na swoich kolegów popełniają w pewnym sensie kradzież. Pracownicy mogą zdecydować, czy ktoś zachowuje się w ten sposób. Ci, którzy tak dalej będą postępować decyzją innych mogą być wydaleny z pracy.

tt. Wojtas

Żeby wilk był syty i owca cała

W dniu 15 sierpnia 2003 r. w telewizyjnych "Wiadomościach" zasugerowano, że z powodu zwiększania się liczebności wilków w Bieszczadach należałoby zezwolić na ich okresowy odstrzał. Podane zostały wprawdzie także argumenty strony przeciwnej (ekologów), ale widz odniósł wrażenie, że odstrzał byłby najlepszy, ponieważ wilki zagrażają hodowanym przez ludzi owcom. Prawie codziennie ktoś z nich zostaje zagryziony. Przyczyną tego w znacznym stopniu są migracje wilków z terytorium Ukrainy, gdzie odstrzał jest dozwolony. W przeszłości w momentach, kiedy populacja polskiego wilka ulegała znacznemu wzrostowi, wydawano okresowe zezwolenia na odstrzał, z których skwapliwie korzystali miłośnicy łowiectwa (nie mylić z kłusownikami).

Widzowie w ten sposób otrzymali sygnał, że wilków jest za dużo. Przy takiej argumentacji mało kogo przekonają tezy ekologów, że *Canis lupus* to wciąż gatunek zagrożony. W rzeczywistości jednak, poza Bieszczadami i Suwalszczyzną w polskich lasach (na przykład w województwie lubelskim) wilk pozostaje wielkim rarytatem. A jeśli chodzi o Ukrainę, to sprawa i tam wcale nie musi się przedstawiać aż tak różowo. Problem polega raczej na słabości ochrony przyrody w rządzonej przez oligarchiczną mafię państwie, uważanym za najbardziej skorumpowane w Europie.

Najmądrzej więc byłoby po prostu przenieść nadmiar populacji bieszczadzkiego wilka w inne regiony kraju, a w ostateczności do zachodniej Europy, gdzie - poza paroma wyjątkami, takimi jak Półwysep Iberyjski - jest to już właściwie gatunek wymarły. A przed wiekami był on najgroźniejszym drapieżnikiem naszego kontynentu, budzącym paniczny strach - do tego stopnia, że bano się wymawiać jego nazwy (stąd pochodzi przysłowie "Nie wywołuj wilka z lasu"). Dziś po zachodnioeuropejskich wilkach pozostały głównie nazwy miejscowości i zabytki literackie, w których ten zwierz odgrywa kluczową rolę.

W naturalnych środowiskach nadmiar drapieżników jest regulowany liczebnością zwierzyny. Gdy jest dużo drapieżców, spożywają oni większą liczbę zwierząt roślinożernych, których przez to staje się mniej. Wtedy nadmiar drapieżników ginie z głodu, a dzięki temu zwiększa się liczba roślinożerców, których mniej zostaje upolowanych. Nadmiar pożywienia z kolei powoduje wzrost liczby drapieżników, i cały cykl zaczyna się od nowa.

W polskich lasach, w których równowaga biologiczna została zaburzona, wyniszczeniu uległy nie tylko wilki, ale i zwierzyna, i o takim obrocie spraw możemy tylko pomarzyć. Wszystko w tych szczątkowych zbiorowiskach jest dalekie od stanu naturalnego. Natomiast tam, gdzie sytuacja jest nieco lepsza, np. w Bieszczadach, decydując o zezwoleniu bardziej się opłaca wydać zezwolenia na odstrzał wilków, bo dzięki temu zarobi się niemałe pieniądze, niż tracić forsz na reintrodukcję wilka do miejsc, gdzie ludzie go dawno wyteplili.

Stawianie hodowli owiec ponad ochroną zagrożonego gatunku drapieżnika jest objawem antropocentrycznego sposobu myślenia. Jak na ironię, najzagorzalszymi zwolennikami antropocentryzmu są ludzie, którzy uparcie twierdzą, że "sprawy człowieka powinny zostać podporządkowane rzeczom ważniejszym". Antropocentryzm polega na stawianiu spraw i potrzeb człowieka ponad sprawami i potrzebami innych gatunków. Na przykład: hodowla owiec jest potrzebna ludziom, a więc musi być ważniejsza od populacji dzikich gatunków. Większości ludzi taki punkt widzenia zapewne wyda się naturalny, ale musimy wiedzieć, że wcale nie wszyscy się z nim zgadzają. Alternatywą wobec antropocentryzmu jest naturalcentryzm - pogląd, wedle którego inne gatunki powinny mieć takie same prawa jak człowiek, a sprawy ludzi nie są w niczym ważniejsze od spraw świnek morskich czy wiewiórek. Zdaniem zwolenników takiego punktu widzenia człowiek nie ma prawa dła własnych korzyści gospodarczych zabijać zwierząt, ponieważ wilk ma takie samo prawo do życia (a zatem i do owiec) jak człowiek, a sztuczna hodowla zwierząt użytkowych jest pogwałceniem natury.

Nie każdemu takie ujęcie sprawy musi się podobać, ale ma ono wiele ważnych uzasadnień merytorycznych.

Przed wszystkim należy zrozumieć całokształt mechanizmów rządzących piramidami pokarmowymi. Na ich spodzie znajdują się rośliny zielone, których biomasa jest ogromna, lecz nie nieskończona. Oznacza to, że choć roślinność może wytrzymać niewyobrażalną ilość organizmów ją pożerających, to ta ilość nie może jednak urosnąć w nieskończoność bez spowodowania spustoszeń. A zatem, gdy liczba zwierząt roślinożernych nadmiernie wzrośnie, zagrożona zostaje cała biocenoza, ponieważ rośliny stanowią pokarm i siedlisko wielu gatunków organizmów. W naturalnych warunkach powstaniu takiej sytuacji przeciwdziałają drapieżniki, które usuwają nadmiar roślinożerców. Są więc one niezbędnym składnikiem każdej biocenozy. Jednak antropocentryczna działalność doprowadza do zachwiania takiej równowagi. Na przykład w Afryce będąca podstawowym składnikiem wielu kultur, a nawet religii hodowla bydła powoduje gwałtowne rozszerzenie się pustyni. Antropocentryzm sprawia, że zabija się drapieżniki - lwy, hieny, lamparty, gepardy - które w normalniejszych warunkach usunęłyby nadmiar bydła. Wprawdzie większość ludzi powie, że pustynie się rozszerzają, ponieważ brakuje deszczów, ale to właśnie niszczenie roślinności jest tym, co powoduje zmniejszenie się parowania wody, a w konsekwencji i powstawania chmur. Podobne, choć trochę mniej katastrofalnie wyglądające spustoszenia mają miejsce i w innych strefach, np. w strefie śródziemnomorskiej z powodu nadmiernej hodowli kóz, czy też przed wprowadzeniem ustawowych ograniczeń wypasu owiec w Tatrach. I jeszcze nie możemy zapominać, że w dawniejszych czasach antropocentryzm przybierał jeszcze bardziej absurdalne formy. W XIX wieku dla zasady zabijano drapieżniki, ponieważ "mają one zły charakter", a człowieka, jako gatunek "kierujący się rozumem" miał za zadanie wytępić "złoczyńców". Takie ręczne sterowanie przyrodą zawsze jednak zwraca się przeciwko samemu człowiekowi, doprowadzając do osłabienia, jeśli już nie zrujnowania ekosystemów, których i on jest tylko częścią składową.

René MOURIAUX

Sceny strajkowe z dziejów Francji. Wzlot i upadek idei strajku generalnego

Zanim francuski ruch związkowy popadł pod wpływ party socjalistycznej i komunistycznej oraz hierarchii kościelnej i się podzielił, przeprowadził mu rewolucyjny syndykalizm.



Głosili, że wyzwolenie klasy robotniczej będzie dziełem samej tej klasy, gdy wzniesi ona strajk generalny.

Historycy ruchu robotniczego słusznie przypominają odległe pochodzenie idei strajku generalnego. Pojawia się podczas rewolucji francuskiej za sprawą Sylvana Maréchała, Le Telliera, Mirabeau. W latach 1832-1842 szerzył ją brytyjski ruch związkowy, podczas gdy w tym czasie była nieobecna wśród robotników francuskich. W obliczu zamachu stanu Ludwika Napoleona Bonapartego (1851) wystąpił

z nią liberał Emile de Girardin. Dyskutowano o niej na III Kongresie Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników (I Międzynarodówki) w 1868 r. Strajki 1886 r. w Chicago na rzecz 8-godzinnego dnia pracy posłużyły za wyzwalacz francuskiego ruchu robotniczego, który szybko pozbierał się po ogromnym krwotoku, jaki spowodowała klęska Komuny Paryskiej w 1871 r.

Idea powszechnego przerwania pracy wyrosła się najpierw wśród proletariatu paryskiego w łonie utworzonej w 1892 r. Ogólnokrajowej Federacji Gield Pracy (FNBT) taką strategię głosił Fernand Pelloutier w broszurze napisanej razem z Henri Girardem pt. "Co to jest strajk generalny?" (1895). W 1896 r., na II Kongresie FNBT w Tours, postanowiono prowadzić intensywną propagandę strajku generalnego. Potwierdziły to kolejne kongresy w 1897 (w Tours), 1898 (w Rennes) i 1900 (w Paryżu). Mimo gromkich proklamacji, w rzeczywistości FNBT wegetowała. Sytuacja zaczęła się zmieniać w 1901 r., wraz z wyborem Victora Griffuelhesa na sekretarza generalnego na kongresie w Lyonie i w 1902 r. wraz z przekształceniem się w Powszechną Konfederację Pracy (CGT) i przyjęciem nowego statutu. Wtedy to, na kongresie w Montpellier, wyposażono tę organizację w komisję do spraw strajków i strajku generalnego. W art. 16 nowego statutu postanowiono, że "ma ona za zadanie studiować ruchy strajkowe we wszystkich krajach świata" i że "ponadto stara się prowadzić wszelką użyteczną propagandę, która pozwoliłaby uzmysłowić zorganizowanym pracownikom konieczność strajku generalnego".

VIII Kongres CGT w Bourges w 1904 r. powierzył Paulowi Delesalle'owi kierownictwo komisji specjalnej, która miała prowadzić kampanię na rzecz 8-godzinnego dnia pracy i wywalczyć go do 1 maja 1906 r. w rezolucji w tej sprawie dano do zrozumienia, że ten postulat zostanie preferowany przy pomocy strajku generalnego. Delesalle'a, działacza związku metalowców, wspierał w tej kampanii Emile Pouget. Postulat 8-godzinnego dnia pracy propagowano na plakatach, nalepkach rozlepianych w tramwajach, na witrach sklepowych, balustradach, stolikach kawiarnianych. Po to, aby stał się obsesją, w całej Francji rozlepiono 6 mln takich nalepek. Na fasadzie paryskiej Gieldy Pracy umieszczono hasło: "Od 1 maja 1906 r. pracownicy będą pracować tylko 8 godzin". Gdy zbliżał się ten sądny dzień, burżuazja opróżniła półki sklepów magazynując podstawowe artykuły spożywcze. Zabarykadowała się w swoich domach. Całymi rodzinami opuszczała Paryż. Georges Clemenceau, pierwszy glniarz Francji, przyszedł premier, zmasował w regionie paryskim 50 tys. policjantów. 30 kwietnia, pod pretekstem wykrycia spisku, kazał aresztować Griffuelhesa. Następnego dnia policja konna uniemożliwiła jakiegokolwiek zgromadzenie na terenie Paryża.

Na prowincji mobilizacja robotnicza była mierna. Wzburzenie trwało do końca maja. Ruch poniósł fiasko. 13 lipca parlament uchwalił ustawę o cotygodniowym wypoczynku, ale to nie ofensywa związkowa zaważyła na uchwaleniu tej ustawy, od dawna przygotowywanej przez reformistycznych parlamentarzystów. Natomiast w 1919 r. ustawę o 8-godzinnym dniu pracy uchwalono w atmosferze eksplozji socjalnej.

Słynny kongres, na którym uchwalono kartę CGT, obradował w Amiens w październiku 1906 r. Wyciągnięto na nim wnioski z majowej porażki, jak również z utworzenia rok wcześniej Zjednoczonej Partii Socjalistycznej - Francuskiej Sekcji Międzynarodówki Robotniczej (SFIO). Przeprowadzono dwie wielkie debaty - o niezależności ruchu związkowego i o metodach walki. Obie sprawy były ze sobą ściśle związane. Mimo krytyki, jaką wywołały nikłe wyniki kampanii, Delesalle przypominał, jaki strach obleciał burżuazję i jak walka o 8-godzinny dzień pracy pozwoliła na edukację proletariatu. Wszczęty ruch należało więc kontynuować. W swoim sprawozdaniu przedstawił czteropiętowy schemat - walki strajkowe w poszczególnych branżach, jednocześnie przerwy w pracy, strajk generalny, rewolucję. W karcie z Amiens odrzucono wszelką strategię parlamentarną. Niezależny związek zawodowy, ekspresja całej klasy, miał działać na rzecz bieżącej poprawy losu pracowników, a na dłuższą metę - na rzecz emancypacji świata pracy za pośrednictwem strajku generalnego torującego drogę powszechnej samorządności społeczeństwa. CGT trzymała się linii strajku generalnego do 1909 r. Wtedy przeżyła kryzys. Jego przyczyny były wielorakie -

bezsporne intrzygi rządu Aristide'a Brianda zmierzające do odsunięcia najbardziej kłopotliwych działaczy, przeobrażenia kapitalizmu, który zaczął przechodzić na taylorowskie metody organizacji pracy, przeobrażenia kultury robotniczej, które sprawiły, że woluntaryzm i retoryka nie przemawiała do nowych pokoleń tak, jak do starych, autorytarne rządy kierownictwa związkowego, które nie bardzo było świadome tego, że jego wybór jest wynikiem oszukańczych procedur wyborczych. Griffuelhes, atakowany za swoje rządy w konfederacji, ustąpił ze stanowiska.

Odeszło wielu nieraz wybitnych działaczy (Emile Pouget, Emile Pataud...). Wyloniło się nowe pokolenie działaczy. W 1909 r. Pierre Monatte stworzył "trzon" redakcji "La Vie Ouvriere" - czasopisma nastawionego na szkolenie związkowców w dziedzinie wiedzy o kapitalizmie i o walkach robotniczych. To drugie pokolenie rewolucyjnych syndykalistów stanie wobec problemu wojny światowej.

Socjaliści podzielili się w sprawie strajku generalnego. Jules Guesde, podpisując się pod obiekcjami Engelsa i je zastrzegając, potępił strategię strajku generalnego. Wzrost zagrożenia międzynarodowych skłonił Jeana Jauresa do przejścia tej idei; jego stanowisko wspierało z propagandą CGT na rzecz wydania "wojny wojnie". Léon Jouhaux, nowy sekretarz generalny CGT, sprzyjał temu zbliżeniu. Jerzy Sorel, teoretyk bliski CGT, ale zamknięty w oddalonym od życia fabryk i biur kręgu intelektualistów, w swojej książce pt. "Refleksje o przemocy" (1907) wyniósł strajk generalny na poziom mitu - mobilizującej i wiodącej w działaniu idei.

Jauresa zamordowano 31 lipca 1914 r. Strajk generalny przeciwko wojnie światowej nie wybuchł. 4 sierpnia, na pogrzebie Jauresa, Jouhaux przyłączył się do "świętej unii" narodowej - w wojnie światowej opowiedział się po stronie państwa francuskiego. Pewna faza historyczna dobiegła końca.

Tłum. Zbigniew Marcin Kowalewski

Pracownicy przejmują zakład

Kilkuletnia walka pracowników Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Uniontex” S.A o uratowanie choćby części miejsc pracy doprowadziła do pozytywnego końca. Od grudnia 2003 roku istnieje na terenie części zakładu, zajmującej się wykańczaniem tkanin, spółka pracownicza, która po wygranej w styczniu tego roku przetargu odkupiła od syndyka maszyny i na początku marca 2004 roku rozpoczęła produkcję. Jednocześnie warto zauważyć, że punktem przełomowym w łódzkim proteście był strajk z czerwca 2003 roku, który co prawda nie doprowadził do uratowania zakładu w starej formie, lecz zwrócił uwagę zarządzie nie tylko na złodziejskie działania właścicieli (o czym wiedzieli od dawna), lecz i na bierność istniejących organizacji związkowych (porozumienie o końcu strajku podpisane zostało przez przewodniczących komitetu strajkowego - przewodniczących obydwu działających w zakładzie związków zawodowych: NSZZ „Solidarność” i OPZZ - wbrew woli zarządu i reszty członków komitetu strajkowego!!!). Trzeba w tym miejscu koniecznie wyjaśnić, że problemy Unionteksu, które legły u podstaw protestu, nie były spowodowane niemożnością zbycia towarów, lecz związane były ze złodziejską prywatyzacją fabryki. Została ona bowiem sprzedana holdingowi skupionemu wokół Białostockich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Fasty” za śmieszną sumę 350 tys. złotych, co było równowartością kilkudniowej produkcji fabryki albo jednej z kilkunastu maszyn znajdujących się na jej terenie. Jednocześnie działania nowych właścicieli powodowały ciągły wzrost zadłużenia, a przez to i problemy pracowników, faktycznie od początku mających problemy z regularną wypłatą wynagrodzeń - w czerwcu 2003 roku zadłużenie właścicieli w stosunku do nich przekraczało 1.5 miliona złotych (na około czterystu zatrudnionych). Wzrost zadłużenia wynikał z wypompywania zysków z zakładu, co odbywało się przez przekazywanie znacznej części przychodów ze sprzedaży tkanin do innych spółek holdingu, a następnie



Opuszczone pomieszczenia produkcyjne

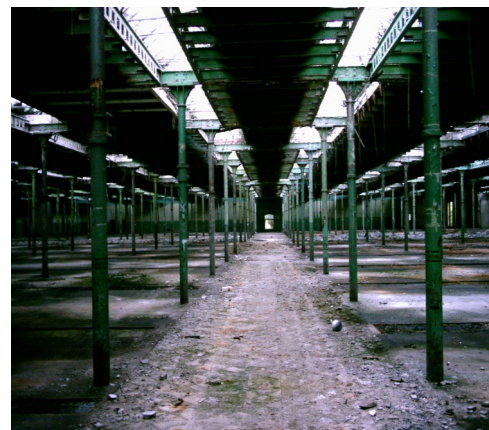
obarczaniem wszystkimi kosztami zakładu produkcyjnego (mówiąc dokładniej Uniontex zmuszany był do sprzedaży tkanin po zaniżonych cenach holdingowi, który następnie odsprzedawał je, notując gigantyczne zyski*). Sytuacja ta miała decydujące znaczenie na zaangażowanie się załogi wykańczalni – początkowo wbrew woli przewodniczących związków, w akcje protestacyjne, czego zwieńczeniem był strajk w czerwcu ubiegłego roku. Jednocześnie szok, jakim był dla robotników koniec, wbrew ich woli, strajku – co wiązało się z faktycznym postawieniem fabryki w stan likwidacji – doprowadził do podjęcia przez załogę działań zmierzających do utworzenia spółki pracowniczej. Zaowocowało to nie tylko uratowaniem znacznej części miejsc pracy – zakład w początkowej fazie zatrudniał ma 130 osób, wszystkich, którzy wyrazili chęć przystąpienia do spółki – lecz i zmianą jego charakteru w taki sposób jaki chcą tego pracujący w nim robotnicy. Łódzki protest pokazuje nam więc, że dzięki oddolnym działaniom załogi istnieje szansa na realizację jej postulatów i zamierzeń. Miejmy jednocześnie nadzieję, że sukces pracowników Uniontexu będzie początkiem odbudowy tego kiedyś największego, gdyż zatrudniającego 14 tys. osób, zakładu branży włókienniczej.

Strajk w Unionteksie wpisuje się jednocześnie w szereg innych protestów społecznych jakie obecnie mają miejsce w Polsce. Protestów wynikających z banalnego stwierdzenia, że sytuacja pracowników w Polsce jest tragiczna. Gigantyczne bezrobocie, likwidacja kolejnych zakładów, opóźnienia wypłat wynagrodzeń, czy inne formy masowego łamania prawa pracy są symbolem „polskiej drogi do kapitalizmu”. Wszystkie te fakty są powszechnie znane,

mimo, że rzadko są obecne w oficjalnych mediach. Pytanie, które musimy jednak sobie zadać brzmi: dlaczego tak rzadko – mimo wszystko – dochodzi do wystąpień robotników w obronie swoich praw i co my – jako anarchosyndykalisci – możemy im zaproponować? I nie mam tutaj na myśli ogólników sprowadzających się do postulatu przemówienia przez nich zakładów pracy, lecz propozycję konkretnych działań w celu pomocy i tworzenia solidarności pomiędzy robotnikami różnych zakładów, prowadzące do tworzenia struktur mogących stanowić poważną siłę w sytuacji zagrożenia praw pracowniczych.

Otóż odpowiedź – według mnie – może być tylko jedna. Niezależnie od charakteru protestów społecznych w naszym kraju musimy wspierać uczestniczących w nich ludzi. Wspierać i jednocześnie moźolnie pokazywać, że jesteśmy z nimi i że tak naprawdę w generalnym rozrachunku tylko na nas mogą liczyć.

W ostatnim czasie można wskazać przykłady takiej postawy: Ozarów, czy chociażby Uniontex. Jednocześnie



Tylko w tej hali pracowało ponad sto osób

łódzki protest pokazuje, że działania takie nie są bezsensowne, gdyż miały udział w nagłośnieniu protestu oraz doprowadziły do rozpoczęcia bliskich kontaktów uczestników Inicjatywy Pracowniczej Łódź z pracownikami Uniontexu, co już od pewnego czasu owocuje szeregiem wspólnych działań. Z drugiej strony tylko przez wspieranie protestów robotniczych i aktywne działania na tym polu istnieje szansa na wyrwaną robotników z wszechobecnej apatii, manifestującej się brakiem wiary w możliwość przebudowy otaczającej nas rzeczywistości.

Sebastian Glica

* Przystępczą działalnością holdingu zainteresowała się prokuratura. Obecnie w Białymstoku toczy się śledztwo przeciwko kilku osobom z jego kierownictwa, co zaowocowało aresztowaniem 18 lutego 2004 roku dwóch udziałowców Grupy Kapitałowej Fasty-Andropol: Wojciecha T. i Grzegorza Ł., pod zarzutem wyprowadzenia z Uniontexu w 2001 roku mienia o wartości ponad 8,5 miliona złotych. Według ostatniego raportu Najwyższej Izby Kontroli straty Uniontexu z powodu działalności właścicieli są zdecydowanie większe i sięgają 18 milionów złotych.



Korytarz prowadzący do magazynów

W A R C R Y

Tak jak umiarkowane ugrupowania ostudzają gorączkową atmosferę, anarchiści oświetlają drogę nowej myśli.
Esther Kaplan

Jako mała dziewczynka przyjechała do US ze swoimi rodzicami z Indii – było to na długo przed tym, jak przyjęła imię Warcry i zaczęła protestować przeciwko instytucjom takim jak Światowe Forum Ekonomiczne. Rok 1976, dwóchsetnie, krótko po tym, jak tata kupił jej małą amerykańską flagę. Ameryka w jego oczach była ziemią nadziei, ale ona pamięta go pracującego ciężko każdego dnia aż do chwili wczesnej śmierci. „Nie chcę żyć tak, jak wymaga tego system”, mówi. W collegu w Bay Area po raz pierwszy przeczytała Emmę Goldman, „to tak jakby ktoś otworzył wszystkie do tej pory zamknięte wrota mojego umysłu. Świeże powietrze na zawsze trafiło do środka”. Wszystkie swoje działania skierowała przeciwko „niszczącemu systemowi”.

Na nagraniach video przedstawiających protest przeciwko Światowej Organizacji Handlu przez chwilę widać Warcry, czarna chusta zasłania wszystko oprócz jej promiennych oczu, kiedy krzyczy: „Zawsze chciałam być częścią rewolucji!” Do tej pory Warcry przechowuje małą flagę, czując więź z uśiłowaniami i nadziejami jej ojca. „Amerykański sen nie istnieje”, mówi. „Ale są pewne ideały, np.: wolność wypowiedzania swoich poglądów, tworzenia zgromadzeń, wolność posiadania odmiennych racji – w nie wierzę i staram się wprowadzić w życie”.

Ten zapal, w połączeniu z pasją tysięcy podobnie myślących radykałów, będzie w tym tygodniu w NY w centrum zainteresowania, ponieważ dojdzie do hałaśliwej konfrontacji aktywistów z elitami biorącymi udział w Światowym Forum Ekonomicznym w Waldorf-Astoria. To wystąpienie będzie zastrzykiem odradzającego się anarchizmu po latach degradacji jego pozycji.

Dążenia anarchistów mogą odbić się szerokim echem w „świecie po 11 września”. W klimacie, w którym ludzie inaczej myślący są traktowani jako wrogowie Ameryki, a rząd otrzymuje pozwolenie na podsłuchiwanie, aresztowania i zatrzymywania, wielu członków pokojowych organizacji zdecydowało się na przeczekanie w ukryciu. Sierra Club zdecydował o całkowitym zaprzestaniu działalności, współzałożyciel Kevin Danaher twierdzi, że „wciąż próbujemy otrząsnąć się” po wybuchu z 11.09. Grupa będzie prowadziła wyłącznie wykłady instruktażowe i światopoglądowe. Organizacja AFL-CIO chciała urządzić marsz, jednak nie uzyskała na to zgody.

Tak więc anarchiści i uczestnicy bezpośrednich akcji zostali sami, teraz w ich rękach leży przyszłość. Nie tylko gromadzą wokół siebie sympatyków swojej ideologii, ale także po raz pierwszy tym tygodniu uzyskali zgodę na demonstrację przeciwko kapitalizmowi. Rozszerzenie działalności, rozmiar, energia i polityka konfrontacyjna zależą od nich.

Podczas gdy świat nie patrzy, anarchiści spędzają czas na organizowaniu nowych demonstracji.

Jeśli dotarłeś na Intergalaktyczny Konwent Anarchistyczny w ostatnią sobotę w Chasma Theater, tuż przy New Times Square, na pewno minąłeś tablicę informacyjną, zawierającą różnorodne informacje m.in. „The Black Bloc in Genoa: An Affinity Group’s Account”; literaturę dotyczącą praw zwierząt i wiele innych. Mogłeś również zostać zaproszony do zapoznania się z tematyką wegańską.

Być może nie udało cię zaskoczyć. Większość strajkujących, jeśli się im przysłuchać, wypowiadała się szczerze, z widoczną pokorą. Dwudziestu kilku hippisów, siedzących „po tureku” mówiło na temat niestosowania siły – „Policji przypisujemy wrodzone stosowanie przemocy”; w tym czasie czerwono-licy nastolatek deklaruje, co jego zdaniem oznacza termin „walczący pacyfista”, jakaś starsza kobieta przeprowadza rozróżnienie pomiędzy niszczeniem własności (w końcu własność nie czuje bólu) a okaleczaniem ludzi (co jest już nie do zaakceptowania). Każdy mówi zwyciężę i z pasją, zatrzymuje się co chwila, aby słuchacze mogli łatwiej ogarnąć ogromną ilość przedstawianych tematów. Podczas większego spotkania każda organizacja ma 5-10 minut na przedstawienie pokrótce ogólnego zarysu swojej działalności. Wstęp niedzielnej konwersacji kończy się w momencie, gdy

Lena (28 lat) – jedna z organizatorek spotkania, mówi o pojawieniu się wieczornych uczestników dyskusji, wspomina też o przekazaniu mikrofonu.

Nieporozumienia pojawiły się pomiędzy wykładami na temat Afganistanu, Argentyny i pytaniem „Dlaczego WEF jest zły?”.

Od czasów Sacco i Vanzetti, Ameryka odkryła anarchizm po raz pierwszy w zastraszającej formie zamaskowanych bojowników czarnego bloku. „Gniew ulicy”, grzmiał The New York Times; „zmora protestów” – NBC Nightly News. Wszyscy, począwszy od Rainforest Action Network, a skończywszy na prezydencie, ruszyli do różnicowania „dobrych” protestujących od złych. Kierujący organizacją Rainforest – Randy Hayes, stwierdził, że taki wandalizm na pewno nie służy temu ruchowi; natomiast



John Settlers (Ruckus Society) nazwał takie działanie „niewybaczalnym”. Zeszłoroczny protest w Genui zainspirował nowe możliwości opisanie tematu: black block’ersi zachowywali się jak „barbarzyńcy u wrót zamku... których sposób działania polega na infiltracji bardziej umiarkowanych grup w celu przeprowadzenia ataku”, raportuje Newsweek. A w momencie przyjazdu delegatów WEF, nawet reporter Village Voice przyznał rację stwierdzeniu policji, że black block’ersi zachowują się jak „Al-Qaeda”.

Takie myślenie nie tylko przysłała prawdziwą naturę przemocy protestujących – odkąd policja jest jak najdalej od używania agresywnych metod, od gazu pieprzowego począwszy, a na fatalnych strzałach z Genui skończywszy, ale również czyni niewidzialnym nowe znaczące odkrycie: Skrajne skrzydła anarchistów szybko stają się centrum ruchu.

Dziesięciolecia republikańskich rządów, przedłużane bardziej za pomocą nieczystych chwytów niż powszechnej obywatelskiej woli, spowodowały wzrost podejrzeń w stosunku do działań politycznych. Naomi Klein twierdzi, że sprawiedliwość na świecie odziedziczyła wyraźnie cechy myślenia anarchistów. Mimo że wiele miesięcy minęło od wydarzeń w Seattle, coraz więcej aktywistów identyfikuje się z anarchistami.

Obecnie istnieje ponad 175 grup Food Not Bombs i przynajmniej 60 Niezależnych Media Centers, prawie tuzin People’s Law Collectives, niezliczona ilość puppetistas oraz kilka nowoczesnych ekip ratunkowych (między innymi antykapitalistyczna grupa Jamesa Creedona, która asystowała podczas akcji World Trade Center). Zaczyna-

jąc od Quebecu, radykalne skrzydło organizacji skonsolidowało swoje oddziały pod banderą Konwergencji Antykapitalistycznej. Wszystkie tego typu formacje spowodują kluczowe zmiany infrastruktury w nadchodzącym czasie.

Ruch jest postrzegany jako antyintelektualny, jednak Oakland’s AK Press drukuje około 80 tytułów anarchistycznych, zawierających nowe tłumaczenie Daniela Guerina – autora klasycznej antologii anarchizmu – No Gods No Masters; studentów zrzeszających się przy Vermont’s Institute for Social Ecology – gdzie studiuje anarchistyczne prace Murraya Bookchin i zgodnie z twierdzeniem instruktora – Brooke’a Lehmana (29) „spędzają lato na prowadzeniu dyskusji o tym, jak zrealizować naszą wizję demokracji bezpośredniej i wolności”.

W przeciwieństwie do społecznych reformatorów, którzy domagają się wpuszczenia inspektorów Nike do ich fabryk lub dążą do zminimalizowania swoich długów w Banku Światowym, anarchiści wyraźnie przeciwstawiają się samej idei kapitalizmu. Nie atakują Międzynarodowego Funduszu Moctarnego lub WEF tylko dlatego, że ich polityka wyzyskuje biednych, a dlatego, że takie działania są bezprawne. Wyobrażają sobie społeczeństwo bez podziału na stany, gdzie bogactwo i władza są powszechne i dostępne dla wszystkich, istnieją autonomiczne, wewnętrznie połączone struktury, a decyzje podejmowane są za zgodą większości. Barbara Epstein – profesor US Santa Cruz, mówi o tym, że obecny anarchizm stał się „polem, na którym działają wszyscy”, bardziej niż Marksizm w latach 60. Innymi słowy, nawet młodzi aktywiści, którzy nie identyfikują się z anarchistami, bezpośrednio łączą swoje idee z wartościami tej grupy.

Antykapitaliści wydają się być bardziej zróżnicowani wewnętrznie niż jakikolwiek ruch studencki. Jego geniusz polega na wykorzystywaniu zasobów znajdujących się wokół – źródeł wykorzystywanych przez ludzi lub pozostałości cyrkulacji kapitalistycznej – mimo braku gotówki i dostępu do tradycyjnych form władzy.

W zeszlotygodniowym spotkaniu w Teatrze, Intergalaktyczna Konferencja zamieniła się w grupową dyskusję. „Chodziło o zorientowanie się w potrzebach i możliwościach ich zaspokojenia”, mówi Lena, córka pracownika fizycznego, utrzymująca siebie od 16 roku życia. Jej przyjaciele: Jenna (22 lata) – szczupła Azjatka; Kevin (23 lata) – towarzysz Jenny, są wężowymi aktywistami, przemieszczającymi się pomiędzy kolektywami. „Bardzo doceniam anarchistów”, mówi Jenna, „ponieważ jeśli uczestniczę w demonstracji lub protestuję, zawsze znajduję się dla mnie jakieś jedzenie i miejsce do spania”. Kevin wspomina wizytę w Houston, gdzie znajduje się gospodarstwo anarchistów. Tych dwoje wróciło wtedy z Gainesville na Florydzie, na farmie spędziło miesiąc, pracując wraz z innymi.

Idea zdobywania środków do życia, możliwości czynienia dobra jest na wyciągnięcie ręki – to ekonomia możliwości. Ben (21 lat), co tydzień przygotowuje jedzenie dla ludzi mieszkających na ulicy, twierdzi, że anarchistyczny egalitaryzm przyciąga młodych, dopiero zaczynających rozumieć świat globalnej polityki. „Część osób, które do tej pory widywałem wyłącznie pod wpływem alkoholu, przychodzi teraz na spotkania Food Not Bombs, ucząc się odpowiedzialności”, mówi. „Kiedy raz znajdą się w miejscu, gdzie nie traktuje się ich jak dołów społecznych, gdzie mogą wykaazać się inicjatywą, nie opuszczą go. Zaczynają słuchając Subhuman, kończą na czytaniu dzieł Noama Chomskiego.” Myśląc o tym, dodaje po chwili, że jego historia jest bardzo podobna. Rozmowy kończą się około północy, dzieciaki rozchodzą się, aby zdobyć zapasy do własnej kuchni w Cabo Rojo (Bronx) i ocalić wspólny ogródek przed buldożerami.

Po niezbyt długim czasie spędzonym wśród niehierarchicznej, kolektywnej społeczności antykapitalistów, zaczynasz czuć, że całe twoje życie jest podporządkowane absurdalnemu balansowaniu na skraju przepaści, w którą spycha cię władza i potrzeba posiadania. Oszczędności uzyskane przez anarchistów są zwykle przeznaczane na organizowanie demonstracji, np. protestów przeciwko WEF.

Cokolwiek by nie mówić, ruch jest ascetyczny. Lena i jej przyjaciele używają słów takich jak radość i piękno w odniesieniu do kreowania przestrzeni poetyckiej, przedstawień muzycznych, sztuki. W tym tygodniu, kiedy policja przygotowywała się do rozbijania głów na Shea Stadium, puppetistas z uporem powtarzali kroki ulicznego tanga, tworząc przy okazji makietę naszego globu z papier mache, pomalowanego zgodnie z wizją lepszego świata.

Poruszając temat równości i sprawiedliwości, anarchiści zwykle radzą sobie z tym problemem doskonale. Ich duch kulturowej przynależności, połączone z usiłowaniami małych kolektywizowanych grup, prowadzi do rozwoju umiejętności popierania siebie nawzajem oraz struktur, które przyczyniają się następnie do znaczących osiągnięć.

Oczywiście najbardziej nagłą kwestią jest stosowanie przemocy – zarówno w przypadku mediów, jak i samego ruchu. Jak twierdzi Danaher z Global Exchange „brak taktyki działań, wewnętrzny bałagan nie przysporzy zwolenników”. Jednak nawet mimo tego, w czasie ostatniej dekady, w Waszyngtonie odbyło się wiele wystąpień organizacji wolnościowych.

Oglądając stary materiał filmowy, zawierający wydarzenia będące punktem zwrotnym, Warcry macha głową z niezadowolaniem. „Szczepke mówią, wszystkie działania grup z lat 60. nie są sukcesem, nie możemy więc przyjmować taktyki, która nie spełnia oczekiwań”, mówi. „Nie sądzę, że Seattle byłoby na mapie, gdyby nie katalizowanie poziomu wściekłości, widocznej poprzez niszczenie własności prywatnej”. Rozbijanie szyb nazywa „transformacją psycho geograficznego krajobrazu” i wskazuje, że takie działanie jest bardziej strategiczne, niż można by sądzić. Poza tym kwestia rannych podczas wydarzeń tego tygodnia jest wyłącznie dziełem policji.

Większość antykapitalistów zdaje sobie sprawę z tego, że ludzie z NY – również mundurowi – cały czas próbują otrząsnąć się po wydarzeniach z 11 września. Anarchiści z zasady niszczą określone własności, jednak obecnie wandalizm w restauracjach McDonald’s zastępowany jest szacunkiem do tradycji Boston Tea Party. „Nikt w NY nie podejmuje na razie żadnych działań”, mówi Graeber (black blocker), „mimo tego, że pewne zmiany w mieście byłyby wskazane”.

Nikt nie obiecuje, że black block zniknie. Warcry przypomina wspólny protest, poczucie anonimowości, jedności z ludźmi, „nadziei istnienia świata, którego ONI nie będą w stanie całkowicie kontrolować”. Jej grupa jest jedną z tych, których nie udało się zastraszyc Wojną, nikt z nich nie zapomniał o czekających wyzwaniach.

Warcry, jak zwykle mówi od serca. „Chcemy uratować życie tej planety. Nie możemy po prostu stać obok i biernie patrzeć”.



Anarchizm Rosyjski /lata 1917 - 1964/

Despotyzm przeszedł z pałaców królów do rewo-lucyjnych komitetów /.../

W kraju nastąpiła tylko zmiana w ubiorze.

/Jean Varlet „Explosion” 1793/

Ludu Powstań! Socjaldemokratyczni krwio-pijcy gnębią ciebie. Ci, którzy przedtem krzydzili za wolnością, braterstwem i równości, teraz czynią straszną przemoc! Zabijaj więźniów bez procesów i śledztw, i nawet bez „rewolucyj-nych” trybunałów ...

Bolszewicy stali się monarchistami ...

Nie ma wolności mowy, pracy, nie ma wolności pobytu w miejscu. Wszędzie widzimy tylko krew, jęki, łzy i przemoc ...

Ludu, musisz powstać !.../ Zniszczyć wszystkich wyzyskiwaczy! Stwórz sam sobie szczęście i wolność !.../ nie daj się gnębić nikomu !.../ Powstań! Stwórz Anarchię i Komunę.

/Apel Brańskieji Federacji A-narchistów, lipiec 1918/

Nigdy nie było tak wielkich podziałów między wyzyskiwaczami i wyzyskiwanymi.

/”Anarchiia” Nr 1, 29.IX.1919/

Anarchiści asystujący w październiku 1917 przy niszczeniu młodego Państwa Dwuwładzy świadomi byli państwowotwórczych tendencji bolszewików. Wybór bolszewików jako sojusznika w walce o socjalną rewolucji związany był z pewnym niezorientowaniem teoretycznym i antypragmatycznym idealizmem. Prze-rażenie ogamęło anarchistów już w kilka dni po prze-wrocie. Bolszewicy stworzyli centralny urząd Radę Komisarzy Ludowych, złożoną głównie z członków własnej partii. Było to zdrutowanie anarchistycznych pryncypiów ”władzy w miejscu”. Pryncypia te, co trzeba wyraźnie podkreślić, były uznawane za swoje przez zdecydowaną większość ludności w Rosji. Ludność ta nie broniła Rządu Tymczasowego, ponieważ łamał on zasadę ”cała władza w ręce lokalnych sowietów”. Tworzenie scentralizowanej administracji państwowej zaskoczyło wszystkich. Marynarze kronsztadzcy w kilka dni po powstaniu Rady Komisarzy Ludowych ogłosili, że jeśli Rada zdradzi rewolucję, to oni otoczą Smolny /siedziba bolszewików/, tak jak przedtem otoczyli Pałac Zimowy.

Kolejne szoki przebudzały anarchistów. 2 listopada 1917 r. bolszewicy ogłosili ”Deklarację Praw Narodów Rosji”. Według autorów deklaracji, każdy naród wchodzący w skład Rosji ma prawo konstruować własną państwowość. Dla anarchistów oznaczało to przejście od zasad antypaństwowego internacjonalizmu do idei pań-stwowo-twórczych.

Do niezwykle skomplikowanej sytuacji doszło w zarządzeniu przemysłem. 3 listopada 1917 r. bolszewicy przeprowadzili dekret o kontroli robotniczej. Kontrola robotnicza miała poparcie robotników ideowych anarchio-syndykalistów. Doprowadziła one do stanu, w którym efektywne zarządzanie przemysłem przestało istnieć. Komitety nie miały nad sobą władzy i dowolnie kierowały produkcją. Dominował egoizm branżowy, produkowano na własne potrzeby i nieliczono się z popytem. Bolszewicy i mienszewicy szybko stracili zaufanie do takiej metody zarządzania. Wspólnie ze związkami za-wodowymi zarządzali podporządkowanie przemysłu centralnej kon-troli państwowej. Z drugiej strony kontroli robotniczy i komitety fabryczne atakowali anarchokomuniści za ”kompromis z kapitalizmem” i zachowanie ”burżuazyjnego podziału robotnik-mistrz” w fabrykach. Anarchokomuniści /np. Apollon Karelin/ pragnęli wypracowania nowych form pracy zupełnie nie mieszczących się w zachodnich systemach produkcji.

Lenin szybko zrezygnował z popierania niszczących przemysł form kontroli robotniczej. 1 Grudnia 1917 r. powstaje Najwyższa Rada Ekonomiczna. Ciało to wchłania w siebie Wszechrosyjską Radę Robotniczej Kontroli. Bolszewikom chodziło tutaj o zastąpienie nieefektywnej kontroli robotniczej, kontrolą państwową. Nie było to zadaniem łatwym. System komitetów fabrycznych był bardzo wy-godny dla robotników i oznaczał nielimitowaną ich wolność. Bol-szewicy rozpoczęli propagandę i wprowadzenie zasad żelaznej dyscypliny pracy. Związki Zawodowe otrzymały zadania zastąpienia robotniczej kontroli

państwową, Chaos panujący w zakładach pracy miał zostać zlikwidowany.

Na I Wszechrosyjskim Zjeździe Związków Zawodowych 7-14 stycz-nia 1918 r. anarcho-syndykalisci ponoszą klęskę. Popiera ich zdecydowana większość robotników, ale na zjeździe stanowią niewielki procent sali. Na sali wśród 416 delegatów jest tylko 6 anarcho-syndykalistów.

Zagadnienie kontroli robotniczej stanowi w dyskusji dodatek do sporu o istotę rewolucji rosyjskiej. Bolszewicy przedstawiają swoją koncepcję kontroli prze-mysłu, planu gospodarczego i państwowego aparatu związków zawodowych. Udaje im się przeprowadzić uchwałę o przemianie komitetów fabrycznych w organy Związków Zawodowych. Niezwykle rzuca się tu w oczy leninowski pragmatyzm. Pamiętamy, że jeszcze niecały rok temu bolszewicy wraz z syndykalistami przegłosowali coś wręcz przeciwnego. Wtedy celem głównym było zniszczenie Rządu Tymczasowego, a teraz bolszewicy sami tworzą rząd. Zjazd określił, że robotnicza kontrola nie jest przejściem zakładów pracy w ręce robotników, ale stanowi system regulacji w ogólnym planie gospodar-czym.

Po ras pierwszy /jeśli nie liczyć niemieckiego systemu produkcji z I Wojny Światowej/ pojawia się rozbudowana ideologia produkcji planowej centralnie. Jak widać konflikty między byłymi sojusznikami pojawia się



Pogrzeb Kropotkina

natychmiast po wypad-kach październikowych. Początko-wo lewicowe partie polityczne były tolerowane przez bolszewików. W zasadzie funkcjonowali mieszewicy i eserowcy. Białe armie interwencyjne były w stadium organizacji i przez cały 1918 r. nie wykazywały aktywności, przez co dały bolszewikom czas na stabilizację. Woj-na domowa rozpoczęła się na dobre dopiero po zakończe-niu działań Ententy na Zachodzie, co uniemożliwiło przysłanie Białym broni.

Uchwała Najwyższej Rady Aliantów o inter-wencji w Rosji za-pada 2 lipca 1918 r. Interwencja spo-wodowana jest podpisaniem przez Rosję pokoju z Niemcami 3 marca 1918 r. Pokój ten umożliwił Niemcom przesunięcie armii na Zachód. Drugą przyczyną inter-wencji był bolszewicki dekret o kasacji pożyczek udzielonych Rosji carskiej. Dekret ten wprawił w osłupienie nawet zachodnie partie robotnicze.

Alianci od początku przerzucili ciężar walki na ideowe armie ochotnicze. W zasadzie trudno mówić o interwencji zachodniej, jeśli alianci stali tylko na przy-cółkach, a walczyli ochotnicy rosyjscy. Pod koniec 1918 r. armie ochotnicze gotowe były do działania. Generalny atak rozpoczęto dopiero na początku 1919 r. Armie ochot-nicze walczyły z różnymi, często sprzecznymi ze sobą, pobudkę. Część chciała restauracji caratu, część ochotni-ków była ideowymi socjalistami. Mimo wspólnych ofen-syw armie te nie sta-nowiły zwartych całości. Wszystkie

możliwe kierunki polityczne /oprócz anarchistów i lewych eserów/ walczyły z bolszewikami. Wiadomo, że nie mogli mieć wspólnego programu. Nim doszło do interwencji wojskowej wewnątrz Rosji panował względny spokój. Większość anarchistów obserwując krzepnięcie władzy państwowej odchodziła od bolszewików. Grupy antybol-szewickie rosły systematycznie w siłę. ”Burewestnik” Piotrogrodzkiej Federacji Anarchistycznych Grup miał pod koniec 1917 r. 30 tysięcy stałych czytelników. ”Barewestnik” przeciwstawiał leninowskiej koncepcji społeczeństwa ideę Komuny Paryskiej. Apollon Karelin nawoływał do tworzenia „drugiej Komuny Paryskiej”. Jednocześnie z odradzaniem się anarchokomunizmu powstaje nowy kierunek: Pananarchizm. Założycielami Pananarchizmu byli bracia A.L. i V.L. Gordin. Bracia Gordin uważali się w swym antyintelektualizmie za kontynuatorów ”Baznacalia”. W 1917 r. bracia Gordin orga-nizują w Piotrogradzie i Moskwie Unię Pięciu Wyzyski-wanych. Tych pięciu wyzyskiwanych to Robotnik, Mniej-szość Narodowa, Kobieta, Młodość, Indywiduum. Wyzyskiwanym odpowiada pięć instytucji wyzyskujących są to: kapitalizm, Państwo kolonialne, Rodzina, Szkoła i Wy-chowanie. Filozofia braci Gordin ma dać podstawy teore-tyczne dla uderzenia w pięć instytucji odpowiadających pięciu uciskany elementom nowoczesnego społeczeń-stwa. Państwo i kapitalizm zastąpić ma stan bezpaństwo-wy i komunizm. Uniwersalną eliminację narodowych

prześladowań umożliwić ma tzw. kosmizm. Antidotum dla wyzysku kobiet ma być gynecotropizm, filozofia humanizacji rodziny i emancypacja kobiety. Młodość i indy-widuum uratować ma nowy typ nauczania, oczyszczony z niewolnictwa dawnej szkoły. Twórczy duch człowieka, zda-niem braci Gor-din, uzależniony jest od dogmatyzmu, którego główne źródła znajdują się w religii i nauce. Nauka, rozumiana

jako racjonalny system, jest nową religią klas średnich. Tradycyjna metoda nauczania z książek jest metodą uży-waną przez klasy panujące dla zachowania swej domina-cji. Konieczny jest nowy typ edukacji, który uwolni świat od dehumanizacji i bezsensownego intelektualizowania. W nauczaniu dominować powinna bardziej technika niż abstrakcyjne rozumowania. Istnieje, według Panarchizmu, walka między dwoma typami kultury. Na kul-turę przeszłości składa się religia i nauka. Kulturę Anarchii tworzy praca i technologia.

Antyintelektualizm Panarchizmu nie jest wyjątkiem w teoriach anarchizmu. Nienawisć do intelek-tualistów, określanych często jako klasa panująca, wystę-puje u anarcho-syndykalistów, którzy głosili bolszewików zdrającami intelektualistami utożsamiając niemal intelekt ze zdradą rewolucji.

Teoretyczne rozejście się bolszewizmu i anarchizmu nastąpiło wraz z ugruntowaniem się pojęcia ”komisarokracji”. Słowo to weszło w obieg głównie po marcu 1918 r. kiedy to przeniesiono stolicę Rosji do Moskwy.

Do Moskwy przeniosły się grupy i gazety anarchistyczne ”Głos Truda”, ”Burewestnik”. Zaczęły wychodzić nowe gazety np. codzienne pismo Moskiew-skiej Federacji Anarchistycznych Grau ”Anarchia”. W Federacji działali głównie bracia Gordin, Apollon Karelin, Aleksei Borowoi i Lew Czernyi /znany poeta anarcho-

indywidualista/. Federacja zajmowała się propagandą w przemysłowych dzielnicach Moskwy. Apollon Karelin i Abba Gordin organiso-wali spotkania dyskusyjne wśród



robotników. Federacja odrzuciła metody nielegalnej działalności i ekspropriacji, z wyjątkiem wywłaszczania domów. Dzięki propagandzie Federacji weszło w obieg słowo komisarokracja /komisarderżawie/. Na komisarokrację składało się: stworzenie Czeaka, Deklaracje Praw Ludowych, nacjonalizacja banków, i ziemi oraz podporządkowanie Komitetów fabrycznych państwu. Koncentracja władzy oznacza powrót despotyzmu w trudniejszych do zwalczanie formach. Moskiewska Federacja nawoływała do zlikwidowania władzy bolszewików na rzecz decentralizacji i stanu bezpaństwowego.

Napiętą sytuację jeszcze bardziej skomplikowało podpisanie po długich negocjacjach 3 marca 1918 r. układu pokojowego z Niemcami w Brześciu Litewskim. Anarchiści zaatakowali układ, żądając prowadzenia rewolucyjnej wojny z niemieckim imperializmem. Na zebraniu sowietu 23 lutego 1918 r. Aleksander Ge powiedział: "Anarchokomuniści proklamują terror i walkę partyzancką na dwa Fronty. Jest lepiej umierać dla światowej rewolucji socjalnej niż żyć jako rezultat układu z niemieckim imperializmem".

14 marca 1918 r. na Czwartym Zjeździe Sowietów Aleksander Ge i trzynastu anarchistów, głosowało przeciwko układowi z Niemcami. Akcje anarchistów przeciwko Niemcom i wypadki w Moskwie w lutym - kwietniu 1918 r. doprowadziły do całkowitego zerwania z bolszewikami. Zerwanie to można datować od antyanarchistycznej akcji bolszewików w nocy 11/12 kwietnia 1918 r. w Moskwie. Już na początku 1918 r. lokalne kluby Federacji Anarchistów Moskiewskich zorganizowały oddziały "Czarnej Gwardii" i dokonały ekspropriacji wielu budynków. Czarna Gwardia częściowo wyzwołała się z spod wpływów Federacji i rozpoczęła akcje na własną rękę. Czarna Gwardia posiadała kilkadziesiąt ufortyfikowanych siedzib w Moskwie i była doskonale uzbrojona w broń automatyczną i armaty. Pretekstem do akcji przeciwko Gwardii był atak anarchistów na samochód reprezentanta amerykańskiego Czerwonego Krzyża 9 kwietnia 1918. W nocy 11/12 kwietnia 1918 r. oddziały Czeaka zniemacko zaatakowały i zajęły 26 Klubów Czarnej Gwardii zginęło kilkudziesięciu ludzi, aresztowano ponad 500. Kilka dni wcześniej bolszewicy zamknęli tymczasowo "Anarchiie". Po ataku na Czarną Gwardię Aleksander Ge złożył protest w sowiecie. Odpowiedziano mu, że uderzono nie w anarchistów ideowych, lecz w elementy kryminalne. Tan leninowski typ argumentacji powtarzać się będzie zawsze gdy aresztowani będą słynnymi na cały świat intelektualistami jak np. Lew Czerny czy Apollon Karelin.

Noc kwietniowa była sygnałem do aresztowań w całej Rosji. Anarchiści spełnili już swe destrukcyjne

zadanie przeciwko Rządowi Tymczasowemu, a teraz występują przeciwko Radzie Komisarzy. Należy ich zniszczyć.

W maju 1918 r. zamknięto "Burewestnik", "Golos Truda", "Anarchiie" i większość innych gazet. Latem 1918 r. Czeaka wzmocniło się, prowadząc akcje przeciwko terrorystom eserowcom. Dla a-narchistów Czeaka oznacza powrót kontrewolucji groźniejszej, niż ta z 1906-1907 r. Niedobitki "Czarnej Gwardii" i "Beznaczelja" łączą się w desperackie grupy "Śmierć" i „Huragan”. Organizacje te prowadzą samobójcze walki, będące powieleniem akcji z 1905 r. W lesie 1918 r. większość anarchistów występuje z totalnym atakiem na dwa fronty: na bolszewizm i „białą alternatywę”.

Bojowe oddziały, podobnie jak w 1905 r., powstają na Ukrainie i w południowej Rosji. W Simferopolu formują się oddziały partyzanckie Morza Czarnego, a w Ekaterinosławiu oddalały partyzanckie im. M.A. Bakunina. Partyzanci proklamują "nową erę dynamitu". W Moskwie Lew Czerny, Kazimierz Kowalewicz i Petr Sobolew twarzą grupę Podziemnych Anarchistów. Wydają w 1919 r. dwa numery pisma „Anarchiia”. W "Anarchii" ogłoszono bolszewizm największą tyraniją w historii ludzkości.

Podziemi anarchiści, wraz z lewymi eserowcami, podłożyli bombę w Komitecie Komartii na ulicy Leontiewa w Moskwie. Eksplozja zabiła dwanaście osób i raniła kilkadziesiąt, a wśród nich Bucharina oraz naczelnych redaktorów "Prawdy" i "Izwestii". Po wybuchu nastąpiły pierwsze masowe aresztowania anarchistów.

Podczas zmagania się terroru Czeaki z terrorem anarchokomunistów, odbyła na nowo dyskusja między syndykalistami i terrorystami. W sierpniu 1918 r. I Wszecchrosyjska Konferencja Anarchistów-Syndykalistów w Moskwie zaatakowała metody terrorystów. Określono je jako nieskuteczne i demoralizujące masy. Jednocześnie jednak uderzono w model bolszewicki, proponując zastąpienie Rady Komisarzy Ludowych federacją wolnych redaktorów "Prawdy" i "Izwestii". Po wybuchu nastąpiły pierwsze masowe aresztowania anarchistów. Podczas zmagania się terroru Czeaki z terrorem anarchokomunistów, odbyła na nowo dyskusja między syndykalistami i terrorystami. W sierpniu 1918 r. I Wszecchrosyjska Konferencja Anarchistów-Syndykalistów w Moskwie zaatakowała metody terrorystów. Określono je jako nieskuteczne i demoralizujące masy. Jednocześnie jednak uderzono w model bolszewicki, proponując zastąpienie Rady Komisarzy Ludowych federacją wolnych redaktorów "Prawdy" i "Izwestii". Po wybuchu nastąpiły pierwsze masowe aresztowania anarchistów.



Armia Czerwona atakująca Kronsztad

klasa zarządców zrodzona z dawnej inteligencji. Ambitne klasy średnie /głównie inteligencja/ zastąpiły dawnych właścicieli i zbudowały inną strukturę klasową. Burżuazję zastąpili biurokraci, pracownicy aparatu partyjnego i techniczni specjaliści.

W państwowym kapitalizmie nastąpiła niespotykana w historii świata koncentracja władzy politycznej i ekonomicznej. Atrytkowały Grigorija Maksimowa spowodowały, że bolszewicy zamknęli "Wolny Głos Trada".

Druga Wszecchrosyjska Konferencja Anarchistów-Syndykalistów odbyła się w Moskwie w listopadzie 1918 r. Państwo rosyjskie określiło mianem "Bolszewickiego Lewiatana". Konferencja zażądała syndykalizacji przemysłowej produkcji, która miała polegać na wywłaszczaniu państwa na rzecz społeczeństwa.

Mimo skrajnej nienawiści do bolszewików,

część anarchistów stała się tzw. "sowieckimi anarchistami" i przeszła do bezpośredniej współpracy z rządem przeciwko Białym.

W skład personelu Armii Czerwonej lub administracji wchodził Bill Szatow, Anatolii Żeleźniakow / zginął w lipcu 1919 r./, Aleksander Ge /zginął jako oficer Czeaka/. Aleksander Szapiro, German Sandomirski, Aleksej Borowoi, Mikołaj Rogdaew, Waclaw Machajski, Apollon Karelin, Juda Roszczin i wielu innych. Lenin popierał probolszewickie inicjatywy wśród anarchistów. W 1920 r. powalała prorządowa grupa Uniwersalistów. Ideologami jej zostali bracia Gordin i German Askarow. Grupy probolszewickie starały się teoretycznie uzasadnić konieczność współpracy ze scentralizowanym państwem. Było to bardzo trudnym zadaniem. Apollon Karelin twierdził, że bolszewickie państwo broni przed białą reakcją i jest przejściową fazą na drodze ku anarchii. Teorie "przejściowej fazy" rozwijali także Waclaw Machajski i Juda Roszczin.

Na współpracę z bolszewikami zgodzili się tylko małe grupy liderów ruchu. W roku 1918 w obawie przed represjami większość udała się do kolebki anarchizmu - na Ukrainę. W Charkowie powstaje Konfederacja Anarchistycznych Organizacji „Nabat”. Konfederacja działa w Odessie, Ekaterinosławiu i Kijowie. Nabat łączy w sobie wszystkie odcienie anarchizmu. Głównym teoretykiem „zjednoczeniowego anarchizmu” staje się Volin. Obok Volina w Konfederacji działał: Aron Baron, Petr Arszinow, Senya Fleszin, Mark Mracznyi /Klawanskii/, Grigori Gorelik i Olga Taratuta. Konfederacja Nabat, w przeciwieństwie do Wszecchrosyjskiej Federacji Anarchistów Apollona Karelina, nie jest użyteczna dla bolszewików. Nabat występuje przeciwko teoriom "przejściowych form" na drodze ku anarchii. Rewolucja rosyjska, zdaniem Volina, jest pierwszą falą rewolucji socjalnej, która zmieni kapitalizm w federację komun. Białe armie interwencyjne są głównym wrogiem anarchii. Z państwowym kapitalizmem bolszewików postanowiono poradzić sobie po pobiciu Białych. Konfederacja zalecała tworzenie oddziałów partyzanckich poza Armią Czerwoną.

Pierwszy zjazd Nabat miał miejsce w Elizawetgradzie w kwietniu 1919 r. Na zjeździe oskarżono bolszewików o zdradę rewolucji i zbudowanie muru chińskiego między partią a masami. Skrytykowano "sowiecki anarchizm" i Panarchizm braci Gordin. Nabat nakazała bojkot Armii Czerwonej jako autorytarnej i militarystycznej organizacji. Jednocześnie Konfederacja ogłosiła Tymczasowy sojusz z bolszewikami przeciwko armiom interwencyjnym. Nabat postawiła na armie partyzanckie. Wcieleniem w życie tego ideału była organizacja Nestora Machno w Guliai - Pole. Nestor Machno urodził się w 1894 r. jako syn biednego chłopca z regionu Guliai-Pole, liczącego sobie około 30 tysięcy mieszkańców. W 1905 organizuje pierwszą w Guliai-Pole Grupę Anarchio-Komunistów. W czasie kontrewolucji skazano go na śmierć, ale przesiedział wiele lat w moskiewskim więzieniu

Butyrki. W 1910 do Butyrek trafił Piotr Arszniow. W celi Arszniow uczył Nestora Machno doktryny anarchizmu. Wypuszczono ich z więzienia na mocy amnestii Rządu Tymczasowego w marcu 1917 r. Machno powrócił do rodzinnej wsi i został głową miejscowego sowietu. Rozpoczął ekspropriacje gruntów na rzecz najbiedniejszych chłopów. Kiedy po układzie w Brześciu Litewskim na Ukrainę wkroczyły wojska niemieckie, Machno zorganizował partyzantkę. W czerwcu 1918 r. udał się do Moskwy, gdzie spotyka się z Kropotkinem, Swierdłowym i Leninem. Do Guliai-Pole wrócił w lipcu 1918 r. Machno dowodził całą partyzantką antyniemiecką między Dnieprem a Morzem Azowskim. We wrześniu 1918 r. rozbił Austriaków w bitwie o wieś Dibriwki. Niszcząc oddziały Petlury w wielkiej operacji w okolicach Ekate-rinosławia.

Guliai-Pole było w pierwszej połowie 1919 r

całkowicie wolne od władzy zewnętrznej. Na terenie wsi powstały autonomiczne komuny, całkowicie wolne od wpływu zewnętrznego. Doskonale zorganizowane komuny rolne dostarczają dużo żywności, którą wywożono do wielkich miast. Najbardziej znana była komuna, imienia Róży Luksemburg. Machno ściągnął do Gulisi-Pole intelektualistów. Po rozbiciu Nabat, w lecie 1919 r. ,

bandytów", a nie "anarchistów ideowych". Aresztowano jednak wszystkich nawet tych lojalnych "sowieckich anarchistów", jak braci Gordin, czy Judę Rszczina. Po likwidacji Nabat zamknięto Wolina, Arona i Fanię Baron, Olę Taratutę, Anaetolia Gorelika i wielu innych. Umieszczono ich głównie w Moskwie na Tagance i Butyrkach. Lenin nie zwraca uwagi na protesty takich ludzi

Stowarzyszenia Robotników na Rzecz Anarchistów i Anarcho-syndykalistów więzionych lub zesłanych w Rosji /Berlin i Paryż 1926-1936/ i Fundacja Aleksandra Berkmana /działająca do dziś/.

Jednak nic nie zdołało zapobiec masowej śmierci na zesłaniu. Jeszcze w latach dwudziestych części anarchistów udaje się emigrować.

Podczas Nepu działają w Rosji jedyna księgarnia "Głos Truda" i Muzeum Kropotkina. "Goła Truda", zamknięto w 1929 r. po aresztowaniu całej redakcji. Muzeum Kropotkina zamknął Stalin dopiero w 1938 r.

Na emigracji następuje rozpad ruchu. We wczesnych latach dwudziestych Arszinow i Volin wydają w Berlinie "Anarchiczeskii Wiertnik". Anatoli Gorelik i część Konfederacji Nabat emigrują do Buenos Aires, gdzie wydają "Głos Truda". Anatoli Gorelik umiera w 1956 r.

Piotr Arszinow założył Grupę Rosyjskich Anarcho-komunistów za Granicą. Grupa wydaje „Delo Trnda”. Z gazetą współpracuje Nestor Machno. Arszinow i Machno wywołali ostatnią wielką dyskusję w historii rosyjskiego anarchizmu. Dyskusję wywołała wydana przez nich w 1926 r. "Organizacyjna Platforma Wszechświatowego Związku Anarchistów. Platforma zakłada istnienie silnej władzy centralnej w związku. Autorów Platformy oskarżono o branie wzoru z bolszewickiej partii awangardy proletariatu. Autorzy Platformy, zdaniem Volin, pragną zbudować "partię anarchistyczną" z misją opanowania mas. Tym samym łamię anarchistyczne zasady o asystowaniu, a nie przewożeniu masom podczas rewolucji. Wynikiem takiej strategii musi być zerwanie z masami, a tym samym stworzenie nowego Czeka i represji. Nie sposób odmówić Volinowi demokratycznej wyobraźni.

Z czasem, wraz ze śmiercią kolejnych teoretyków, dyskusje stają się coraz bardziej ubogie i pozbawione związku z rzeczywistością. Batko Nestor Machno popełnia samobójstwo w 1934 r. W 1940 r. umiera Emma Goldman, w 1945 Volin i w 1946 - Sanie Szapiro. Grigori Maksimow umiera w USA w 1950 r. W ostatnich latach życia zdążył napisać wspomnienia i kilka ciekawych opracowań historii ruchu.

Do roku 1950 umierają wszyscy znani anarchiści oprócz Abbe Gordina. Gordin przeżywał długo w USA, gdzie wydawał anarchistyczne czasopismo żydowskie. W 1940 r. publikuje bardzo ciekawą analizę marksizmu jako quasi ideologii. We wczesnych latach pięćdziesiątych emigruje do Izraela. Umiera tam w 1964 r.

Dobiegłszy końca. Rosyjski anarchizm przestał istnieć. W latach siedemdziesiątych działają tylko małe grupy towarzyskie złożone z dzieci anarchistów rosyjskich. Ludzie ci zajmują się jedynie badaniami historycznymi i obchodzeniem rocznic.

Red: Tekst był pisany na początku lat osiemdziesiątych i nie uwzględnia sytuacji po roku '90 i prób mozolnego odbudowywania niewielkich grup anarchistycznych na terenie całej Rosji które mają miejsce do dnia dzisiejszego.

Marek Wichrowski

Tekst zamieszczony na stronach Czarnego Sztandaru / www.csz.prv.pl /



Nestor Machno

przyjeżdżają Volin, Aron Baron i Piotr Arszinow. Machno wraz s Arszinowem rozpoczął wydawanie gazety „Put k Swobodie” i organizują Komisje Kulturalno Oświatową. Planowano powołanie do życia nowych szkół wzorowanych na Esuela Moderna” Francisco Ferrera. Nowy system edukacji nastawiony miał być na wpajanie spontaniczności i wolności. Armie powstańcza Machno walczyła przeciwko Denikinowi w ramach Armii Czerwonej, lecz pod czarnymi sztandarami. Struktura organizacyjna machnowców i ich skuteczność wywołują zachwyt rekrutów z Armii Czerwonej, a to z kolei rodzi konflikt z czerwonym do-wódcztwem.

Dość szybko, na polecenie Trockiego, powstańców ogłoszono kontrewolucjonistami. 10 kwietnia 1919 r. Zjazd chłopów, robotników, i powstańców z Guliai-Pole zrywa kontakty z bolszewikami. Jednocześnie bolszewicy ogłaszają machnowców kontrewolucjonistami. 4 czerwca 1919 r. oddziały Czeka napadają na Guliai-Pole i skazują Machno wraz z towarzyszami na wygnanie. Przemocą zlikwidowano Komunę im. Róży Luksemburg. Po wycofaniu ałę Czeka wkraczają do Guliai-Pole oddziały Denikina i dokonują reszty dzieła zniszczenia. Wydaje mi się, że opis tych kilku dni mówi nam bardzo wiele o sytuacji anarchizmu w ogóle. Czeka i Denikin niemal wspólnie zniszczyli komunę.

Tymczasem Machno przeniósł się na zachód Ukrainy i tam zorganizował partyzantkę przeciwko Białym, w październiku i listopadzie 1919 r. partyzanci okupowali Ekaterinosław i Aleksandrowsk. Niestety Mschno nie bardzo rozumiał procesy urbanizacji i bronił się teoriami o "zepsuciu miast" itp.

Kolejne perypetie machnowców związane są z ofensywą Wrangla. Machno zawarł układ z bolszewikami. W zamian za pomoc, której Machno i tak by udzielił, bolszewicy zgodzili się wypuścić z więzień część anarchistów. Wrangla pobito, a bolszewicy zerwali układ. 25 listopada 1920 r. podczas sojusznicznej uroczystości bolszewików i machnowców na Krymie, dowódcy anarchistów zostali aresztowani. W dzień późnej oddziały Trockiego wkroczyły do Guliai-Pole i zniszczyły zrekonstruowane komuny. Od tej pory produkcja rolna w Guliai-Pole przestaje istnieć.

Jednocześnie Czeka aresztuje w Charkowie Konfederację Nabat i rozbija prawie wszystkie kluby w Rosji. Neator Machno po śmierci swoich towarzyszy przechodzi przez skutki lodem Dniestr i ucieka do Rumunii. Z Rumunii udaje się na emigrację do Paryża. Lenia niezmiennie odpowiada na apele anarchistów z całego świata, że w Rosji aresztuje się tylko "anarcho-

funeralnej. W demonstracji pogrzebowej bierze udział 20 tys. ludzi. Po raz ostatni nad ziemię rosyjską powiewają czarne sztandary. Procesja przechodzi koło więzienia w Butyrkach. Więźniowie odpowiadają pieśniami anarchistycznymi z roku 1905. Wszyscy rozumieją, że to już koniec ruchu w Rosji.

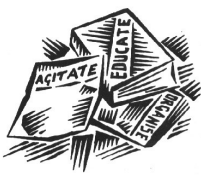
Po powstaniu kronsztadzkiem aresztowano wszystkich anarchistów, którzy kiedykolwiek powiedzieli coś przeciwko bolszewikom. Zamknięto probolszewicki Klub Anarchistów Uniwersalistów. W Tagance na znak protestu Maksimow, Volin, Jarczuk, Barnasz i Mraczny organizują strajk głodowy. Strajk głodowy wybuchł po oświadczeniu Lenina, że "anarchiści w Rosji nie są w ogóle aresztowani".

We wrześniu 1921 r. Czeka rozstrzeliwuje słynnego poetę anarchoindywidualistę Lwa Czernego i Fanię Baron. W odpowiedzi na międzynarodowy protest deportowano do Berlina w styczniu 1922 Maksimowa, Dolina, Mraczny, Jarczuka i kilku innych. Nakazano wyjechać z kraju Emmie Goldman, Aleksandrowi Berkmanowi i Sanie Szapiro. Po roku 1922 anarchistów z Moskwy i Piotrogradu wywieziono do obozów w okolicy Archangielska i na Wyspy Solowieckie.

Anarchiści, którym udało się emigrować zajmują się obroną uwięzionych. Rozpoczyna działalność Komitet Obrony Rewolucjonistów Więzionych w Rosji /Berlin 1923-26/, Fundacje Pomocy Międzynarodowego



Anarchistyczna Biblioteka Zaprasza



Daty dokładnej nie pamiętam, ale mniej więcej na początku tego roku powstała w Łodzi Biblioteka Anarchistyczna "Słowo". Na początek trochę historii. W 1945 roku, w Łodzi z inicjatywy Jana "Pawła" Rogalskiego ocalali działacze przedwojennego ruchu anarchistycznego postanowili kontynuować działalność wydawniczą, zakładając Spółdzielnię Wydawniczą "Słowo". Okres pierwszych lat powojennych to czas wielkiego entuzjazmu i wielu powstających inicjatyw.

Rzeczą oczywistą było, że i anarchiści wyjdą z własnymi pomysłami. "Słowo" nastawione było na publikację klasyków anarchizmu, wydawało między innymi Edwarda Abramowskiego, Piotra Kropotkina. W planach było wydanie książki Rudolfa Rockera. Spółdzielnia napotykała na wiele problemów ze strony ówczesnych władz. Trudności z pozyskaniem papieru, oraz naciski władz ("Albo Pan zamknie to wydawnictwo, albo my Pana zamknijemy" – został poinformowany przez Urząd Bezpieczeństwa Jan Rogalski) doprowadziły do upadku "Słowa" w 1949 roku. Uczestnicy spółdzielni podjęli pracę w wydawnictwach "Czytelnik", oraz "Książka i Wiedza". Wracając do czasów współczesnych. Dzisiejsze "Słowo" posiada w spisie około 600 tytułów, z których większość to publikacje anarchistyczne. Chcemy, aby w Bibliotece można było znaleźć teksty autorów wywodzących się z wszystkich nurtów politycznych. Jako, że istniejemy stosunkowo niedługo, zbiory zasilane jest głównie z na-

szych prywatnych kolekcji. Dlatego prosimy o wsparcie w postaci publikacji, oraz wsparcia finansowego, które zostanie przeznaczony na zakup nowych pozycji. Z Biblioteki korzystać może każdy, za wypożyczenie nie pobieramy żadnych opłat, ani kaucji. W celu wypożyczenia lub podarowania nam materiałów zapraszam do Biblioteki. Najlepiej, jeśli wizyta będzie poprzedzona skontaktowaniem się z mną, ponieważ wtedy mogę przedstawić aktualny spis w wersji elektronicznej. Biblioteka Anarchistyczna "Słowo". Adres: Łódź, ulica Jana Kilińskiego 201/8. Telefon 0605065148 E-mail: ma-ciek@riseup.net. Zapraszamy!

Maciek Bieńkowski

Tekst powstał dzięki pomocy Michała Przyborowskiego, za co mu dziękuję!



Anarchistyczna Symbolika



Wprowadzenie

Anarchizm zawsze świadomie się opowiadał za szeroką, a chwilami niejasną platformą polityczną. Uzasadnienie tego jest zdrowe; podręczniki tworzą sztywne dogmaty i tłumią twórczego ducha buntu. Według tych samych zasad i z wynikającymi z tego takimi samymi problemami anarchiści odrzucali "zdyscyplinowane" przywództwo, jakie można znaleźć w wielu innych ugrupowaniach politycznych na lewicy. Uzasadnienie tego również jest zdrowe; przywództwo

ner Becker, "Kropotkin zawsze wolał czerwoną flagę" (Piotr Kropotkin, Działaj dla siebie samego)). Nie jest to niespodzianką, gdyż anarchizm jest formą socjalizmu i wywodzi się z powszechnego ruchu socjalistycznego i robotniczego. Wspólne korzenie zakładałyby wspólne wyobrażenia. Jednakże ponieważ główny nurt socjalizmu rozwinął się albo w reformistyczną socjaldemokrację, albo też w państwowy socjalizm rewolucyjnych marksistów, anarchiści rozwinęli swoje własne znaki buntu, poczynając od Czarnej Flagi. W tym dodatku przedstawiamy krótką historię najślawniejszych symboli, mianowicie czarnej i czerwono-czarnej flagi, jak również A wpisanego w okrąg. Chcielibyśmy zaznaczyć, że ten dodatek opiera się na rozprawie Jasona Wehlinga z 1995 roku, *Anarchism and the History of the Black Flag*. Nie trzeba przypominać, że dodatek ten nie rozpatruje wszystkich symboli anarchistów. Na przykład ostatnio czerwono-czarna flaga została uzupełniona zielono-czarną flagą eko-anarchizmu. Inne popularne symbole obejmują wprowadzonego przez IWW "Dzikiego Kota", Czarń Różę i ironiczną "małą czarną bombę" (między innymi). Jednakże my się tutaj koncentrujemy na trzech najsłynniejszych symbolach.

1 Jaka jest historia czarnej flagi? Istnieją liczne przykłady używania czarnej flagi przez anarchistów. Prawdopodobnie najsłynniejszym z nich byli partyzanci Nestora Machny podczas rewolucji rosyjskiej. Pod czarnym sztandarem jego armia rozgromiła tuzin innych i utrzymywała spory kawał Ukrainy w wolności od skoncentrowanej władzy przez dobrych parę lat (zobacz Historię ruchu machnowszczyzny Piotra Arszynowa w celu poznania szczegółów dotyczących tego ważnego ruchu). Na czarnej fladze wyhaftowano "Wolność albo Śmierć" i "Ziemia dla Chłopów, Fabryki dla Robotników" (Peter Marshall, *Demanding the Impossible*, p. 475). Kilka lat wcześniej Emiliano Zapata, meksykański rewolucjonista, używał czarnej flagi z trupią czaszką, skrzyżowanymi piszczelami i Dziewicą na niej -- miała ona też jako hasło "Ziemia i Wolność" ("Tierra y Libertad"). W 1925 roku japońscy anarchiści uformowali Ligę Czarnej Młodzieży, a w 1945, kiedy anarchistyczna federacja się odrodziła, jej dziennik został nazwany Kurohata (Czarna Flaga) (Op. Cit., p. 525-6). W nowszych czasach paryscy studenci nosili czarne i czerwone flagi podczas gigantycznego strajku generalnego w 1968 roku, jak również Studenci na Rzecz Społeczeństwa Demokratycznego w Ameryce podczas swojej konwencji w tym samym roku. Mniej więcej w tym samym czasie została zapoczątkowana działalność mającego swoją siedzibę w Anglii magazynu Black Flag, który wciąż pozostaje mocny. Dzisiaj, jeżeli pojedziemy na jakąś znaczącą demonstrację, zazwyczaj dostrzeżemy obecność czarnej flagi niesionej przez anarchistów.

Ale czarna flaga anarchistów zaczęła się dużo wcześniej niż te wydarzenia. Pierwsza relacja jest naprawdę nieznaną. Wydaje się, że ta zasługa przypada Louise Michel, sławnej uczestniczce Komuny Paryskiej 1871 roku. Według anarchistycznego historyka Georgea Woodcocka, Michel wymachiwała czarną flagą 9 marca 1883 roku, podczas demonstracji bezrobotnych w Paryżu. Zgromadzenie bezrobotnych na wolnym powietrzu zostało rozbite przez policję i około 500 demonstrantów, na czele z Michel niosącą czarną flagę i krzyczącą "Chleb i praca, albo obóz!" odmaszerowało w kierunku bulwaru Saint-Germain. Tłum obrabował trzy piekarnie przed atakiem policji. Michel została aresztowana i skazana na sześć lat więzienia. Nacisk opinii publicznej wymusił wkrótce ogłoszenie amnestii (George Woodcock, *Anarchism*, pp. 251-2). Jednakże anarchiści używali już czerwono-czarnych flag sporo lat wcześniej (patrz w następnej sekcji), więc używanie koloru czarnego przez Michel nie było tak całkiem bez precedensu. Niedługo potem czarny symbol wyścielił sobie drogę do Ameryki. Paul Avrich relacjonuje, że 27 listopada 1884 roku czarna flaga została wywieszona w Chicago na anarchistycznej demonstracji. Według Avricha, August Spies, jeden ze słynnych męczenników z Haymarket, "zauważył, iż była to pierwsza okazja przy której (czarna flaga) została rozwinięta na amerykańskiej ziemi" (Paul Avrich, *The Haymarket Tragedy*, pp. 144-145).

Przywołując bardziej mroczne wspomnienia, 13 lutego 1921 roku to data, która wyznaczyła koniec czarnych flag w sowieckiej Rosji. Tego dnia miał miejsce pogrzeb Piotra Kropotkina w Moskwie. Rzesze ludzi, które przemierzyły wiele kilometrów, niosły czarne sztandary, na których można było przeczytać "Gdzie jest władza, tam nie ma wolności" (Paul Avrich, *The Anarchists in the Russian Revolution*, p. 26). Wydaje się, że czarne flagi nie pojawiały się w Rosji zanim nie został założony ruch Czornoje Żania ("czarny sztandar") w 1905 roku. Dopiero w dwa tygodnie po pogrzebie Kropotkina wybuchło powstanie kronsztadzkie i anarchizm został wymazany z sowieckiej Rosji na dobre.

Choć powyższe wydarzenia są całkiem niezłe znane, i wiązały się z sobą, to dokładny początek czarnej flagi nie jest znany. Co jest pewne, to fakt, że duża liczba anarchistycznych grup we wczesnych latach osiemdziesiątych XIX wieku przyjmowała tytuły kojarzone z czernią. W lipcu 1881 roku w Londynie została założona Czarna Międzynarodówka. Była to próba ponownego zorganizowania anarchistycznego skrzydła niedawno rozwiązanej Pierwszej Międzynarodówki (George Woodcock, Op. Cit., p. 212-4). W październiku 1881 wiec w Chicago doprowadził do uformowania w Ameryce Północnej Międzynarodowego Stowarzyszenia Ludzi Pracy. Or-



oparte na władzy jest nieodrodnie hierarchiczne. Wydaje się z tego logicznie wynikać, że skoro anarchistów płoszy wszystko, co statyczne, to zostaną oni również spłoszeni nadmierną rolą symboli i znaków. Chociaż może to być wyjaśnieniem, dlaczego początki anarchistycznych symboli są nieuchwytnie i nierozstrzygnięte, to faktem jest, że anarchiści wykorzystywali symbolikę w swoim buncie przeciwko państwu i kapitalowi - nie tylko czarną flagę, ale też A wpisaną w okrąg i czerwono-czarną flagę. Litera A w kółkach są malowane sprejem na ścianach i pod mostami na całym świecie; punki naszywają je na swoich kurtkach i wytlaczają w zastygającym cementcie. Czarne i czerwono-czarne flagi zostały wkrzeszone w Rosji i Europie Wschodniej po upadku państwowego socjalizmu i ciągle powiewają w większej części świata.

Dlatego ruchowi anarchistycznemu towarzyszą rozmaite symbole. Najsłynniejsze z nich to A wpisane w okrąg, czarna flaga i czerwono-czarna flaga. Niniejszy dodatek jest próbą ukazania historii tych symboli. Jak na ironię, jednym z pierwotnych anarchistycznych symboli była czerwona flaga (rzeczywiście, jak zauważają anarchistyczni historycy Nicolas Walter i Hei-

ganizacja ta, znana też jako Czarna Międzynarodówka, weszła w skład londyńskiej organizacji (Clifford Harper, *Anarchy: A Graphic Guide*, p. 76, Woodcock, Op. Cit., p. 393). Po tych dwu konferencjach natychmiast nastąpiła demonstracja Michel (1883) i wywieszenie czarnych flag w Chicago (1884).

Nazwa krótko istniejącego francuskiego pisma anarchistycznego: "Le Drapeau Noir" ("Czarny Sztandar") jeszcze silniej utwierdza nas w przekonaniu o tym okresie (okolice wczesnych lat osiemdziesiątych XIX wieku) jako o czasach narodzin symbolu. Zdaniem Rodericka Kedwarda ta anarchistyczna gazeta istniała przez kilka lat następujących jakiś czas przed październikiem 1882 roku, kiedy to do kawiarni w Lyonie została wrzucona bomba (The Anarchists: the men who shocked an era p. 35). Popierając tę teorię, Avrich stwierdza, że w 1884 roku czarna flaga "była nowym anarchistycznym emblematem" (Paul Avrich, *The Haymarket Tragedy*, p. 144). W zgodzie z nimi pozostaje relacja Murraya Bookchina, że "w późniejszych latach anarchiści mieli przyjąć czarną flagę", opowiadającego o hiszpańskim ruchu anarchistycznym w czerwcu 1870 roku (Murray Bookchin, *The Spanish Anarchists*, p. 57). W tym czasie anarchiści powszechnie używali czerwonej flagi. Wydaje się oczywiste (choć nie zdecydowanie rozstrzygnięte), że to właśnie w tym okresie czarna flaga została związana z anarchizmem. Jednak używanie czerwonej flagi natychmiast nie zanikło. Toteż widzimy, jak Kropotkin napisał w Wyznaniach zbuntowanego (opublikowanych w 1885 roku, ale napisanych między 1880 a 1882) o "anarchistycznych grupach [...] niosących czerwony sztandar rewolucji".



Jak zauważa Woodcock, "czarna flaga nie została powszechnie przyjęta przez anarchistów w tym czasie. Wielu, tak jak Kropotkin, wciąż uważało siebie za socjalistów, a czerwoną flagę za swoją również". Do tego jeszcze odkrywamy, że anarchiści z Chicago używali zarówno czarnych, jak i czerwonych flag przez całe lata osiemdziesiąte XIX wieku. Podobne stanowisko znajdujemy u Louise Michel:

"Ilu gniewnych ludzi, młodych ludzi będzie z nami, gdy czerwone i czarne sztandary będą powiewały na wietrze gniewu! Jak potężna będzie to fala, gdy czerwone i czarne sztandary powstaną dokoła starego wraku (kapitałistycznego społeczeństwa)!"

"Czerwony sztandar, który zawsze opowiadał się za wolnością, przeraża katów, bo jest tak czerwony od naszej krwi. Czarna flaga, mająca na sobie warstwy zakrzepłej krwi tych, którzy chcieli żyć pracując albo umrzeć walcząc, przeraża tych, którzy chcą żyć z pracy innych. Owe czerwone i czarne sztandary powiewają nad nami oplakując naszą śmierć, powiewają nad naszymi nadziejami na brzask, który zaczyna wstawać" (The Red Virgin: Memoirs of Louise Michel, pp. 193-4).

Francuscy anarchiści nieśli trzy czerwone flagi na pogrzebie matki Louise Michel w 1885 r., jak również na pogrzebie jej samej w r. 1905 (Op. Cit., p. 183 and p. 201). Zatem przez znaczny okres czasu anarchiści używali zarówno czarnych, jak i czerwonych flag jako swojego symbolu.

Powszechne przejście od czerwonej flagi do czarnej należy umiejscowić w historycznym kontekście. Pod koniec lat siedemdziesiątych XIX wieku i w latach osiemdziesiątych ruch socjalistyczny się zmieniał. Marksist-

towska socjaldemokracja stawała się dominującym nurtem socjalistycznym, a wolnościowy socjalizm na wielu obszarach zmierzał do zaniku. Więc czerwona flaga była coraz bardziej kojarzona z autorytarnym i etatystycznym (i coraz bardziej reformistycznym) odłamem ruchu socjalistycznego. W celu wyróżnienia się spośród innych socjalistów użycie czarnej flagi miało doskonały sens. Nie tylko był to przyjęty symbol buntu klasy robotniczej, ale nawet w taki sam sposób został zapoczątkowany podczas buntu w Lyonie w 1831 r. (Bookchin, *The Third Revolution*, vol. 2, p. 65). Po rewolucji rosyjskiej i stoczeniu się jej do dyktatury (najpierw Lenina, potem Stalina) używanie czerwonej flagi przez anarchistów zanikło, gdyż już nie "opowiadała się ona za wolnością" i była kojarzona z partiami komunistycznymi czy też, w najlepszym razie, z biurokratyczną, reformistyczną i autorytarną socjaldemokracją. Anarchiści nadal używają czerwieni na swoich flagach, ale tylko w połączeniu z czernią (patrz w następnej sekcji). Dzięki temu nie kojarzyły się one z tyranią Związku Radzieckiego.

Wyliczenie, kiedy nastąpiło skojarzenie z anarchizmem, wydaje się łatwiejsze niż odkrycie, dlaczego właściwie wybrano czerń. Chicagowski "Alarm", rozbrajający swoją szczerością, stwierdził, że czarna flaga to "straszliwy symbol głodu, nędzy i śmierci" (Paul Avrich, *The Haymarket Tragedy*, p. 144). Bookchin zapewnia, że czarna flaga jest "symbolem nędzy robotników i wyrażeniem ich gniewu i rozgoryczenia" (Op. Cit., p. 57). Historyk Bruce C. Nelson zauważa też, że Czarna Flagą była uważana za "emblemat głodu", gdy została rozwinięta w Chicago w 1884 roku (Beyond the Martyrs: A Social History of Chicago's Anarchists, p. 141, p. 150). Louise Michel przekonywała, że "czarna flaga jest flagą strajków i flagą tych, którzy są głodni" (Op. Cit., p. 168).

W zgodzie z tymi powiązaniem Albert Meltzer utrzymuje, że kojarzenie czarnej flagi z buntiem klasy robotniczej "zostało zapoczątkowane w Rheims (Francja) w 1831 roku (Praca albo Śmierć) podczas demonstracji bezrobotnych" (Albert Meltzer, *The Anarcho-Quiz Book*, p. 49). Autor ten faktycznie posuwa się jeszcze dalej, zapewniając, że działania Michel z 1883 roku były tym, co utrwaliło to skojarzenie. Powiązania buntów we Francji z anarchizmem są nawet jeszcze silniejsze. Jak zapisał Murray Bookchin, "w 1831 roku tkacze jedwabiu [...] powstali tocząc zbrojny konflikt, aby zdobyć lepsze stawki, luz kontrakty, od kupców. Przez krótki okres naprawę przejęli kontrolę nad miastem, pod czerwonymi i czarnymi flagami -- co uczyniło ich powstanie pamiętnym wydarzeniem w dziejach rewolucyjnej symboliki. Używanie przez nich słowa mutuelisme na oznaczenie stosunków kojarzących się ze społeczeństwem, jakiego chcieli, uczyniło ich powstanie pamiętnym wydarzeniem również i w dziejach myśli anarchistycznej, ponieważ okazuje się, że Proudhon wziął sobie to słowo od nich podczas swojego krótkiego pobytu w tym mieście w latach 1843-4" (The Third Revolution, vol. 2, p. 157).

Kropotkin sam stwierdza, że stosowanie tego symbolu było kontynuowane we francuskim ruchu robotniczym po lyońskim powstaniu. Odnawiając, że paryscy robotnicy "w czasie dni czerwcowych (1848) podnieśli swoją czarną flagę Chleba albo Pracy" (Działaj dla siebie samego).

Dlatego używanie czarnej flagi przez anarchistów wyraża ich korzenie i działalność w ruchu robotniczym w Europie, zwłaszcza we Francji. Przyjęcie Czarnej Flagi przez ruch anarchistyczny w latach osiemdziesiątych XIX wieku odzwierciedla jej wykorzystanie jako "tradycyjnego symbolu głodu, ubóstwa i rozpacz" i to, że była ona "podnoszona podczas ludowych powstań w Europa na znak, że się nie ustąpi i nikogo nie będzie oszczędzać" (Walter and Becker, *Act for Yourselves*, p. 128).

Nie jest to niespodzianką, jeżeli się zna istotę postępowania anarchistów. Opierają oni swoje idee na rzeczywistym życiu klas pracujących, i tak samo ich symbole będą się opierały na symbolach stworzonych przez życie. Na przykład Proudhon zarówno wziął określenie "mutualizm" od radykalnych robotników, jak też przekonywał, że spółdzielcze "stowarzyszenia pracy" były "formowane spontanicznie w Paryżu i Lyonie, bez nalegania i bez kapitału [...] dowód jego słuszności (mutualizmu, sposobu organizacji kredytów i pracy) [...] znajduje się w rzeczywistej praktyce, rewolucyjnej praktyce". Mówiąc inaczej, Proudhon uważał swoje idee za obraz samodzielnej działalności klas pracujących (Bez boga i pana). Rzeczywiście, według K. Stevensa Vincenta, miało miejsce "ściśle podobieństwo

wo między ideałem stowarzyszeń Proudhona [...] a programem lyońskich mutualistów" i istniała "znacząca zbieżność (tych idei), i jest prawdopodobne, że Proudhon był w stanie spójnie wyrazić swój pozytywny program dzięki przykładowi tkaczy jedwabiu z Lyonu. Socjalistyczny ideał, którego był ordewnikiem, do pewnego stopnia już był realizowany przez tych robot-



ników" (Pierre-Joseph Proudhon and the Rise of French Republican Socialism, p. 164). Inni anarchiści wysuwali podobne argumenty dotyczące anarchizmu jako będącego wyrazem tendencji w społeczeństwie i walce klas pracujących (w sprawie Kropotkina zobacz sekcję J.5) i dlatego używanie tradycyjnego symbolu robotniczego stanie się naturalnym wyrazem anarchizmu.

Może to właśnie komentarz Louise Michel, że Czarna Flagą była "flagą strajków" na podobnej zasadzie mógłby wyjaśnić źródło nazwy Czarnej Międzynarodówki założonej w 1881 r. (a więc i rozpowszechnianie się używania Czarnej Flagi w anarchistycznych kręgach we wczesnych latach osiemdziesiątych XIX wieku). Mniej więcej w czasie zjazdu założycielskiego Czarnej Międzynarodówki Kropotkin sformułował ideę, że ta organizacja będzie "Międzynarodówką Strajkujących"

(Internationale Greviste) -- byłaby ona "organizacją oporu, strajków" (Kropotkin, cytowany przez Martina A. Millera, Kropotkin, p. 147). W grudniu 1881 roku Kropotkin dyskutował nad wskreszeniem Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników (tj. Pierwszej Międzynarodówki) jako Międzynarodówki Strajkujących, ponieważ aby "móc robić rewolucję, masy pracujące będą musiały zorganizować się. Opór i strajki to wymieniony sposób organizowania się w tym celu". Podkreślał, że "strajk rozwija poczucie solidarności" i że Pierwsza Międzynarodówka "została zrodzona ze strajków; była to w zasadzie organizacja strajkujących" (cytat z Caroline Cahm, Kropotkin and the Rise of Revolutionary Anarchism, 1872-1886, p. 255 and p. 256). "Międzynarodówka Strajkujących" potrzebowała flagi strajkujących, a więc może to stąd Czarna Międzynarodówka wzięła swoją nazwę.

Chociaż pomysł "Międzynarodówki Strajkujących" był, podobnie jak sama Czarna Międzynarodówka, nieco poroniony, anarchiści rzeczywiście podsyłali i popierali strajki w tym okresie. Wydaje się możliwe, choć nie zostało to całkowicie udowodnione, że Czarna Międzynarodówka i posługiwanie się Czarną Flagą miało miejsce po części za sprawą idei i artykułów Kropotkina. To oczywiście pasuje doskonale do tezy o używaniu Czarnej Flagi jako symbolu robotniczego oporu przez anarchizm, polityczny przejaw tego oporu. Ale są też i inne możliwości. Czerń jest bardzo silnym kolorem, czy też antykolorem, jakim jest w istocie. Lata osiemdziesiąte XIX wieku były czasem ekstremistycznej działalności anarchistów. Czarna Międzynarodówka, jako platforma anarchistów, doczekała się wprowadzenia "propagandy czynem". W ujęciu historycznym kolor czarny kojarzył się z krwią -- a w szczególności z zaschniętą krwią -- podobnie jak czerwona flaga (jak to wyłożyła Louise Michel, w 1871 roku "Lyon, Marsylia, Narbonne, wszystkie one miały swoje własne Komunysy, i podobnie jak nasza (w Paryżu), ich Komunysy zostały również utopione we krwi rewolucjonistów. I to właśnie dlatego nasze flagi są czerwone. Dlatego nasze czerwone sztandary są tak strasznie przerażające dla tych

osób, które spowodowały, że zostały zaplamione tym kolorem?" (Louise Michel, *Op. Cit.*, p. 65)). Więc chociaż czarny jest związany z buntom klasy robotniczej, był także symbolem nihilizmu tego okresu (nihilizmu zrodzonego przez masową rzeź komunistów z rąk francuskiej klasy rządzącej po upadku Komuny



Paryskiej 1871 roku).

Tę rzeź komunistów można także wskazywać jako przyczynę użycia Czarnej Flagi przez anarchistów. Czarny "jest kolorem żałoby (przynajmniej w kulturach zachodnich), symbolizuje oplakiwanie przez nas poległych towarzyszy, tych, którym życie zabrała wojna - na polu bitwy (między państwami), czy też na ulicach i w pierwszych rzędach pikiet (między klasami)" (Chico, "listy", *Freedom*, vol. 48, No. 12, p. 10). Zważywszy na 25 tysięcy poległych podczas Komuny Paryskiej, z których wielu było anarchistami i wolnościowymi socjalistami, użycie Czarnej Flagi przez anarchistów po tych wypadkach miałooby sens. Sandino, nikaraguański wolnościowy socjalista (stosowanie przez którego czerwono-czarnych barw omawiamy w następnej sekcji) też mówił, że czarny głosi żałobę ("Czerwony za wolność; czarny za żałobę; a trupia czaszka za walkę aż do śmierci" (Donald C. Hodges, *Sandinos Communism*, p. 24)).

Za wykorzystaniem czarnego koloru może stać filozoficzne uzasadnienie. Innym powodem, dla którego anarchiści sięgnęli po czarną flagę mógłby być jego charakter jako znaku "negacji". Wielu spośród piszących o Czarnej Fladze wymieniali ten aspekt, na przykład Howard J. Ehrlich przekonuje, że czarny "jest odzieniem negacji. Czarna flaga jest zaprzeczeniem wszystkich flag" (*Reinventing Anarchy, Again*, p. 31). Jako symbol negacji czarna flaga pasuje doskonale do niektórych idei Bakunina -- szczególnie do jego koncepcji postępu. Znajdując się pod wpływem Hegla, Bakunin zaakceptował jego metodę dialektyczną, ale zawsze podkreślał, że podejście negatywne jest siłą napędową postępu (szczegóły zobacz we wprowadzeniu Roberta M. Cultera do wypisów *The Basic Bakunin*). Zatem Bakunin definiuje postęp jako negację wyjściowego położenia (na przykład w książce *Bóg i państwo* przekonuje on, że "każdy rozwój /.../ zakłada negację swojego punktu wyjścia"). Jakim lepszym znakiem oznaczać ruch anarchizacyjny niż znakiem, który jest negacją wszystkich innych flag, ową negacją oznaczającą ruch ku wyższemu formom życia społecznego? Więc czarna flaga mogłaby symbolizować negację istniejącego społeczeństwa, wszystkich istniejących państw, a więc torować drogę nowemu społeczeństwu, wolnemu. Jednakże w tym momencie nie możemy powiedzieć, czy to był znaczący czynnik przy przyjmowaniu czarnej flagi, czy tylko zbieg okoliczności.

Istnieją też interesujące powiązania między czarną flagą a piratami. Mamy niepotwierdzone relacje, że Louise Michel, dowódca kobiecym batalionem podczas Komuny Paryskiej 1871 roku, mogła wymachiwać flagą

z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Ale skojarzenia mogą pójść jeszcze dalej.

Piraci byli postrzegani jako buntownicy, jako wolne duchy, i często bezlitości zabójcy. Chociaż różni piraci bardzo różnili się od siebie, to wielu z nich miało wybranego przez siebie Kapitana na statku pirackim. W niektórych przypadkach kapitan nie był nawet mężczyzną, co było bardzo niezwykle jak na owe czasy. Kapitan "podlegał natychmiastowemu odwołaniu", a życie na pokładzie było wyraźnie bardziej demokratyczne niż na pokładach statków brytyjskiej, amerykańskiej czy francuskiej marynarki wojennej -- nie wspominając już o marynarce handlowej.

Dla piratów czarna flaga była symbolem śmierci, a dodatkiem do niej trupia czaszka i skrzyżowane piszczele na czarnym tle. Znak równoważny z "poddajcie się albo zginiecie!" Zamiarem było zastraszyć swoje ofiary, by się poddały bez walki. Znak ten działał pod wieloma względami w taki sam sposób w wojskach

Dżyngis-chana. Wielu innych też przyjmowało czarną flagę jako znak mówiący "poddajcie się albo zginiecie". Podczas amerykańskiej wojny secesyjnej oficer Południa nazwiskiem Quantrill walczył pod czarną flagą. Był znany jako nieskory do wykazywania się miłosierdziem w stosunku do swoich wrogów i nie oczekiwał żadnego miłosierdzia w zamian. Również general Santa Anna z Meksyku notorycznie wymachiwał czarną flagą, nawet pod Alamo. Pod czarnymi sztandarami miał też swoich trębaczy, grających hejnał zwany "Deguello", który był sygnałem oznaczającym "nikt nie zostanie oszczędzony" (nie weźmiemy jeńców). To zastosowanie czarnej flagi zostało powtórzone przez amerykańskich anarchistów z Czarnej Międzynarodówki. Chociaż ten sztandar "był interpretowany w kręgach anarchistycznych jako symbol śmierci, głodu i nędzy", to "mówiło się też, że jest to godło zemsty", a podczas pochodu ludzi pracy w Cincinnati w styczniu 1885 r. "był on dalej uznawany za sztandar nieustępliwości klasy robotniczej, co zostało dobitnie ukazane w wyszytych na nim słowach Nie będziemy ich oszczędzać" (Donald C. Hodges, *Sandinos Communism*, p. 21 -- patrz też Avrich, *Op. Cit.*, p. 82) Chociaż Dżyngis-chan, Quantrill i general Santa Anna nie są w najmniejszym nawet stopniu związani z anarchizmem -- to z drugiej strony sprawa piratów jest bardziej skomplikowana. Byli oni postrzegani jako buntownicy. Buntownicy bez własnego państwa, nie zobowiązani do posłuszeństwa żadnemu kodeksowi prawa za wyjątkiem jakichś naprędce ustalonych pomiędzy sobą zasad. Oczywiście piraci nie byli świadomymi anarchistami, a często postępowali nie lepiej od barbarzyńców. Ale ważne jest to, jak ich widziano. Ich symbol był ucieleśnieniem buntu oraz ducha odrzucenia prawa i buntowniczości. Byli oni nienawidzeni przez klasę rządzącą.

Mogło to być wystarczające dla głodujących i bezrośniętych, ażeby wybrać czarną flagę podczas buntu. Faktycznie można było szybko chwycić kawałek czerwonej czy czarnej tkaniny w czasie zamieszek. Pochylenie płótna było łatwe. Namalowanie na nim skomplikowanego symbolu zajmowało dużo czasu. Zatem naprędce uszyta flaga buntowników wnoszona podczas zamieszek najpewniej miała być tylko w jednym kolorze. Stąd jasno dochodzimy do czarnej flagi bez trupiej czaszki i piszczeli, ponieważ była to z konieczności prozownikowa na czas zamieszek.

W sprawie czarnej flagi Howard Ehrlich napisał spory ustęp w swojej książce *Reinventing Anarchy, Again*. Warto zacytować go w całości:

"Dlaczego nasza flaga jest czarna? Czerni jest barwą negacji. Czarna flaga jest zaprzeczeniem wszystkich flag. Jest ona zaprzeczeniem przynależności państwowej, która popycha ludzką rasę przeciwko samej sobie i przeczy jedności całego rodzaju ludzkiego. Czerni to nastroj gniewu i wściekłości na wszystkie ohydne zbrodnie popełnione w imię przynależności do tego czy innego państwa. Jest to gniew i wściekłość na znieważanie inteligencji ludzkiej przez wykryty, obłudny i tanię mędrkowanie rządów /.../ Czarny jest także kolorem żałoby; czarna flaga, która wymazuje naród, oplakuje też jego ofiary - niezliczone miliony ludzi pomordowanych podczas wojen, zewnętrznych i domowych dla większej chwały i stabilności jakiegoś krwawego państwa. Oplakuje tych, których praca zostaje skradziona (opodatkowana), aby płacić za rzezie i ucisk innych istot ludzkich. Oplakuje ona nie tylko śmierć cielesną, ale i okaleczenie ducha pod rządami autorytarnych i hierarchicznych systemów; oplakuje miliony zablokowanych komórek mózgowych, którym

nigdy nie będzie dane oświecić świata. Jest to barwa nieutulonego smutku.

"Ale czarny jest też piękny. Jest to kolor determinacji, stanowczości, siły, kolor, przy pomocy którego definiuje się i oczyszcza wszystkie inne kolory. Czerni jest tajemniczym środowiskiem kielkowania, płodności, żyzną głębą nowego życia, które zawsze się rozwija, odnawia, odświeża i rozmnaża w ciemności. Nasiona ukryte w ziemi, dziwna podróż plewnika, tajemniczy rozwój zarodka w łonie matki - wszystko to jest otoczone i chronione czernią.

"A więc czarny jest negacją, jest gniewem, jest wściekłością, jest żałobą, jest pięknem, jest nadzieją, jest karmieniem i chronieniem nowych form ludzkiego życia i stosunków na tej ziemi i z tą ziemią. Czarna flaga oznacza wszystkie te rzeczy razem. Jesteśmy dumni, że ją nosimy, przykro nam, że ją nosić musimy i oczekujemy dnia, kiedy taki symbol już nie będzie dłużej potrzebny" (*Reinventing Anarchy, Again*, pp. 31-2).

2 Dlaczego czerwono-czarna flaga?

Czerwono-czarna flaga towarzyszyła anarchizmowi od pewnego czasu. Murray Bookchin umiejscawia stworzenie tej flagi w Hiszpanii:

"Obecność czarnych flag razem z czerwonymi stała się cechą anarchistycznych demonstracji w całej Europie i obu



Amerykach. Wraz z ustanowieniem CNT (w 1910 r.), pojedyncza flaga, na której czerni i czerwieni zostały oddzielone ukośnie, została przyjęta i używana głównie w Hiszpanii" (*The Spanish Anarchists*, p. 57). Jednakże istnieje mnóstwo dowodów, sugerujących, że czerwono-czarna flaga rozpowszechniła się i w innych krajach, zwłaszcza mających silne więzi z Hiszpanią (takich jak inne kraje romańskie). Na przykład podczas "czerwonego dwulecia" we Włoszech, którego kulminacją była okupacja fabryk w 1920 roku (patrz sekcja A.5.5) czerwono-czarna flagi były wnoszone przez zbuntowanych robotników (Gwyn A. Williams, *Proletarian Order*, p. 241). Podobnie Augusto Sandino, radykalny nikaraguański bojownik narodowowyzwoleńczy czerpał takie natchnienie z przykładu meksykańskich anarcho-syndykalistów działających podczas rewolucji meksykańskiej (1910 - 1917 r.), że oparł flagę swojego ruchu na ich czerwono-czarnej fladze (flaga sandinistów jest podzielona poziomo, a nie ukośnie). Jak odnotowuje historyk Donald C. Hodges, "czerwono-czarna flaga Sandino miała korzenie anarcho-syndykalistyczne, będąc wprowadzona do Meksyku przez hiszpańskich emigrantów". Nie dziwi, że jego flaga była uznawana za "flagę robotników, symbolizującą ich walkę o wyzwolenie". (Hodges odnosi się do ogłoszonej przez Sandino "szczególnej odmiany anarcho-komunizmu" sugerując, że przyjęcie przez niego tej flagi wskazuje na silne motywy wolnościowe w jego polityce) (*Intellectual Foundations of the Nicaraguan Revolution*, p. 49, p. 137, p. 19).

W świecie angielskojęzycznym używanie czerwono-czarnej flagi zapewne się pojawiło w wyniku zwrócenia uwagi światowej opinii publicznej na Rewolucję Hiszpańską i wojnę domową w 1936 roku. Gdy informacje związane z CNT-FAI rozchodziły się po całym świecie, rozpowszechniała się też i znajomość zainspirowanej przez CNT czerwono-czarnej flagi, dopóki nie stała się ona powszechnym symbolem anarchistycznym i anarcho-syndykalistycznym we wszystkich krajach.

Niektórym czerwono-czarna flaga kojarzy się bardziej z anarcho-syndykalizmem niż z anarchizmem. Jak to ujmuje Albert Meltzer, "flaga ruchu robotniczego

(niekiedy tylko socjalistycznego) jest czerwona. CNT z Hiszpanii zapoczątkowało czerwono-czarną flagę anarcho-syndykalizmu (anarchizm plus ruch robotniczy)" (Anarcho-Quiz Book, p. 50). Donald C. Hodges wysuwa podobny wniosek, gdy stwierdza że "na insygniach Meksykańskiego Domu Świata Pracy (meksykański anarcho-syndykalistyczny związek zawodowy) czerwona połowa głosi walkę ekonomiczną robotników przeciwko klasom właścicielom, a czarna ich walkę powstańczą" (Sandinos Communism, p. 22) George Woodcock też podkreśla hiszpańskie korzenie tej flagi: "Anarcho-syndykalistyczna flaga w Hiszpanii była czarno-czerwona, przedzielona ukośnie. W dniach (Pierwszej) Międzynarodówki anarchiści, podobnie jak inne odłamy socjalistyczne, nosili czerwony flagę, ale później dążyli do zastąpienia jej czarną flagą. Czarno-czerwona flaga symbolizowała próbę połączenia ducha późniejszego anarchizmu z masowym zewem Międzynarodówki" (Anarchism, p. 325f).

Jednakże istnieją też wcześniej odnotowane przypadki stosowania czerwono-czarnej flagi, co sugeruje, że została ona raczej odkryta na nowo przez hiszpańskich anarchistów niż przez nich wynaleziona. Najwcześniej użyto czerwono-czarnych barw podczas próby powstania we Włoszech w sierpniu 1874 roku. Chociaż zakończyło się ono niepowodzeniem, niektórzy z zaangażowanych w ten zryw "paradowali z anarchistycznymi czerwono-czarnymi kokardami". W kwietniu 1877 r. podczas podobnej próby wywołania buntu anarchiści weszli do małego włoskiego miasteczka Letino "nosząc na sobie czerwono-czarne kokardy i wymachując sztandarem w tych samych kolorach". Te działania pomogły "zwrócić na siebie uwagę całego kraju" and "i ściągnąć znaczne zainteresowanie dla Międzynarodówki i jej programu socjalistycznego" (Nunzio Pernicone, Italian Anarchism, 1864-1892, p. 93, p. 124 and pp. 126-7). Zarówno T. R. Ravindrathan (Bakunin and the Italians, p. 228), jak i George Woodcock odnotowują te same wypadki i to, że była podczas nich używana właśnie taka flaga (Anarchism, p. 285).

Mamy także doniesienia o używaniu czerwono-czarnej flagi przez anarchistów kilka lat później w Meksyku. Podczas anarchistycznego wiecu protestacyjnego w dniu 14 grudnia 1879 roku w Parku Kolumba w Mexico City "jakieś pięć tysięcy osób zgromadziło się przepelniając to miejsce licznymi czerwono-czarnymi flagami, z których niektóre zawierały napis La Social, Liga International del Jura. Wielki czarny sztandar zawierający napis La Social, Gran Liga International przykrywał przód podwyższenia dla mówców". Więzy między meksykańskim a europejskim ruchem anarchistycznym były silne, gdyż "dziewiętnastowieczny meksykański miejski ruch robotniczy utrzymywał bezpośredni kontakt z sekcją Jury [...] mającego siedzibę w Europie Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników (Pierwszej Międzynarodówki) i w pewnym momencie otworzył wstąpił w jego szeregi" (John M. Hart, Anar-

był Bakunin) a anarcho-syndykalizmem, nie jest niespodzianką, że używały one podobnych symboli. Jak przekonywał Kropotkin, "Syndykalizm nie jest niczym innym jak tylko odrodzeniem się Międzynarodówki -- federalistycznej, robotniczej, romańskiej" (cytowany przez Martina A. Millera, Kropotkin, p. 176). Zatem odrodzenie się symboli nie było zbiegiem okoliczności.

czarna flaga (prawdopodobnie dlatego, że nadaje się tak świetnie na graffiti). Według Petera Marshalla "A wpisane w okrąg" przedstawia maksymę Proudhona "Anarchia jest porządkiem" (Demanding the Impossible p. 558). Peter Peterson dodaje też, że okrąg jest "symbolem jedności i determinacji", który "dodaje wsparcia głoszonej obok idei międzynarodowej anar-



Dwa inne czynniki podsuwają myśl, że połączenie czerwieni i czerni było krokiem mającym logiczny sens. Skoro czarne i czerwone flagi towarzyszyły powstaniu tkaczy lyońskich w 1831 roku, to zapewne w wykształceniu się czerwono-czarnych flag nie było niczego nadzwyczajnego. Podobnie z Czarną Flagą - skoro była ona "flagą strajków" (cytuując Louise Michel -- patrz poprzednia sekcja), to jej używanie wraz z czerwoną flagą ruchu robotniczego wydaje się naturalnym biegiem rzeczy w przypadku ruchu obejmującego anarchizm i anarcho-syndykalizm, opierającego się na akcji bezpośredniej i uznającego znaczenie strajków w walce klasowej.

Jednakże pomimo opisanego używania czerwono-czarnych flag pod koniec lat siedemdziesiątych XIX wieku wydaje się, że potem wyszły one z użycia i dopiero wraz z założeniem CNT ponad 30 lat później w Hiszpanii zostały znowu użyte na szerszą skalę.

Z czasem kojarzenie ich z anarcho-syndykalizmem stało się rzadziej odnotowywane, a wielu niesyndykalistów chętnie wykorzystywało czerwono-czarną flagę (na przykład używają jej liczni anarcho-komuniści). Byłoby dobrym uogólnieniem twierdzenie, że społeczni anarchiści są bardziej skłonni do używania czerwono-czarnej flagi niż indywidualistyczni anarchiści, gdyż społeczni anarchiści zazwyczaj chętniej stają w szeregu szerszego ruchu socjalistycznego czy robotniczego niż indywidualiści (przynajmniej w dzisiejszych czasach).

A więc czerwono-czarna flaga wywodzi się z doświadczeń anarchistów w ruchu robotniczym i jest w szczególności kojarzona z anarcho-syndykalizmem. Czerń przedstawia wolnościowe idee i strajki (tzn. akcje bezpośrednie), a czerwień ruch robotniczy. Jednakże wraz z upływem lat stała się ona standardowym symbolem anarchistycznym, z czarnym oznaczającym anarchię, a czerwonym współpracę społeczną i solidarność. Tak więc czerwono-czarna flaga symbolizuje cel anarchizmu bardziej niż jakikolwiek inny symbol ("Wolność jednostki i społeczną współpracę całej zbiorowości" (Piotr Kropotkin, Działaj dla siebie samego)), jak również używane do jego osiągnięcia środki ("ażeby zrobić rewolucję, masy robotnicze będą musiały zorganizować się. Opór i strajk to doskonałe sposoby organizowania się, aby to uczynić" i "strajk rozwija poczucie solidarności" (Piotr Kropotkin, cytowany przez Caroline Cahm, Kropotkin and the Rise of Revolutionary Anarchism: 1872-1886, p. 255 and p. 256)).

3 Skąd się wzięło A wpisane w okrąg? A wpisane w okrąg jest jako anarchistyczny symbol nawet jeszcze słynniejsze niż czarna czy czerwono-

chistycznej solidarności" ("Flag, Torch, and Fist: The Symbols of Anarchism", Freedom, vol. 48, No. 11, pp. 8).

Natomiast początki "A w kółku" jako anarchistycznego symbolu są mniej jasne. Wielu myśli, że został on zapoczątkowany przez ruch punków w latach siedemdziesiątych, ale tak naprawdę sięga on wstecz do dużo wcześniejszego okresu. Zdaniem Petera Marshalla "w roku 1964 francuska grupa, Jeunesse Libertaire, nadała nową siłę Proudhonowskiemu hasłu Anarchia jest porządkiem tworząc A wpisane w okrąg - symbol, który szybko rozpowszechnił się na całym świecie" (Op. Cit., p. 445). Nie jest to jeszcze najstarsze świadectwo o tym symbolu. 25 listopada 1956 r. podczas założycielskiego zjazdu w Brukseli Alliance Ouvriere Anarchiste (AOA) przyjęło taki symbol. Idąc jeszcze dalej, zrealizowany przez BBC dokument o hiszpańskiej wojnie domowej pokazuje członka anarchistycznej milicji z wyraźnym "A w kółku" na tylnej stronie swojego hełmu. Oprócz tego niewiele wiadomo o początku "A w kółku".

Dzisiaj A wpisane w okrąg odniosło jeden z największych sukcesów, jeśli chodzi o wizerunki z całej dziedziny politycznej symboliki. Jego "niewiarygodna prostota i bezpośredniość doprowadziła do tego, że stało się ono powszechnie przyjętym symbolem odrodzonego ruchu anarchistycznego po buncie 1968 roku", zwłaszcza że w wielu, jeśli nie w większości języków świata słowo oznaczające anarchię zaczyna się na literę A. (Peter Peterson, Op. Cit., p. 8).



chism and the Mexican Working Class, 1860-1931, p. 58 and p. 17).

Dlatego nie jest niespodzianką odkrycie, że ruchy w Meksyku i we Włoszech używały takich samych flag. Obydwa wchodziły w skład tej samej antyautorytarnej Międzynarodówki, co Federacja Jury i obydwie miały ścisłe z nią powiązania. Zarówno włoski, jak i meksykański ruch anarchistyczny był zaangażowany w działalność Pierwszej Międzynarodówki i jej antyautorytarnych następców. Jeden i drugi, podobnie jak Federacja Jury w Szwajcarii, był mocno zaangażowany w organizowanie związków zawodowych i strajków. Wiedząc o wyraźnych powiązaniach i podobieństwach między kolektywistycznym anarchizmem Pierwszej Międzynarodówki (którego najślynniejszym rzecznikiem

ON THEIR GROUND:
OBSCURE, INDEPENDENT MUSIC STORE
KOMIS/NIEZALUZYNY SKLAD

death, black, trash, power, speed, new metal, grind core, hc, punk, ska, reggae, dub, obscure industrial, wave, gothic rock/metal, dark ambient, power electronics, literatura i poezja niezależna, literatura wegetarińska, anarchistyczna, ekologiczna, zine'y

Piotrkowska 55 w końcu podwórza

otwieramy, kiedy się wypimy (12:00 - 13:00)
zamykamy kiedy nam się chce (około 20:00)
nie wybieramy najlepszych tytułów -
przyjmujemy całe kolekcje na nośnikach:
CD, 7", 10", 12", LP, MC, VHS + gry PC/PSX

Łódź

PARADYGMAT DO MUZEUM

01.

Patrzę na archiwalny numer kwartalnika „Zdrowie Psychiczne”, ukochanego „dziecka” prof. Kazimierza Dąbrowskiego. Jako naczelny figuruje tam (nr 4/1980) sam Profesor, jako jego zastępca - Tadek Kobierzycki, a „Czu-czu”, czyli Włodek Świętek, ledwie mieści się w gronie współpracowników.

Realia były inne. Pismem „dyrygowal” „Czu-czu”, jego entuzjazm bił na leb zimną pracowitość Tadeusza. Dąbrowski już odchodził, zmarł, nie pomnę - czy doczekawszy tego akurat numeru. Potem zjazd PTHP (Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej) w I rocznicę śmierci Mistrza i stan wojenny...

Warszawska Praga, ul. Targowa 59 m.16 - lokal redakcji. Nie zamknięty, jak inne, 13. grudnia. Ktoś w cenzurze, zasugerowany tytułem, określił nas jako kwartalnik LEKARSKI. Można było nadal drukować. Zwłaszcza bibułę, tukliśmy ją ze Świętkiem na redakcyjnych maszynach do pisania, dużych, podpusytych, ciężkich jak cholera. W pierwszej kolejności „Wiadomości Wojenne” z obowiązkowym „PODAJ DALEJ!!!”. Niewątpliwym rarytatem jest dziś ostatni numer „Zdrowia Psychicznego” z roku 1981, odbierany z drukarni w Białymstoku już za rządów junty Generała. Publikowany tam długi tekst, Dąbrowski próbował wydać wcześniej jako broszurę. Urząd Kontroli Prasy za każdym razem stawiał *veto*. W TAKIM grudniu - cenzorzy nie spodziewali się niespodzianek. Nie przeczytali, mieli inne sprawy na głowie. Rzecz w tym, iż Profesor piętnował w nim sojuszników z Zachodu za zdradę wobec Sowietów sprawy polskiej w Jalcie i Poczdamie. Jawnie i ostentacyjnie.

Siedząc w sypiącej się kamienicy, mieszczącej redakcję, mieliśmy czas na rozmowy. Wpadałem tam dość rzadko, oczywiście BEZ obowiązkowych przepustek, ale gdy już byłem - nie dało się jedynie produkować bibułę. Tak więc - rozmawialiśmy... Nade wszystko o PTHP - jako bycie ABSOLUTNIE wówczas alternatywnym wobec rzeczywistości. Porządkowaliśmy z Władkiem swoje osobiste przeszłości, gry i przegrane... Pytaliśmy o formy, jakie musi wobec przejęcia władzy przez wojskowych, przybrać WSZELKA alternatywa. Mieliśmy NADZIEJĘ...

02.

Nadzieja zgasła wraz z „okrągłym stołem”. O zdradzie wielu działaczy podziemnej „S” i supertajnych rozmowach „ściganych listami gończych bohaterów” z gen. Kiszczakiem - niektórzy alternatywiści już wiedzieli. Nie chwalili się specjalnie ową wiedzą, bo też żaden „prawdziwy Polak” by im nie uwierzył. Krajowi trzeba było tych „bohaterów”, kogoś, kto w chwili rozchwiania wszelkich norm byłby ZYWYM przykładem postawy konsekwentnej i GODNEJ.

„Nowe” media - „zreformowane” gazety towarzyszy i tworzone w pośpiechu „Gazeta Wyborcza” - pomagały uwierzyć w jasność aureoli podziemnych działaczy. Mazowiecki zarządził „grubą kreskę” i okazało się, iż wczorajszy wróg... nie istnieje. Zmianę łachów z czer-

LELE

wonych na różowe czy wszelkie inne - społeczeństwo w swej masie przyjęło za dobrą monetę. „Myślących inaczej” szybko usuwano ze struktury „Solidarności” (w Lublinie np. pozbyto się dwu radykalnych inżynierów-górników z Bogdanki: Dycia i Florczyka), wolne naprawę nowe pisma upadały z braku pieniędzy i politycznego zaplecza.

Starzy twórcy i działacze alternatywy albo oddawali się robieniu szmalu, albo milkli, bo bieg wydarzeń przerastał ich, tworzone *ad hoc* po roku 1989, najczarniejsze scenariusze. Początek lat 90-tych zastał polską



alternatywę zupełnie nie przygotowaną na fakt, iż zaniknął dawny podział na „dobrych” i „złych”, „swoich” i „obcych”... Że nowe pokolenie, wśród którego (jak zawsze) znajdowało się wiele osób myślących - rozgląda się, jak oglądała i na wszelki wypadek nie wierzy już nikomu, nawet - sobie...

03.

Z dzisiejszej perspektywy wycofanie się z „gry” „starych” - takich jak „Lu” Soroka, „Disney” Bochniarz czy ja - i NIECO młodszych (jak Zbyszek Sajnog, który wNIEBOWstał) doprowadziło do zerwania ciągłości ruchu, o którą z uporem maniaaka walczył wciąż - niemal samotnie - Jany Waluszko. To JEGO, Jaśkową, zasługą jest w dużej mierze powrót kilku wete-

ranów alternatywy do aktywności - społecznej i twórczej. Powrót zbyt chyba późny, ale to już nie Waluszki wina.

Zmiana paradygmatu alternatywy w latach 90-tych to przede wszystkim powstawanie squatów. Myśmy tworzyli komuny lub para-komuny, squaty pełnią inną rolę, łącząc sprawy socjalne mieszkańców z kulturą i - od niedawna - z działalnością Inicjatywy Pracowniczej. Krótkotrwałość życia squatów w niewielu tylko miastach pozwalała na rozwijanie sensownej działalności, choć 10 lat Rozbratu może być przykładem na wyższość idei ponad spory jednostkowe.

Kolejne *novum* - praca w ramach OFICJALNYCH stowarzyszeń, niekiedy dotowanych przez samorządy i administrację państwową. Na Zachodzie umiejętnie wykorzystanie istniejących przepisów przez oddolne inicjatywy, typu właśnie stowarzyszeń, w wielu przypadkach doprowadzało do szerszych zmian społecznych (*vide*: Ameryka Południowa).

Rzecz kolejna to „nieoficjalna OFICJALNOŚĆ” pism III-obiegu, już nie ściganych za sam fakt zaistnienia. Być może rządzący Polską neoliberałowie lekceważą ruch wydawniczy, którego produktów nie sprzedaje się w hipermarketach i MPiK-ach... (bo takie przecięznie piórą mózgi masom). Z drugiej strony nieudolność ekip redakcyjnych i brak umiejętności wyjścia poza kontrkulturowe ghetto - zmuszają dzisiejszą alternatywę do (samobójczych niekiedy) kontaktów z prasą oficjalną. Wszelkie słabości, niekonsekwencje myślenia i dwuznaczności wypowiedzi są wówczas, niestety, wykorzystywane przeciw ruchowi.

Pomimo niewielkich możliwości własnych - dopiero powstanie Inicjatywy Pracowniczej (w Niemczech określanej jako „współczesny KOR”) stworzyła poprzez WSPÓLNĄ walkę anarcho-alternatywistów i robotników (ew. bezrobotnych) o przestrzeganie Konstytucji III RP i Kodeksu Pracy (nawet w tak smętnej i nieostrej prawnie wersji, jaka obowiązuje) - możliwość szerszego oddziaływania POZA własnym kręgiem.

Jeśli dodać do tego rodzaju się również w Polsce ruch antyglobalistyczny (w dużej mierze spowodowany okupacją Iraku i butą UE) - jest wreszcie okazja do przeniesienia wartości, tworzonych przez środowiska alternatywne, „w głąb” społeczeństwa.

Powodów, dla jakich Polacy zaczną protestować i samoorganizować się - z pewnością nie ubędzie. Przeciwnie - stos kwestii nie rozwiązanych przez kolejne, coraz mniej sprawne, za to w coraz większym stopniu podległe Brukseli w miejsce Moskwy, rządy - daje WSZELKIM (nie tylko F@i RS@) ekipom alternatywnym - możliwość przekazywania swoich doświadczeń poprzez WSPÓLNE rozwiązywanie problemów. Zwłaszcza tych szczebla lokalnego. Tam najłatwiej osiągnąć powodzenie, choćby spektakularne (wymuszona społecznym buntem zmiana prezesa - nie zmieniła zbytnio sytuacji lubelskiego MPK). Ważne jest jedno - ludzie muszą wreszcie uwierzyć, iż od nich samych coś zależy, zaś „czekanie na cud” równa się przegranej.

Stary model alternatywy odchodzi, bo WYBITNIE nie przystaje do realiów III RP A.D. 2004. I dobrze. Musi nam tylko starczyć sił na wytworzenie nowego i przekonanie społeczeństwa do realności jego realizacji.



Motto: „Prawdę mówiąc, myślę, że nikt na świecie nie może zainteresować się moją książką, poza tymi, którzy są wrogami istniejącego porządku społecznego i z tej pozycji, efektywnie działają”

Guy Ernest Debord

28 lipca 1957 roku kilkanaście osób, m.in. Guy Debord, Michele Bernstein, Asper Jorn, Giuseppe Pinot, w Cosio d'Arosica tworzy Międzynarodówkę Sytuacjonistyczną (Internationale Situationiste). W jej skład wchodzi najbardziej radykalni przedstawiciele lettryzmu, kontynuatorzy dadaistycznego i surrealistycznego buntu. Reprezentują oni Londyński Komitet Psychogeograficzny, skandyńsko-niemiecki Ruch Imaginacyjnego Bauhausu, grupę Cobra oraz Międzynarodówkę Lettrystów.

Debord (ur. 1931) jest jednym z twórców i najbardziej znanych teoretyków sytuacjonizmu. W połowie lat 50-tych ma już na koncie film „Ryk na rzecz Sade'a”. Skupia wokół siebie bezkompromisowe skrzydło lettrystów. Sytuacjonizm spotyka się z ostrą krytyką, również i w środowisku skrajnej lewicy. Przez wiele lat sytuacjoniści współpracują z Henri Lefebvrem, filozofem i współtwórcą strukturalnego neomarksizmu. Praca Lefebvra pt. „Krytyka życia codziennego” (t. I 1947, t. II 1962) staje się inspiracją dla ruchu zapoczątkowanego przez Deborda i innych.

Piotr Rymarczyk, uważa iż sytuacjonizm związany jest z odmiennym od tradycyjnego modelem krytyki kapitalizmu. O ile klasyczne nurty anarchizmu opowiadały się za „walką o równe płace”, o tyle anarchizm sytuacjonistyczny kładzie nacisk na „alienację” człowieka we współczesnym kapitalizmie. Ruch ten jest „afirmacją prawa jednostki do samorealizacji”. Pracownicy, zamiast pełnić funkcje śrubek w wielkiej maszynie systemu, powinni stać się właścicielami swego życia i realizować swoje pragnienia, wykorzystywać swój twórczy potencjał. Zdaniem Rymarczyka nurt ten „nawiązuje do (...) tradycji mniej rzucających się w oczy, choć być może w pewien sposób bliższych temu, czym lewicowy projekt transformacji społecznej był u swoich korzeni”.

Sam Debord przez całe życie żyje w zgodzie ze swoimi przekonaniami. Jest przekonany, że zagładę dla jego krytyki kapitalizmu stanowiłoby jej umasowanie, skomercjalizowanie, włączenie w nurt kultury oficjalnej. Dlatego Debord chce, aby jego poglądy miały charakter elitarny, docierały do wąskiej grupy odbiorców, ludzi dążących do konstruktywnej zmiany społeczeństwa. Jak pisze Anka Ptaszkowska: „Debord nigdy nie wystąpił w radiu ani w telewizji, kontrolował dystrybucję swoich filmów w jedyny możliwy sposób, to znaczy ograniczał je do minimum, indywidualizował”. Sam twórca pisze w „Komentarzach do Społeczeństwa Spektaklu”: „muszę przede wszystkim uważać, żeby było kogo zanadto nie oświecić”. Gdy autor popełnia w 1994 roku samobójstwo, media dysponują tylko jedną jego fotografią.

Przyjrzyjmy się zatem „alienacyjnemu” modelowi krytyki kapitalizmu, zaproponowanemu przez Deborda. Poniższa analiza oparta jest na najwybitniejszym jego dziele – „Społeczeństwie spektaklu”. Ta wydana w 1967 roku książka ma niewątpliwie wielki wpływ na wydarzenia, które mają miejsce w Paryżu rok później.

Zdaniem Deborda spektakl to całkowite odwrócenie życia, nie-życie, kłamstwo, które samo siebie okłamuje (teza 2). Nie jest to zbiór obrazów, lecz raczej społeczny stosunek między ludźmi, który nawiązuje się za pośrednictwem tychże obrazów (t.4). Niekiedy są skłoni ograniczać spektakl do świata mass mediów, jest to jednak duże uproszczenie. Spektakl jest bowiem światopoglądem, który się zmaterializował i odnosi się do całości życia społecznego. Jak pisze Debord:

„Spektakl jest uprawomocnieniem istniejącego systemu społecznego, jest wszechobecnym potwierdzeniem zarówno produkcji, jak i konsumpcji” (t.6). Społeczeństwo spektaklu jest społeczeństwem pozorów, fałszu. Nie zmierzają ono do żadnego celu. Jego celem są jego środki (t.13). Zdaniem Deborda „spektakl jest ekonomią, która rozwija się sama dla siebie” (t.16). Podporządkował sobie ludzi, którzy wcześniej podporządkowani zostali ekonomii. O ile kiedyś „mieć” zastąpiło „być”, o tyle współcześnie „wyglądać” zastąpiło „mieć” (t.17). Spektakl jest dążeniem do „uczynienia widzialnym nieuchwytnego już bezpośrednio świata poprzez różnorakie i wyspecjalizowane środki przekazu”, jest on zarazem „tym, co umyka działalności ludzi - co umyka refleksji nad ich dziełem i jego doskonałością” (t.18). Społeczeństwo to stanowi również „materialną rekonstrukcję iluzji religijnej”. Świat rajy zostaje przeniesiony w rzeczywistość ludzi. Debord zakłada też, że spektakl jest władzą, „dyplomatyczną reprezentacją przed sobą hierarchicznego społeczeństwa” (t.23). Zdaniem autora władza stanowi specjalizację jak najbardziej archaiczną. Stąd spektakl, mimo swej nowoczesności, jest jak najbardziej archaiczny (t.23).

Dla wyjaśnienia istoty spektaklu Debord często używa sformułowania - rozdzielanie (separation). Rozdzielenie w rozumieniu Deborda jest bliskie marksowskiemu rozumieniu alienacji i horkheimerowskiemu reifikacji. Wydaje mi się, że autor używa tego terminu w odniesieniu do różnych sytuacji społecznych. Rozdzielenie związane jest m.in. z instytucją państwa. Wynika tu z podziału pracy w społeczeństwie, służy podtrzymaniu nierówności klasowych. Jak zauważa Debord potrzeby epoki mogą być zrealizowane tylko dzięki komunikowaniu się. Komunikacja ta jest jednak najczęściej jednostronna. Mass media znajdują się w rękach, bądź administracji państwowej, bądź w rękach warstwy najbardziej uprzywilejowanej - kapitalistów, i służą utrzymaniu hierarchicznego charakteru społeczeństwa, status quo (t.24).

Do rozdzielenia potrzebna jest legitymizacja. Wcześniej w społeczeństwach przedkonsumpcyjnych „uprawomocniały je kosmiczne i ontologiczne zalecenia, które odpowiadały interesom władców”. Te prawa, wskazówki tłumaczyły „czego społeczeństwo nie może robić”. Obecnie - spektakl - wyraża tylko to, co społeczeństwo może robić (t.25).

W pierwszym rozumieniu rozdzielenia Debord podkreśla zatem, że ludzi można podzielić na tych, którzy bezpośrednio tworzą spektakl, posiadają władzę i rządzą komunikacją, oraz na tych, którzy są poddanymi, biernymi widzami, jednostkami produkującymi i konsumującymi towary.

Drugie rozumienie rozdzielenia jest powiązane z pierwszym. W tym ujęciu mamy do czynienia z sytuacją oddzielenia człowieka od jego wytworu. W drugim znaczeniu ten termin jest zatem bliski marksowskiej alienacji. Rozdzielenie stanowi tu konsekwencję podziału pracy.

Z drugim rozumieniem tego terminu związane jest jego trzecie ujęcie. Rozdzielenie dotyczy tu sytuacji oddzielenia się jednostki od realnego życia. Jak pisze Debord: „Człowiek coraz silniej oddzielony od swych produktów ze wzrastającą mocą sam produkuje wszystkie szczegóły swego świata i dlatego jest coraz bardziej od niego oddzielony” (t.33).

Spektaklem rządzi zatem całkowite rozdzielanie, które dotyka zarazem jednostki (w postaci alienacji), jak i całej rzeczywistości (derealizacja, zafalszowanie obrazu rzeczywistości).

W świecie tego społeczeństwa, zdaniem Deborda, niepodzielnie króluje towar. „Spektakl jest momentem, w którym towar totalnie opanowuje życie społeczne” (t.42). Rozwój ekonomiczny wyzwala ludzi, nie muszą już bezpośrednio angażować się w

walkę o przetrwanie. Swoboda nie trwa jednak długo, gdyż wyzolicieł staje się nowym despotą. „Ekonomia przemienia świat, ale przemienia go jedynie w świat ekonomii” (t.40). Debord nazywa ten stan obfitości towarów przetrwaniem polepszonym (t.40). W świecie przetrwania polepszonym trudno uzyskać niezależność. Jak pisze Debord: „Oto rzeczywistość szantażu: fakt, że używanie rzeczy w swej najskromniejszej postaci (jeść, mieszkać) nie istnieje inaczej, jak tylko uwięzione w złudnym bogactwie polepszonymo przetrwania, co jest rzeczywistą podstawą zgody na ogólną iluzję w konsumpcji nowoczesnych towarów”. Człowiek staje się „zjadaczem ludzi” w świecie, w którym towar jest „iluzją realną”, a spektakl - jej „uogólnionym przejawem” (t.47).

Ekonomia osiąga, zdaniem autora, taki poziom rozwoju, że potrzebuje coraz to nowych grup społecznych, które mogłyby tę produkcję skonsumentować. I tak do świata zbytku trafia proletariusz. Staje się konsumentem. W fabryce, w pracy musi być podporządkowany przełożonym, wykonuje jak automat powierzone mu obowiązki. Jakże inaczej wygląda sytuacja, gdy idzie do sklepu, marketu, aby zrobić zakupy. Wtedy staje się klientem. Cała jego egzystencja znajduje się w sferze zainteresowań ekonomii politycznej (t.43).

Świat towaru musi jednak pokonać sprzeczność: automatyzacja produkcji, która eliminuje pracę, „musi jednocześnie utrzymać pracę jako towar oraz jako jedynę miejsce jego narodzin”. W związku z tym tworzony jest sektor usług. Nowi proletariusze mogą tu zarabiać pieniądze, aby potem móc je wydawać na produkty. Co więcej same usługi stają się towarami. Wszystko podporządkowane jest logice maksymalizacji zysków.

Spektakularne społeczeństwo charakteryzuje się potrzebą nieskończonego rozwoju ekonomicznego. Nieprzerwanie tworzone są pseudopotrzeby, które zdaniem autora „sprowadzają się do jednej pseudopotrzeby: podtrzymania jej (tzn. ekonomii- przyp. L.K.) dominacji” (t.51). W chwili, gdy społeczeństwo odkryje, że zależy od gospodarki, to wówczas gospodarka będzie zależeć od społeczeństwa. Zdaniem Deborda w tymże społeczeństwie, w którym toczy się nieustannie walka klas, wyłoni się podmiot, który podważy owo spektakularne społeczeństwo.

Autor zauważa w swoich rozważaniach, że wyróżnić można dwa typy spektaklu: spektakl skoncentrowany oraz spektakl rozproszony. Ten pierwszy charakterystyczny jest dla kapitalizmu biurokratycznego, towarzyszy mu przemoc. Przykładem spektaklu skoncentrowanego mogą być byłe (i obecne) państwa komunistyczne. Drugi charakterystyczny jest dla państw kapitalistycznych, w których mamy do czynienia z obfitością towarów. W „Komentarzach do społeczeństwa spektaklu” (1987r.) Debord napisał, że właśnie kończy się era spektaklu skoncentrowanego. Miejsce kapitalizmu biurokratycznego zajmuje nowoczesny, konsumpcyjny kapitalizm. Stąd Debord rezygnuje z poprzedniej dychotomii i stwierdza, że współcześnie mamy do czynienia ze spektaklem zintegrowanym, który jest wynikiem zwycięstwa formy rozproszonej nad skoncentrowaną. Ten nowy spektakl cechuje: 1) nieustanna odnowa technologii, 2) związek ekonomii z władzą polityczną, 3) wszechogarniająca tajemnica, 4) kłamstwo bez odpowiedzi i 5) wieczna teraźniejszość.

Autor „Społeczeństwa spektaklu” nie ogranicza się w swoich rozważaniach wyłącznie do niekonstruktywnej krytyki. Próbuje znaleźć podmiot historyczny, który mógłby przezwyciężyć obecne status quo. Grupą społeczną, w której Debord pokłada duże nadzieje jest proletariatus. Autor zauważa jednak, że w całej historii tej klasy społecznej było wiele elementów złych i niepotrzebnych. Jego zdaniem już same formy organizacyjne proletariatus są zafałszowane są od rewolucji burżuazyjnej, tzn. mają charakter hierarchiczny i scentrali-

Zrozumieć Spektakl

zowany (t.90). Debord kieruje tu swoją krytykę w główne nurty ruchu robotniczego. Zgadza się zarzutami jakie Marks nakreślił wobec anarchizmu (kolektywistycznego - przyp. L.K). Bakuninizm grozi tu samowładztwem, dyktaturą konspiracyjnej elity. Jednocześnie Debord nie ukrywa swojego poparcia dla krytyki marksizmu dokonanej przez Bakunina. „ Obalenie klas przez autorytarne użycie władzy państwowej prowadzi do przywrócenia biurokratycznej klasy panującej i dyktaturę najbardziej uczonej lub tych, którzy się za takich uważają ” (t.91).

Zdaniem Deborda słabość anarchizmu polega na jego hurrearewolucyjności. Brak w nim określonych rozwiązań, propozycji. Anarchiści ulegają złudzeniu, że rozwiązanie pojawi się nagle w dniu strajku generalnego, czy powstania (t.92). Niebezpieczeństwo stanowią tu specjaliści od wolności, którzy są w stanie narzucić swoje przekonania, wizje, najpierw organizacji, a potem społeczeństwu. Mimo tego Debord uważa, że rewolucja hiszpańska z 1936 r., która w znacznej mierze miała właśnie anarchistyczny charakter, była „najbardziej ze wszystkich zaawansowaną próbą władzy proletariackiej”. Skończyła się niepowodzeniem z dwóch powodów: po pierwsze, faszyci obejmowali swą władzę prawie połowę kraju i otrzymywali solidne wsparcie z zagranicy; po drugie, uznani działacze anarchistyczni stali się ministrami, „zakładnikami burżuazyjnego rządu”, który niszczył rewolucję.

Zdecydowanie surowsza jest krytyka ruchu socjalistycznego. Debord atakuje tu „profesorów”, „intelektualistów”, których nazywa „zawodowymi rewolucjonistami” (t.97). Zauważa, że w wyniku ideologii socjalistycznej nastąpił proces rozdzielenia, który odseparował od siebie teorię od praktyki, teoretyków od proletariatu. Jego zdaniem „biurokracja związkowa przekształcała się w pośredników siły pracowniczej”. W ten sposób ruch robotniczy w państwach uprzemysłowionych dobrze wpisali się w dominujący porządek, stracił całą swą rewolucyjność (t.96). Na podstawie analizy historii Debord dochodzi do wniosku, że „reprezentacja robotnicza radykalnie przeciwstawiła się klasie” (t.100). Ta „rewolucyjna” reprezentacja proletariatu „stała się zarazem czynnikiem i istotnym rezultatem ogólnego zafalszowania społeczeństwa”. Zdaniem autora proces ten był widoczny we wszystkich krajach uprzemysłowionych, a szczególnie w Niemczech i Rosji Radzieckiej (t.100).

Debord kieruje też swoją krytykę w bolszewizm. Jego zdaniem ideologia ta odniosła zwycięstwo w Rosji z powodu ekonomicznego zacofania tego kraju oraz na skutek rezygnacji ruchu robotniczego z walki rewolucyjnej w krajach najbardziej uprzemysłowionych, np. w Niemczech. Rosyjskie zacofanie wspomogło proces kontrrewolucji, który zdaniem autora miał miejsce w latach 1918-1920. Partia bolszewicka uzyskała monopol na władzę w państwie i w ten sposób stała się „partią właścicieli proletariatu, która w zasadzie zlikwidowała dotychczasowe formy własności” (t.102). Biurokracja stała się substytutem klasy burżuazyjnej, właścicielem państwowego kapitalizmu (t.104). W rzeczywistości rewolucja przyniosła nową dominację klasową. W Kraju Rad przetrwały formy charakterystyczne dla społeczeństwa kapitalistycznego, hierarchicznego (socjalizm zaś miał być bezklasowy). Debord ujmując to w następujących słowach: „(...) industrializacja epoki stalinowskiej ujawnia ostatecznie rzeczywistość biurokracji: jest ona kontynuacją panowania ekonomiki i ocalemien istoty społeczeństwa rynkowego poprzez utrzymanie pracy-towaru” (t.104). Klasa „właścicieli proletariatu” musi być jednak w systemie sowieckim klasą niewidzialną. Im jest ona silniejsza, tym dobitniej stwierdza, że nie istnieje (t.106). Na tym właśnie polegało fundamentalne kłamstwo (t.107) państwa radzieckiego. Zwyciężyła rewolucja, upadły carat i rządy burżuazji, biurokracja nie istnieje, wszyscy są równi. Klasa „właścicieli proletariatu” nie miała żadnych gwarancji prawnych uprawomocniających jej władzę. Stąd biurokracja pozostawała w zależności od centralnej gwarancji ideologii (t.107), a gwarancja ta mogła być zapewniona jedynie przez koncentrację całej władzy w jednej osobie. To Stalin decydował, kto należy do tej uprzywilejowanej klasy, a kto nie (t.107).

Nastąpił jednak moment, w którym biurokracja radziecka uwolniła się ze śladów burżuazyjnej własności, znalazła uznanie w świecie. Wtedy też biurokracja miała już dość terroru i chciała się cieszyć spokojem. Dokonała zatem oskarżenia stalinizmu. Samo to oskarżenie okazało się jednak stalinowskie. Nie kwestionowało bowiem fundamentalnego kłamstwa. Jedynym tytułem własności, jaki biurokracja posiadała, a który zapewnił jej egzystencję, był monopol ideologiczny. Stąd

oskarżenie stalinizmu było arbitralne, niewytłumaczone (t.109).

Debord negatywnie odnosi się także do innych oddalmów myśli marksistowskiej. Krytykuje Trockiego, m.in. za to, że do 1927 roku był solidarny z biurokacją bolszewicką. Za to Lukaks jest dla autora „Społeczeństwa ...” ideologiem mówiącym w imieniu władzy, który zresztą zawsze pozostawał na zewnątrz ruchu robotniczego. Ten węgierski komunista poza tym pokazywał partię bolszewicką taką, jaką ona nigdy nie była. Zdaniem Lukaksa robotnicy mieli dzięki niej przestać być „<<widownią>> zdarzeń we własnej organizacji” i stać się świadomymi uczestnikami ruchu (t.110).

Proletariat, w rozumieniu Deborda, był i jest obiektem manipulacji różnych grup społecznych, których celem są niejasne (jak w kolektywnym anarchizmie), bądź służą utrzymaniu dominacji klasowej (jak w socjalizmie). Zarazem jednak dla Deborda to właśnie proletariat stanowi tę część społeczeństwa, która jest w stanie doprowadzić do odwrócenia (detournement) świata (postawienia go na nogi) i zlikwidowania rozdzielenia. Klasa ta, zdaniem autora, całkowicie zatraciła perspektywę swojej autonomii, swoje złudzenia, ale nie przestała istnieć (t.114). Proletariat jest zatem „olbrzymią



większością pracowników, którzy stracili wszelką władzę nad sposobem swojego życia”. Klasa ta zostaje wzmocniona przez zanik chłopstwa. W sferze usług zaś, w pracy umysłowej rozwija się logika pracy fabrycznej. Stąd reprezentanci tego działu gospodarki zasilać szeregi współczesnego proletariatu (t.114). Uzewnętrzona siła tej klasy w postaci jej pracy, ale też i sił państwowych, partii politycznych, związków zawodowych, które sama stworzyła, aby uniezależnić się, w rzeczywistości uczestniczy w umacnianiu społeczeństwa kapitalistycznego (t.114). Jeżeli zatem proletariat chce przezwyciężyć spektakl, to musi nieść ze sobą „rewolucję, która nie może zostawić nic na zewnątrz niej samej” (t.114). Debord uważa, że „żadne ilościowe polepszenie jego nędzy, żadne złudne włączenie go do hierarchii nie jest trwałym lekarstwem na jego niezadowolnienie”. Autor domaga się zatem zmiany jakościowej, zmieniającej człowieka i otaczający go świat. Co do form organizacji ruchu robotniczego (czy też raczej neoproletariackiego) wyraża się niejasno, mało precyzyjnie. Uważa, że odpowiednią formą polityki miałyby być rady, tworzące następnie federacje. W skład tych ostatnich wchodziłyby delegaci uprzednio wybrani na radach, którzy w każdej chwili mogliby być odwołani (t.116). Co do jednego jest jednak Debord pewien - rewolucyjna organizacja będzie musiała przestać istnieć w momencie zniesienia społeczeństwa rozdzielonego (t.120).

Debord przedstawia także w swoich rozważaniach proces zawiadnięcia przez spektakl czasem i przestrzenią. Autor zauważa, że oba te wymiary podporządkowane zostały logice ekonomii. Dla Deborda czas, historia są nierozdzielnie związane z władzą (t.132). Uważa, że to posiadacze czasu nadali sens historii. Wraz ze zwycięstwem burżuazji czas podporządkowany został produkcji ekonomicznej. Jest to „zdaniem Deborda, zarazem triumf przedmiotów. To właśnie serijna produkcja towarów rozpoczęła proces zawiadnięcia czasem. Natomiast klasa ludzi posiadających władzę, tworząca organizacyjne formy społeczeństwa, przywłaszcza sobie

część dochodu wypracowanego przez klasę robotniczą (wartość dodatkową) oraz „nadwyżkę czasu wynikłą z organizacji czasu żyjącego” (t.128). Stąd nierównomierna dystrybucja czasu wolnego staje się jednym z wymiarów, mającej miejsce w społeczeństwie, walki klas.

Czym zatem jest czas spektakularny? Zdaniem Deborda, ma on charakter pseudocykliczny (t.148). W rzeczywistości jest konsumpcyjnym przybraniem czasu-towaru produkcji (t.149). Społeczeństwo opanowane zostaje przez wakacje, rozrywki, które ukazywane są na dystans. Te spektakularne towary prezentowane są jako momenty realnego życia, w którym należy czekać na ich cykliczny powrót. Zdaniem autora to co ukazywane było jako prawdziwe życie, okazuje się życiem tylko bardziej realnie spektakularnym (t.153). Cykliczność całkowicie podporządkowana jest gospodarce, maksymalizacji zysków. I tak spektakl obfituje w różnego rodzaju pseudoświęta, których celem jest zwiększenie ekonomicznego obrotu (t.154). Z tego też powodu u ludzi pojawia się nienasycenie, niespełnienie, co prowadzi do rozczarowania światem. Spektakl jest „falszową świadomością czasu” (t.158).

Zdaniem Deborda konsumpcja i nowoczesne produkty zagospodarowują też przestrzeń. Naturalnie ludzkie otoczenie zostaje wzięte w posiadanie przez kapitalizm (t.169). Urbanistyka jest zatem gigantycznym przedsięwzięciem, którego celem staje się podtrzymanie dominacji klasowej. Miejskie warunki produkcji niebezpiecznie zgromadziły w jednym miejscu masy robotników. Stąd wysiłki wszelkiej władzy skierowane są w utrwalenie atomizacji klas niższych oraz w utrzymanie porządku na ulicy. Tak ulica przestaje istnieć. Kapitalizm, aby osiągnąć całkowitą dominację musi absolutnie przekształcić przestrzeń, tworząc z niej własną dekorację (t.169). Jak zauważa M. Kwaterko: „Ulica była życiem miasta (miejscem rozmów, dyskusji, kawiarni, knajp, teatrów, itd. - przyp. L.K.). To życie zostało wyparte przez chłodną logikę witryn sklepowych, której pierwsze prawo brzmi: <<idealny czas przemierzania ulicy powinien być najmniejszym potrzebnym na kontemplację wystaw i ewentualnie - spowodowanie wejścia do sklepu>>”. Zdaniem Deborda spektakl przyczynia się do zniszczenia środowiska miejskiego. Zapanowuje dyktatura samochodu. W krajobraz wpisuje się autostrada, przemieszczająca dawne centra i doprowadzająca do rozproszenia miasta. Przestrzeń organizuje się tymczasem „wokół <<fabryk dystrybucji>>, którymi są gigantyczne supermarkety wzniesione w ogołoconej przestrzeni na cokółach parkingów” (t.174). Spektakularne urbanizacji Debord przeciwstawia jednostkową urbanizację. Otoczenie człowieka powinno być formowane zgodnie z jego potrzebami emocjonalnymi.

W spektaklu towarem jest także kultura. Staje się motorem ekonomicznego rozwoju (t.193). Towarzyszy temu destrukcja języka, a co za tym idzie i komunikacji. Zdaniem Deborda ta sytuacja może być postrzegana oficjalnie za wartość pozytywną, chodzi przecież o ogłoszenie zgody na panujące status quo. Wszelka komunikacja między ludźmi zostaje zatem uznana za nieistniejącą (t.192).

Sytuację tę ma ujawniać i negatywnie oceniać zaproponowana przez autora - teoria krytyczna. Ma być krytyką spektaklu, jego realnych warunków. Zarazem jednak nie oczekuje cudów od klasy robotniczej. „Zakłada ona nowe sformułowanie oraz realizację proletariackich wymagań jako przedsięwzięcie długofalowe” (t.203). Owa teoria krytyczna nie może istnieć bez swojej praktyki (t.203). Powinna się przekazywać w swym własnym języku. Miałby to być język dialektyczny - język sprzecznosci, zarówno w swej formie, jak i treści. Język ten „nie jest negacją stylu, ale stylem negacji” (t.204).

Aby zrozumieć spektakl nie można zapomnieć także i o tym, że jest on zmaterializowaniem się ideologii; ideologii, która odniosła sukces dzięki produkcji ekonomicznej. Spektakl „miesza w praktyce rzeczywistość społeczną z ideologią, której udało się dopasować całą realność do swojego modelu” (t.212). Ta zmaterializowana ideologia pozostaje bez nazwy, nie ma też określonego programu historycznego. Sprowadza się zdaniem autora do konstatacji, że „historia ideologii jest skończona” (t.213).

Jednostka charakteryzuje się w świecie nowoczesnego kapitalizmu swoistym autyzmem (t.217,218). Zdaniem Deborda stanowi to konsekwencję wcielenia w życie [każdego] systemu ideologicznego. Prowadzi to do „zubożenia, podporządkowania i zaprzeczenia rzeczywistego życia” (t.215). Spektakl jest zatem „materialnym <<wyrazem rozdzielenia i oddzielenia człowieka od człowieka>>” (t.215). Bierne znoszenie tego losu, codziennej obcości prowadzi nieuchronnie do szaleństwa.



że tak naprawdę to system jest w porządku, zawiedli tylko ludzie.

Poglądy Deborda wyrastają z niezadowolenia, niezgody na dehumanizację człowieka. Ostrze swojej krytyki kieruje nie tylko wobec kapitalizmu, ale również wobec nieodpowiedzialnych pomysłów przewodowy tego systemu. Autor nie boi się atakować Lenina, Trockiego, Mao, a nawet anarchizmu. Zauważa bowiem, że jakkolwiek nieprzemysłowa próba doprowadzenia do zmiany społecznej szybko może się przeobrazić w nowe zniewolenie (jak to miało miejsce w przypadku bolszewizmu). Jednocześnie Debord nie zgadza się również na istniejący porządek rzeczy. Nowe niewolnictwo może wyglądać lepiej i jest, dzięki obfitości towarów, bardziej znośne, ale pozostaje tylko i wyłącznie niewolnictwem. Współczesny proletariusz płaci wysoką cenę za to, że udostępniono mu miejsce przy stole (mimo, że dostaje z niego i tak resztki) - otóż musi on bezwzględnie podporządkować się logice ekonomii, ograniczyć swoje pragnienia, marzenia... System-spektakl myśli zaś w gospodarczych kategoriach zysku-straty. Ci, którzy są dla niego zbędni przestają w zasadzie istnieć, spychani są na margines.

Debord chce, aby ludzie rzucili w końcu kajdany. Jego zdaniem aktualny poziom rozwoju sił wytwórczych społeczeństwa pozwala na to, aby ludzie oddali się samorealizacji, zabawie. Zamiast pracy proponuje "spełnianie się". Pociągałoby to za sobą zmiany w osobowości, psychice. Podporządkowane, sztywne, nienasycone i często gdzieś w głębi nieszczęśliwy człowiek wreszcie wchodzi na drogę rozwoju. Nie oznacza to natychmiastowego szczęścia. Trzeba zauważyć jednak, że droga wolności, samorealizacji i spontaniczności jest zdecydowanie lepsza od biernych pozycji "widza" w systemie. Innymi słowami, autor proponuje ruch, aktywność, bez których nie ma niezależności, w przeciwieństwie do bezruchu, bierności, proponuje życie przeciw nie-życiu.

W jego rozważaniach szczególne miejsce zajmuje poszukiwanie podmiotu historycznego, od którego mogłyby rozpocząć się zmiany. Uważa, że taką rolę powinna pełnić klasa robotnicza. Debord próbuje określić jej współczesny charakter. Zauważa, że w ciągu stu lat miało miejsce wiele negatywnych zjawisk rozbijających jedność ruchu robotniczego. Do tych czynników zaliczyć można: zdradę teoretyków-ideologów, bankructwo ideowe socjaldemokracji, bolszewizm (szerzej cały ruch komunistyczny), czy wreszcie "zburzanie robotników. Kim są zatem współcześni proletariusze? Sądzę, że odpowiedź na to pytanie ukazuje słabe strony teorii Deborda. Nie potrafi bowiem skonkretyzować, czym jest nowy proletariat i czy w ogóle coś takiego, w sensie klasowym, istnieje. Dla niego, tak przynajmniej mi się wydaje, współczesnymi przedstawicielami klasy robotniczej stają się zarówno pracownicy fizyczni, jak i pracownicy umysłowi zatrudnieni w usługach. Jak zauważa autor "Społeczeństwa..." również i do tego sektora przenik-

nęła logika pracy fabrycznej. Nawet, jeżeli zgodzimy się z tym niezbyt precyzyjnym określeniem klasy, to i tak musimy zauważyć, że jest to tylko klasa-w-sobie, klasa, która nie posiada świadomości swej odrębności, i co więcej nie nie wskazuje, aby taką świadomość w najbliższym czasie uzyskała. Okazuje się też, że książka Deborda ma niewielki wpływ na ruch robotniczy. Pomimo zarzutów autora skierowanych pod adresem niektórych intelektualistów (m.in. Lukaksa), jakoby pozostawali oni na zewnątrz tego ruchu, to również i on sam zajmuje identyczną pozycję. Debord od początku był przekonany, że jego utwory będą miały charakter elitarny i trafią do wąskiej grupy odbiorców. Stąd też idee tego sytuacjonisty okazały się wpływowe w zasadzie tylko w środowiskach studentów, artystów, czy intelektualistów.

Moim zdaniem zasługą Deborda jest to, że jego krytyka nie personalizuje kapitalizmu, nie utożsamia go z konkretnymi osobami, burżujami. Za błędy tego systemu oskarża przede wszystkim charakterystyczne dla niego mechanizmy, nieodłącznie związane z maksymalizacją zysków. Konkurencja zmusza do doskonalenia procesów zarządzania, produkcji, reklamy. To zaś wymaga coraz większej dyscypliny, którą kapitalizm narzuca pracownikom. W tym samym czasie, odczuwamy tak silnie zniewolenia. Wydaje nam się, że jesteśmy bardziej wolni. To, zdaniem Deborda, właśnie dzięki przetrwaniu polepszonemu możemy bez wątpliwości przyjmować świat iluzji - świat spektaklu. Wybór ogranicza się do wyboru Coca-Coli bądź Pepsi, McDonalda bądź KFC, itd. Pozostajemy w każdej chwili niewolnikami systemu.

To co zadziwiające jest u Deborda, to jego wiara i optymizm, z jakimi podchodzi do jakościowej zmiany społeczeństwa. Zakłada bowiem, że ludzie, uświadomiwszy sobie charakter spektaklu, podejmą walkę ("rewolucję") o bardziej godne i szczęśliwe życie. Autor nie bierze pod uwagę faktu, że wcale tak być nie musi. Czasami łatwiej jest żyć w iluzji, niż zmagać się z ciężarem prawdy. Poza tym wolność i związana z nią odpowiedzialność dla niektórych bywają zbyt dużym obciążeniem. Mimo wszystko mam nadzieję, że kiedyś nastąpi czas, gdy ludzie będą mogli się spełniać, realnie żyć.

Lukasz Kutylko

Przypisy

1. Piotr Rymarczyk „Polscy anarchiści wobec kapitalizmu” w „Lewą Nógą” nr 10, s.119
2. Anka Ptaszkowska „Posłowie od tłumacza”, w „Społeczeństwo spektaklu”, s.119
3. Ibidem
4. Wszystkie przypisy ze „Społeczeństwa...” pochodzą te same książki, wydanej przez Wyd. „słowo/obraz terytoria”, Gdańsk, 1998.
5. M. Kwaterko „Przyczynek do ostatecznej krytyki ekonomii politycznej”, „Rewolta” nr 8

Człowiek ucieka do technik magicznych, do iluzji. Jego odpowiedzią na komunikację bez odpowiedzi staje się konsumpcja towarów. „Potrzeba naśladowania, której doznaje konsument, wiąże się ze zdziwieniem, spowodowanym przez wszystkie aspekty jego funkcjonalnego wywłaszczenia” (t.219).

Debord proponuje zerwanie z materialnymi podstawami odwróconej rzeczywistości, z ekonomią, która jest celem sama dla siebie. Na tym, jego zdaniem, polega „samowyzwolenie naszej epoki” (t.221).

Poglądy Guya Deborda, przedstawione przeze mnie powyżej, stanowią bezkompromisową i radykalną krytykę współczesnego systemu kapitalistycznego. Autor sięga do samych źródeł teorii krytycznej, inspiruje go anarchizm oraz marksizm.

Debord przedstawia inny obraz systemu, niż ten, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Neoliberalne gloryfikacje kapitalizmu zazwyczaj przemilczają jego negatywne skutki, a jeżeli już nawet o nich wspominają, to wszelkie patologie, jego dysfunkcje spisują na barki społeczeństwa. Stąd już niedaleko do sformułowania,

Sergio Rodríguez Lascano

Marsz zapatystów Rzeka podziemna z oczkami na wodzie

Wierzba kryształowa, topola wodnista,
wysoka fontanna, którą wiatr ugina,
mocno osadzone, lecz tańczące drzewo,
bieg rzeki, która zakręca,
napiera, cofa się, okrężną drogą obiera
i zawsze dociera.

Octavio Paz, Kamień słoneczny

Gdy 2 grudnia 2000 r. zapatysty ogłosili, że pojadą do miasta Meksyk, aby z jednej strony prowadzić dialog ze społeczeństwem obywatelskim, a z drugiej z Kongresem Stanów Zjednoczonych Meksyku i przekonać ustawodawców do dobrego uczynku, jakim byłoby uchwalenie ustawy o prawach i kulturze Indian, największy nawet optymistą nie mógł przewidzieć ogromnego sukcesu tej mobilizacji.

Najpierw organiczni intelektualiści władzy (wśród nich spadkobiercy tego wszystkiego, co najgorsze w myśli Octavio Paza i niczego, co w niej najlepsze w dziedzinie poezji i eseistyki) sfabrykowali pogłoskę, że Armia Wy-

zwolenia Narodowego im. Emiliano Zapaty (EZLN) nie tylko straciła niewielką siłę społeczną, na jaką mogła liczyć w skali ogólnokrajowej, ale i roztrwonila tę siłę, jaką posiadała wśród samych Indian. Jedyne realistyczny scenariusz, jaki ich zdaniem pozostawał zapatystom, a w szczególności wicekomendantowi powstańcemu Marcosowi, przewidywał kapitulację. W kolegialnym kierownictwie tego ruchu – Indiańskim Podziemnym Komitecie Rewolucyjnym - Komendzie Głównej EZLN – Marcos sprawuje dowództwo wojskowe. Jedno ze środowisk w otoczeniu nowego prezydenta republiki przychyliło się ku takiej hipotezie, toteż sprzyjało działaniom mającym wykazać, że marsz zapatystów nie ma sensu. Początkowo sam prezydent Vicente Fox unikał zajęcia jasnego stanowiska. Zaprojektował jednak politykę medialną, która miała przekonać ludzi do jego dobrej woli. Przez cały czas, od 3 grudnia 2000 do końca stycznia 2001 r., było oczywiste, że wywiera o-n presję, która ma zapobiec marszowi. Chodziło mu o osiągnięcie jednego z dwóch celów: albo o to, aby uniemożliwić marsz nakładający zapatystów do refleksji, że ze względu na masowe poparcie, jakim nowy prezydent cieszy się w

społeczeństwie, marsz może zakończyć się fiaskiem – wyniki kilku sondaży, którymi usiłuje się dziś zastąpić wszelką możliwość debaty i wyrażania opinii, wskazywały, że Fox ma poparcie 80% społeczeństwa, podczas gdy EZLN i Marcos tylko 17% – albo przekonać ich, że w tak wyraźnie niekorzystnej sytuacji pozostaje im jedynie możliwość rokowań z Foxem – ten facet ma obsesję, aby sfotografować z Marcosem – oraz podpisanie podczas spektakularnej ceremonii pokoju, a także – choć brzmi to komicznie – nakłonienie Marcosa, aby przyjął jakieś stanowisko w rządzie.

ZACZYNA SIĘ MARSZ GODNOŚCI INDIAŃSKIEJ

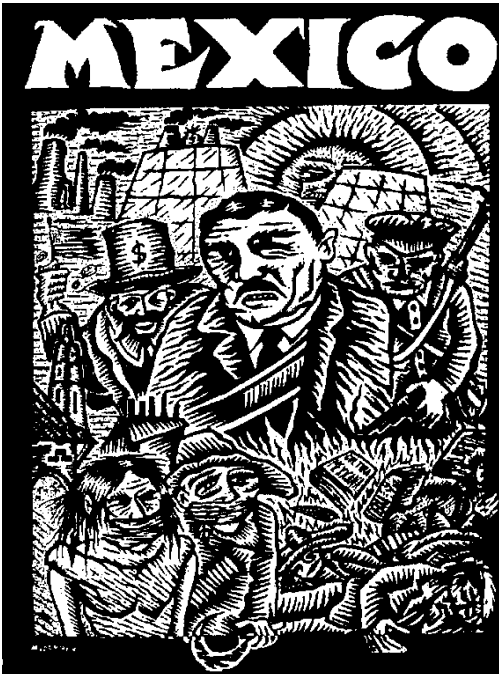
Spokojna wędrowka gwiazdy lub wiosna nieśpieszna,
Woda, która z zamkniętymi powiekami
Całą noc tryska prococtwami.

Octavio Paz, Kamień słoneczny

24 lutego, podczas pełni księżyca, w San Cristóbal de las Casas w stanie Chiapas zebrało się 20 tysięcy Indian, aby

pożegnać się z dwudziestoma trzema komendantami i komendantkami EZLN oraz z wicekomendantem Marcosem. Na wiecu Marcos nazwał tę mobilizację Marszem Godności Indiankiej. Zapatyści mieli do przebycia trzy tysiące kilometrów. Im dalej jechali, tym większe i bardziej bojowe czekało ich powitanie. Nawet w takich miastach, jak Orizaba i Puebla, w których dominuje prawica, reakcja społeczeństwa była niezwykła. W Orizaba czy to w wiecu, czy w powitaniu na ulicach udział wzięła ogromna większość mieszkańców.

Po drodze rozmaite ludy indiańskie przekazywały zapatystom swoje laski wodzowskie. Z dnia na dzień stawało się



jasne, że poza zapatystami nie ma żadnej innej siły indiańskiej, z którą rząd mógłby prowadzić alternatywne dyskusje. Zapatystom udało się doprowadzić do sytuacji, w której jedynym wiarygodnym partnerem rządu stał się Indianki Kongres Narodowy (powstał o-n, gdy EZLN zaprosiła przedstawicieli ludów indiańskich, aby służyli jej za doradców w rokowaniach z rządem). Narodowości indiańskie okazywały się teraz nie tylko spójnym podmiotem społecznym – dysponowały organem, który ich reprezentował.

Rządząca prawica meksykańska, skupiona w Partii Akcji Narodowej (PAN, partia Foxa), najwyższe sfery przedsiębiorczości i hierarchia Kościoła katolickiego rozpięły nową, historyczną kampanię antyzapatystowską. PAN ogłosiła ustami swoich najwybitniejszych ustawodawców, że zapatystów nie można przyjąć w Kongresie, bo noszą kominiarki i są przestępcami, a jeśli już miałoby do tego dojść, to tylko pod warunkiem, że uprzednio spotkają się z Foxem. Niektórzy z nich ostrzegli nawet karawanę, że lepiej będzie nie przechodzić przez te stany, które kontrolują, bo może się to źle skończyć. Takie pogrożki wywoływały nastroje powszechnej solidarności z zapatystami. Prawica, mająca za sobą dopiero co odniesiony sukces wyborczy i przekonana o bardzo dużym konsensusie społecznym, jaki ją otacza, nie mogła uwierzyć w to, co działo się na jej oczach. Oto na ulicach i placach w miastach nie tylko pojawili się jacyś plugawy Indianie, ale na domiar złego byli owacyjnie witani i postrzegani jako najlepszy odczynnik, który pozwala sprawdzić, czy po utracie władzy przez Partię Rewolucyjno-Instytucjonalną (PRI) w Meksyku rzeczywiście przystępuje się do budowy demokratycznego państwa.

NURIO – MOBILIZACJA ZAMIENIA SIĘ W MARSZ BARWY ZIEMI

*Obecność niczym śpiew porywczy,
Niczym wicher śpiewający śród pożogi,
Spajrzenie, które do góry umosi
Świat cały, morza i góry.”*

Octavio Paz, Kamień słoneczny

Nurio to mała miejscowość na Płaskowyżu Tarasków, na

zachodzie Meksyku. Mieszka tam 30 tysięcy Indian Purépecha – jest to jedna z 53 indiańskich grup etnicznych żyjących w naszym kraju. Około 6 tysięcy przedstawicieli rozmaitych narodowości indiańskich brało tam udział w swoim trzecim kongresie. Zjechali się delegaci społeczności indiańskich z całego kraju – nawet społeczności z północy, które nigdy nie brały udziału w Indiankim Kongresie Narodowym. W Nurio delegaci ludów indiańskich Meksyku postanowili udać się wraz z zapatystami do Kongresu federalnego i poparli postulat uchwalenia ustawy o prawach i kulturze Indian. Na scenę wkroczyli więc narodowości indiańskie i diabli wzięli wszelkie strategie i taktyki władzy państwowej i partii politycznych.

W komunikacie odczytanym na spotkaniu międzynarodowym, w którym uczestniczyli m.in. José Saramago, Manuel Vázquez Montalbán, Bernard Cassen i Alain Touraine, wicekomendant powstańczy Marcos dał jasno do zrozumienia, jak zapatyści mają zamiar postąpić w tej koniunkturze politycznej. Opowiedział taką oto anegdotę: „Grupa szachistów jest zaprzęgnięta ważnym meczem na wysokim poziomie. Wchodzi Indianin, przygląda się i pyta w co grają. Nikt mu nie odpowiada. Indianin podchodzi do stolika i obserwuje położenie figur, poważnie i posępne twarze szachistów, wyczekującą postawę tych, którzy ich otaczają. Powtarza pytanie. Jeden z graczy postanawia pofatygować się z odpowiedzią: «To coś, czego nie byłbyś w stanie zrozumieć – gra poważnych i mądrych ludzi.» Indianin milczy – dalej obserwuje szachownicę i ruchy zawodników. Po pewnym czasie zbiera się na odwagę i pyta: «Po co o-ni grają, jeśli już wiadomo, kto wygra?» Ten sam zawodnik, który poprzednio odezwał się do niego, mówi: «Nigdy tego nie zrozumiesz, to gra dla fachowców, niedostępna dla twojego umysłu.» Indianin nie odpowiada. Nadal przygląda się, a następnie wychodzi. Po chwili wraca z jakimś przedmiotem. Podchodzi bez słowa do stolika i stawia na środku szachownicy stary, zablozony but. Zbici z tropu zawodnicy spoglądają nań zrytowani. Indianin uśmiecha się chytrze i pyta: «Szach?»”

W Nurio Indianie meksykańscy postanowili, że nadszedł czas, aby wziąć udział w życiu politycznym kraju, że należy wystąpić przed całym społeczeństwem z postulatami dotyczącymi ich praw i że trzeba uczynić to również przed meksykańską „klasą polityczną” – jedną z najgorszych na świecie, o ile w ogóle można dokonać tego rodzaju ryzykownego porównania.

Część polityków meksykańskich i ich skrybów zacierała ręce – EZLN i narodowości indiańskie miały wreszcie wkroczyć na teren, którego nikt tak dobrze nie zna, jak o-ni. Zapatyści wyszli wraz z ludami indiańskimi ze swoich społeczności, znaleźli się w otwartym polu i co gorsza chcieli wystąpić w Kongresie federalnym, którego procedury i normy znane są jedynie garstce wtajemniczonych. Politycy ci wychodzili z założenia, które wcale nie było nieracjonalne, że gdy ruchy powstańcze i rewolucyjne wchodzi na drogę pokojową, tym samym wchodzi nieubłaganie w kontakt z konstrukcją polityczną, która w końcu czyni z nich zakładników tego, z czym walczyły. Zapatyści zapowiadali wyraźnie dla tych, którzy chcą ich czytać, że wolą pójść nieznaną drogą – pozostać siłą powstańczą niezależnie od tego, czy pozostanie o-na pod bronią, czy też ją złoży. W tym celu muszą oczywiście i nieodwołnie zerwać z tradycyjnym pojmowaniem polityki. Ze swoją zwyczajową skromnością zapytali meksykańską „klasę polityczną”: szach? Ta „klasa polityczna”, przyzwyczajona, że wszyscy przyglądają się, jak gra we własnym gronie nie tylko nie pozwalając nikomu innemu włączyć się do gry, ale nawet nie wyjaśniając jej reguł, nie mogła zrozumieć, dlaczego nagle dziesiątki tysięcy Indian meksykańskich, reprezentujących miliony pobratymców i popieranym przez miliony Meksykanów nie będących Indianami, stawiają na szachownicy zablozony but i szachują instytucje państwa. Za chwilę do tego powrócimy.

COKÓŁ 1914-2001 – OBSESYJNE DNI OKRĘŻNE

*Och, życie, aby żyć i życie już przeżyte,
czas, który płynie na wysokiej fali
i zwraca nie patrząc za siebie,
co było tego nie było, ale jest.*

Octavio Paz, Kamień słoneczny

Armia Wyzwolenia Narodowego im. Emiliano Zapaty i Indianki Kongres Narodowy, idąc dokładnie tą samą

drogą, którą w 1914 r. do miasta Meksyk wkroczył ze swoją Armią Wyzwolenia Południa Emiliano Zapata, dotarli na Cokół. Od Xochimilco po Cokół na ulice wyszły im na powitanie setki tysięcy ludzi. Niektórzy oceniają, że było ich około pół miliona. Punktem kulminacyjnym marszu zapatystów było ich wejście na plac centralny, na którym zgromadziło się ponad 350 tysięcy osób – wiele przybyło już poprzedniego dnia (około 30 tysięcy spędziło tam noc), inne przybyły o dziewiątej rano i w trzydziestostopniowym skwarze czekało do trzeciej po południu, aż rozpocznie się wiec.

W ciągu całego marszu EZLN inaugurowała nową metodę zwalczania masowych zgromadzeń – nigdy nie podawała, o której godzinie się rozpoczną ani nie informowała zawczasu o trasie przemarszu karawany, a mimo to tysiące i dziesiątki tysięcy obywateli dowiadywały się, gdzie przebiega trasa i były obecne na ulicach, bo słuchały radia.

Na Cokole zapatyści osiągnęli pierwszy cel – centrum krajowej sceny politycznej zajął w owej chwili jedyny ruch społeczny, który nie jest kontrolowany ani przez stare, korporacyjne powiązania, stworzone w ciągu wielu dziesięcioleci niepodzielnych, monopartyjnych rządów Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej, ani przez nowe, ale równie korporacyjne więzi z Partią Rewolucji Demokratycznej (PRD), ani przez dynamikę „użytecznego głosowania”, które gwoździ pokonania PRI wyniosła do władzy Foxa. Tym jedynym ruchem jest ruch indiański. Na wiecu zapatyści mówili nie tyle o konieczności uchwalenia ustawy o prawach i kulturze Indian, ile o czymś, co w klasycznych kategoriach myśli lewicowej kojarzy się z wizją strategiczną. Wyjaśnili w prostych słowach, dlaczego nie są awangardą, dlaczego nie są tak nieodpowiedzialni, aby wzywać do powszechnego powstania, na gruncie czego i jak buduje się ruch społeczny, który jest wytworem długiego doświadczenia życiowego (E.P. Thompson byłby szczęśliwy, gdyby mógł być na tym wiecu) i jak ich własny, indiańsko-zapatystowski ruch społeczny „zakreca, napiera, cofa się, okrężną drogą obiera i zawsze dociera”. W niezwykłym przemówieniu, które zbiło z pantałyku wielu polityków prawicowych i lewicowych, EZLN głosem swojego wicekomendanta stwierdziła co następuje: „Jesteśmy zwierciadłem. Jesteśmy tu po to, aby zobaczyć się i pokazać, abyś się nam przyjrzał, abyś przyjrzał się sam sobie, aby ktoś inny przejrzał się w naszych oczach.



Tu jesteśmy i jesteśmy zwierciadłem. Nie rzeczywistością, a jedynie odbiciem. Nie światłem, a jedynie odbłaskiem. Nie drogą, a jedynie paroma krokami. Nie przewodnikami, a tylko jednym z wielu kierunków, które wiodą w dzień jutrzejszy. (...) Mówią, że jesteśmy, mówimy też, że nie jesteśmy i nie będziemy. (...) Nie jesteśmy tymi, którzy dążą do przejęcia władzy i mając władzę chcą narzucić tempo i słowo – i nimi nie będziemy. Nie jesteśmy tymi, którzy ustalają cenę własnej lub cudzej godności i czynią z walki rynek, na którym polityka to zajęcie domokrażców konkurujących nie o projekty, lecz

o klientów – i nimi nie będziemy. (...) Nie jesteśmy kimś, kto naiwnie oczekuje sprawiedliwości z góry, bo ta rośnie tylko od dołu, tak jak wolność, którą osiąga się tylko razem ze wszystkimi, demokracja, która istnieje tylko na wszystkich piętrach i o którą trzeba bez przerwy walczyć – i kimś takim nie będziemy. (...) Nie jesteśmy przejściową modą, czymś, co się nuci i składa do archiwum w postaci kalendarza kłesk, które ten kraj obnosi z nostalgią – i nią nie będziemy. (...) Nie jesteśmy tymi, którzy w dniu jutrzejszym wyrażą skruchę, którzy stają się jeszcze bardziej groteskowym wizerunkiem władzy, symulują «roztropność» i «ostrożność» tam, gdzie jest tylko kupno i sprzedaż – i nimi nie będziemy. (...) Możemy chodzić z odsłoniętą lub zasłoniętą twarzą, uzbrojeni lub z gołymi rękami, ale jesteśmy i zawsze będziemy zapatystami. Dziewięćdziesiąt lat temu ludzie potężni pytali człowieka z dołu – nazywał się Zapata: «Jakim prawem, panowie?» My – ci, co na dole – odpowiedzieliśmy i odpowiadamy: «Naszym własnym.» Naszym prawem dokładnie dziewięćdziesiąt lat temu rzuciliśmy hasło i nazywamy się «buntownikami».

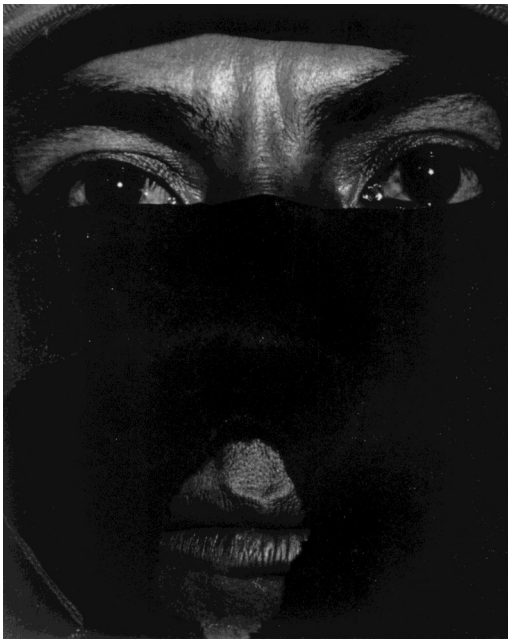
W swoim długim życiu działacza politycznego widziałem wkroczenie powstańców sandinowskich do Managui, strajki ogólnokrajowe w Peru, straszny marsz głodowy górników i ich rodzin – kobiet, dzieci, starców – z Oruro do La Paz w Boliwii, kilka strajków generalnych w Ekwadorze, zwycięstwo Mitterranda we Francji (które tak wielu poruszyło), przygotowania łódzkiej „Solidarności” do czynnego strajku generalnego – okupacji fabryk i wznowienia produkcji pod kontrolą robotników – w Polsce, składanie przez partyzantów broni u stóp wulkanu Guazapa po podpisaniu układu pokojowego w Salwadorze, klęskę sandinistów w wyborach w Nikaragui, parę strajków obywatelskich w Kolumbii, kilka kongresów Partii Pracowników w Brazylii, kilka zgrupowań lewicy latynoamerykańskiej na Forum São Paulo. Słuchałem wielkich, płomiennych mówców – Lułę, Hugo Blanco, Daniela Orteę, Rosario Ibarre, Alaina Krivine’a, Fidela Castro, Douglasa Bravo, Eleuterio Fernandez Huidobro, Ernesta Mandela itd. Jednak nigdy nie słyszałem takiego przemówienia wygłoszonego na wiecu z udziałem setek tysięcy osób. Marcos ani razu nie podniósł głosu, nie rzucił żadnego hasła, nie szukał poklasku. To było przemówienie, w którym rozmawiał z 350 tysiącami osób. Mówił do nas tak, jak mówi się wśród nich, bez pośpiechu, spokojnie, tak, jak podobno mówiło się wśród dawnych zapatystów, gdy zbierali się w lesie Ajusco pod miastem Meksyk oczekując na rozkaz zajęcia stolicy, cierpliwie rozpalali ogniska, rozświetlali nimi noc i wokół nich toczyli rozmowy.

W dziewięćdziesiąt lat później nowi zapatysty powiedzieli nam, czym byli, czym są i czym nie będą. Dobrze byłoby, gdyby meksykańska i międzynarodowa lewica socjalistyczna zaczęła im wierzyć. Chodzi o ruch powstańczy, a ja powiedziałbym, że rewolucyjny (uważam, że w tej sprawie konieczna jest dyskusja z towarzyszami z EZLN), który nie działa celem zdobycia władzy – nie z jakichś względów taktycznych ani nie dlatego, że nie może, ale dlatego, że nie chce, a nie chce z bardzo głębokiego, bardzo zapatystowskiego powodu. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle (wydaje mi się, że dobrze), ale nie to jest ważne. Jeśli ktoś chce dokonać analizy zapatyzmu, musi wziąć na serio to, co mówią o sobie sami zapatysty. Na nic nie zda się występowanie w roli czerwonych profesorów i mówienie z wyżyny, na jaką wyniosły nas lata porażek, co powinni czynić – że ich marsz to bardzo dobra rzecz, ale nie wystarczy walczyć ani stawiać oporu, bo trzeba mieć alternatywę programową, że nie rozumieją, iż Indianie nie mogą zmienić kraju ani świata i trzeba, aby podporządkowali się klasie robotniczej. Czy – bardziej naiwnie – prosić ich, aby przeobrażili się w partię polityczną, bo to już szczyt, dowód, że nie się nie rozumie. Czy lamentować, że nie istnieje niezależna organizacja, która byłaby pomostem między zapatyzmem a socjalizmem, między ruchem indiańskim a innymi ruchami społecznymi, jak czynią to ci, którzy klepią za prasą ogólnokrajową, że rzekomo nie istnieje cywilny Front Wyzwolenia Narodowego im. Emiliano Zapaty, bo nie zdają sobie sprawy z czegoś, co również jest tak bardzo zapatystowskie – że działa się nie szukając światła reflektorów i uznania, ale się działa.

Zapatyzm jest czymś zupełnie innym (jakby powiedzieli sami zapatysty), ani lepszym, ani gorszym (jakby sami powiedzieli) – po prostu odmiennym. Echo, z jakim odbija się ich dyskurs i sposób stawiania spraw, powinny skłonić lewicę meksykańską – która jest poza zapaty-

zmem – i międzynarodową do refleksji nad znaczeniem tego nowego wyrazu myśli emancypracyjnej.

Na Cokole miasta Meksyk zapatyzm indiański powiedział swoje, uczynił to bez teatralnych póz, bardzo prosto, jasno i prawie potajemnie. Było nas tam 350 tysięcy i zachowaliśmy ciszę, jaka nigdy nie panowała na żadnym wiecu. To był i jest dyskurs, który zmusza do refleksji i dyskusji. W obrazie swojego zwierciadła obecny zapatyzm odzwierciedlił dawny.



PARA CZARNYCH OCZU NA NAJWYŻSZEJ TRYBUNIE W PAŃSTWIE

Oblicze w płomieniach, oblicze pożarte, prześladowane oblicze młodzieńcze lata widmowe, dni okrężne wychodzą na to samo patio, tę samą ścianę, płonie chwila i jedno stanowią oblicze kolejne oblicza płomienia, wszystkie imiona są jednym imieniem, wszystkie oblicza są jednym obliczem, wszystkie wieki są jedną chwilą i na wieki wieków oczu para staje na drodze ku przyszłości.

Octavio Paz, Kamień słoneczny

Wbrew stanowisku Senatu, 220 głosami przeciwko 210 Izba Deputowanych postanowiła zaprosić komendantów EZLN na „najwyższą trybunę w państwie”. Bardzo szczególnie (jak niemal wszystko w Meksyku) sojusznicy Partii Rewolucji Demokratycznej, Partii Rewolucyjno-Institutionalnej, Ekologicznej Partii Zielonych Meksyku (która poparła w wyborach Foxa, a jej osobliwość polega na tym, że nie jest partią ani nie jest zielona, ekologiczna i meksykańska) i innych małych partii udało się doprowadzić do zaproszenia zapatystów. Niektórzy najbardziej związani z poprzednim reżimem czy wywodzący się ze sfer wojskowych posłowie PRI głosowali oczywiście przeciwko (ci pierwsi) lub wstrzymali się od głosu (ci drudzy). Między tym głosowaniem a pojawieniem się EZLN i Indiańskiego Kongresu Narodowego w Izbie Deputowanych minęło sześć dni. W mediach trzęsło się od najbardziej zwariowanych hipotez w sprawie postawy, jaką zajmą w parlamencie komendanci EZLN, a w szczególności jak się zachowa „Wice”. Jedne popierały przewidywania PAN co do treści przemówienia Marcosa. Inne zapowiadały, że podczas swojego wystąpienia Marcos zdejmie wreszcie kominiarkę. Napiecie rosło i trzy stacje telewizyjne – wszystkie prywatne – zapowiedziały transmisję na żywo. Dołączyły do nich trzy radiostacje. Transmisja na żywo z parlamentu trwała siedem godzin. Od samego rana zapanowało zamieszanie, bo „Wice” nie zjawił się u bram Izby Deputowanych. Prezentery telewizyjni wieścieli, że widzowie będą rozczarowani. Niektórzy parlamentarzyści okazali irytację – pewien senator z PRD oświadczył: „Mam dość gwiazdorstwa Marcosa.” Bodaj po raz pierwszy w dziejach oskarżono kogoś o gwiazdorstwo dlatego, że nie pojawił się na scenie.

Zapatysty wykonali ostatni, bardzo skuteczny ruch, który zmienił układ sił w kraju. Ku powszechnemu zaskoczeniu,

w imieniu EZLN główne przemówienie wygłosiła w parlamencie Indianka – komendantka Esther. Oświadczyła: „Wicekomendant powstańczy Marcos jest właśnie wicekomendantem. My jesteśmy komendantami i wspólnie kierujemy okazując posłuszeństwo naszym ludom. (...) Ta trybuna to symbol. Dlatego wybuchła taka polemika. Dlatego chcieliśmy z niej przemówić i dlatego niektórzy nie chcieli, abyśmy tu się znaleźli. Symbolem jest również i to, że to ja, biedna kobieta, Indianka i zapatystka, pierwsza zabieram głos i przekazuje centralne przesłanie zapatystów.” Zwracając się do tych posłów, którzy zbytkotowali posiedzenie, oświadczyła: „Na tej trybunie nie stoi dowódca wojskowy armii powstańczej. Niech tym, którzy są tu nieobecni, będzie wiadomo, że odmówili wysłuchania tego, co przyszła powiedzieć im kobieta indiańska i że odmówili zabrania głosu, abym mogła ich wysłuchać. Mam na imię Esther, ale to nie ma teraz znaczenia. Jestem zapatystką, ale to również nie ma teraz znaczenia. Jestem Indianką i kobietą – i tylko to ma teraz znaczenie.” Esther uzasadniła inicjatywę ustawodawczą Komisji Kongresu Federalnego na rzecz Ugody i Przywrócenia Pokoju (COCOPA) – projekt prawa indiańskiego, wynegocjowany przed laty z EZLN podczas dialogów w San Andrés. „Zarzuca się tej propozycji, że zmierza do balkanizacji kraju, a zapomina się, że kraj jest już podzielony. Jeden Meksyk wytwarza bogactwa, drugi je sobie przywłaszcza, a trzeci musi wyciągać rękę po jałmużnę. Zarzuca się tej propozycji, że zmierza do tworzenia rezerwatów indiańskich, a zapomina się, że my, Indianie, żyjemy oddzielnie, odseparowani od reszty Meksykanów, a co więcej – że zagraża nam wyginięcie. Zarzuca się tej propozycji, że promuje zacofany system prawny, a zapomina się, że obecny promuje jedynie konfrontację, karze biedaka i zapewnia bezkarność bogaczowi, potępia barwę naszej skóry, a z naszych języków czyni przestępstwo. Zarzuca się tej propozycji, że zmierza do stwarzania wyjątków w życiu politycznym, a zapomina się, że obecnie nie kto rządzi nie rządzi, lecz czyni ze swojego urzędu publicznego źródło osobistego bogactwa i wie, że jest bezkarny i nietykalny.”

Była to fiesta Indian meksykańskich i nie nie mogło jej zakłócić. W domach, zakładach pracy, na ulicach, w sklepach, w samochodach miliony Meksykanów były świadkami niesłychanego wydarzenia historycznego – z „najwyższej trybuny w państwie” przemawiali Indianie, pokazywali korzyści płynące z autonomii dla Indian i sami kwestionowali zwyczaje i obyczaje indiańskie, które marginalizują kobiety i pozwalają stosować wobec nich przemoc, ale przypominali posłom z PAN i PRI, że w zwyczajach i obyczajach całego kraju też istnieje marginalizacja kobiet i przemoc wobec nich. Mówili, że Indianie mają prawo być odmienni, inaczej się ubierać, mówić innymi językami, mieć inną kulturę, ustanowić inne niż dotychczas stosunki z resztą narodu meksykańskiego. Mówili nam wcale tego nie mówiąc, że bez swoich Indian Meksyk nie ma przyszłości i że być może jest to ostatnia szansa, aby dość pokojowo zagoiła się otwarta w ciele narodu rana.

O ile przed przybyciem EZLN do Kongresu społeczeństwo było podzielone pół na pół, o tyle po wystąpieniu komendantów i komendantek oraz przedstawicieli narodowości indiańskich skupionych w Indiańskim Kongresie Narodowym, proporcja ta uległa dramatycznej zmianie – większość społeczeństwa opowiedziała się gorąco po stronie ludów indiańskich. Cena, jaką przyjdzie zapłacić partiom przeciwstawiającym się uchwaleniu ustawy o prawach i kulturze Indian, będzie wysoka.

Biedna Indianka meksykańska, zapatystka, a przede wszystkim kobieta wygrała swoim przemówieniem i swoją obecnością bitwę o symbole, a nie należy zapominać, że często jest to centralna batalia, jaką narody staczą w walce o swoją emancypację. Z „najwyższej trybuny w państwie” mówili do nas czarne oczy historii Meksyku – tej historii pełnej rebelii, rewolt i rewolucji; czarne oczy, o których mówi poeta – oczy Cajeme, Caneka, Guerrero, Morelosa, Zapaty, Jaramillo i milionów tych, którzy w ciągu prawie pięciuset lat wznicieli ponad 350 rebelii i trzy rewolucje. Te czarne oczy zamykają drogę prowadzącą w przyszłość – ale taką drogą, która odmawia ich włączenia, przyjęcia takimi, jacy są; biedakami, Indianami lub nie, kobietami, powstańcami, zapatystami. Marcos przyłączył się do ludzi czekających przed Kongresem na komendantów i komendantki EZLN i delegatów na Indiański Kongres Narodowy. Później na bardzo wzruszającym wiecu powiedział na pożegnanie: „Dziękuję, Meksyku. Odchodzimy – naprawdę odchodzimy.” Ludzie

niemal błagali: „Nie odchodźcie.” Młoda dziewczyna mówiła: „Co się z nami stanie, gdy nie będzie zapatystów?” Już kilka dni wcześniej komendant Zebedeo odpowiedział na takie pytania mówiąc: „Odejdziemy, ale nie odejdziemy.” W ciągu całego marszu przedstawiciele zapatystów wyjaśniali niestrudzenie, że nie są awangardą, nie mają zamiaru prowadzić ludu ku świetlanej przyszłości, zapisanej zawczasu w podstawowych dokumentach jakiejś organizacji. Jak powiedział Antonio García de León (wielki historyk, który był jednym z najważniejszych doradców EZLN podczas dialogów w San Andrés, ale później odciął się od zapatystów i po zwycięstwie Foxa stwierdził, że ich postulaty są bezpodstawne, a im samym grozi, iż staną się „anegdota folk”): „1 stycznia [1994 r.] odkryliśmy, że insurekcja jest w nas samych.” Odchodzimy, ale nie odchodzimy znacząco, że nie ma nas i was, że powstańcy są nie tylko w Chiapas, ale w całym kraju.

POWRÓT W CHWALE

Gdy historia śpi, mówi przez sen: na czole uspionego ludu poemat jest krwawym gwiazdozbiorem. Gdy historia się budzi, obraz staje się czynem, dzieje się poemat: do akcji wracają poezja. Zasługuje na to, o czym śnisz.

Octavio Paz, Ku poematowi

Zapatysty osiągnęli swój cel – rozmawiali z ludem Meksyku i zaświadczyli, że nie tylko o nich nie zapomniano, ale że są obecni w dyskusjach i debatach dotyczących budowy demokratycznego Meksyku, że są inną, indiańską prawowitością biedoty meksykańskiej, tymi, których nie pokonano w wyborach, którzy nie postawili wszyskiego na wybory i nie zaprzędzili się korumpującemu systemowi i którzy nie mówią o sobie otwarcie, że są socjalistami, reprezentują pierwotnego ducha socjalizmu – takiego, jakim był, zanim zdeprawowali go socjaliści rynkowi i socjaliści państwowi (zwolennicy dwóch równie nie dających pogodzić się z socjalizmem zbroczeń teoretycznych i praktycznych), a więc tymi, którzy stojąc jeszcze niżej niż ci co na dole, marzą, aby zmienić świat i zasługują na taką zmianę.

PRAWO INDIAŃSKIE: KROK DO PRZODU, DWA KROKI DO TYŁU

Zmiany w kwestii indiańskiej, w Senacie wprowadzone do konstytucji głosami – ku hańbie PRD – wszystkich klubów parlamentarnych, natomiast w Izbie Deputowanych przy sprzeciwie PRD, są bliższe projektu byłego prezydenta Ernesto Zedillo niż projektu COCOPA. Raz jeszcze partie polityczne okazały się nieczułe na postulat Indian, poparty przez miliony Meksykanów nie będących Indianami, aby przyznano im ramy prawne pozwalające osiągnąć dwojaki cel: po pierwsze, uczestniczyć jako cieszący się uznaniem prawnym podmiot w przebudowie państwa narodowego, a po drugie czynić tak za pośrednictwem własnych, ale prawnie znanych mechanizmów regulacji życia społecznego, politycznego, gospodarczego i kulturalnego.

Ustawa jest krokiem do przodu, gdyż zapisano w niej ogólną definicję autonomii i ludu indiańskiego, ale gdy przyszło do konkretniejszych zapisów, natychmiast ją przekreślono lub maksymalnie ograniczono. Co więcej, jeśli porównamy projekty COCOPA i Zedillo z obecną ustawą, to okaże się, że pod pewnymi względami jest o-najeszcze bardziej regresywna niż projekt prezydencki. A więc krok do przodu i dwa kroki do tyłu. Chodzi zwłaszcza o cztery zapisy.

Po pierwsze, w projekcie COCOPA określono społeczność indiańską jako „podmioty prawa publicznego”, podczas gdy w projekcie Zedillo jako „podmiot interesu publicznego” – i tak jest teraz w ustawie. Na czym polega różnica? Otóż na tym, że w ustawie traktuje się społeczność indiańską jak, nie przymierzając, sklepy Narodowej Spółdzielni Ludowej Spożywców (CONASUPO), pozostałość po starym populistycznym państwie meksykańskim – w sklepach tych chłopcy (jeszcze kilka lat temu również biedota miejska, ale już nie) mogą zaopatrywać

się w rozmaite produkty po niższych niż gdzie indziej cenach, z pominięciem prywatnego handlu i pośredników. W art. 2 ustawy czytamy, że „pod względem swojego składu naród jest wielokulturowy, co ma pierwotne oparcie w jego ludach «tubylczych»”. Jak można coś takiego zapisać, a następnie nadać tym ludom taki status prawny, jaki przysługuje sklepom CONASUPO? Reżim meksykański afirmował w ten sposób swoje „powołanie paterna-



listyczne”, którego Indianie mają dość – walczą o to, aby uznano ich wreszcie za podmioty konstytucyjne narodu meksykańskiego, a więc właśnie „podmioty prawa publicznego”.

Po drugie, w projekcie COCOPA zapisano, że Indianie mają prawo do „zbiorowego użytkowania zasobów naturalnych i korzystania z nich na swoich ziemiach i terytoriach, przez które rozumie się ogół zamieszkanego obszaru, użytkowanego i zajmowanego przez ludy tubylcze, z wyjątkiem tych, nad którymi zwierzchnictwo przysługuje bezpośrednio narodowi”. W projekcie Zedillo zapisano, że mają prawo do „użytkowania zasobów naturalnych swoich ziem i korzystania z nich z poszanowaniem form, właściwości i ograniczeń określonych w sprawach własności przez niniejszą konstytucję i ustawy”. W ustawie zapisano, że „z poszanowaniem form i właściwości, określonych w sprawach własności i posiadania ziemi przez niniejszą konstytucję i ustawy, jak również praw nabytych przez osoby trzecie lub przez członków społeczności”, Indianie mają prawo „preferencyjnego użytkowania zasobów naturalnych i korzystania z nich w miejscach, które zamieszkują i zajmują społeczności, z wyjątkiem tych, które w rozumieniu niniejszej konstytucji znajdują się na obszarach strategicznych”. Pojęcie terytorium, które ma kluczowe znaczenie dla definicji autonomii, znikło. W ten sposób maksymalnie ograniczono przestrzeń geograficzną, na której Indianie mieliby korzystać z autonomii. Po trzecie, w projekcie COCOPA zapisano: „Uszanuje się prawo ludów indiańskich do swobodnego stanowienia o sobie w każdej z dziedzin i na każdym z poziomów, w których będą korzystali z autonomii, przy czym będzie o-no mogło obejmować jeden lud indiański lub więcej tych ludów, zgodnie ze szczególnymi warunkami i osobliwściami każdej jednostki federacyjnej. Społeczności tubylcze jako podmioty prawa publicznego i gminy, które uznają swoją przynależność do jakiegoś ludu indiańskiego, będą mogły zrzec się swobodnie celem koordynacji swoich działań.” W projekcie Zedillo zapisano: „Społeczności ludów tubylczych jako podmioty interesu publicznego i gminy zamieszkałe w większości przez tubylców będą miały możliwość swobodnego zrzeszenia się celem koordynacji swoich działań, zawsze przy poszanowaniu podziału polityczno-administracyjnego każdej jednostki federacyjnej.” W ustawie zapisano: „W obrębie gmin społeczności tubylcze będą mogły koordynować się i zrzeszać w formach i w celach określonych w niniejszej ustawie.” To nawet krok wstecz w stosunku do projektu Zedillo, ponieważ znika możliwość zrzeszenia się w skali regionalnej, poza obrębem istniejących gmin, gdy tymczasem jest to jedyna gwarancja odbudowy ludów indiań-

skich po ponad pięciuset latach rozczłonkowania i marginalizacji.

Po czwarte, w projekcie COCOPA zapisano: „Wytuczając granice jednomandatowych okręgów i wielomandatowych obwodów wyborczych należy brać pod uwagę rozmieszczenie ludów tubylczych celem zapewnienia im uczestnictwa w życiu politycznym i reprezentacji na szczeblu ogólnonarodowym.” W projekcie Zedillo zapisano:

„Wytuczając granice jednomandatowych okręgów wyborczych należy brać pod uwagę rozmieszczenie ludów tubylczych celem zapewnienia im uczestnictwa w życiu politycznym i reprezentacji na szczeblu ogólnonarodowym.” W ustawie zapisano: „Wytuczając granice jednomandatowych okręgów wyborczych należy w miarę możliwości brać pod uwagę rozmieszczenie ludów i społeczności tubylczych, aby sprzyjać w ten sposób ich uczestnictwu politycznemu.” Znow to krok wstecz w stosunku do projektu Zedillo. Nie tylko pozbawia się ludy indiańskie, „pierwotne oparcie narodu”, prawa do własnej reprezentacji parlamentarnej za pośrednictwem swoich wielomandatowych obwodów wyborczych, ale co więcej rozmieszczenie ludów tubylczych „należy brać pod uwagę” tylko wtedy, gdy „jest to możliwe”. Wiadomo, co to znaczy.

Zedillo, przedkładając swój projekt prawa indiańskiego, twierdził, że 85% przejął zapisy projektu COCOPA. Szkoła w tym, że pozostałe 15% zapisów miało zasadnicze znaczenie dla sprawy autonomii indiańskiej. O obecnej ustawie można powiedzieć, że przejęto w niej 80% zapisów projektu COCOPA, a więc 5% mniej niż uczynił to Zedillo, ale i tym razem pozostałe 20% zapisów stanowi o istocie autonomii Indian.

Tak więc uchwalono prawo indiańskie, tyle że w żadnej mierze nie rozwiązuje o-no palącej kwestii położenia 10 milionów Meksykanów. Walka o prawa Indian trwa. Po siedmiu latach wojny, mordów, głodu, blokady, militaryzacji, paramilitaryzacji, po setkach spotkań, na których Indianie meksykańscy cierpliwie wyjaśniali, czego naprawdę pragną, senatorzy z lewicy głosowali za ustawą, która prawą ręką zabiera to, co daje lewą. Nie jest to jeszcze jedna pręga na ciele tygrysa – tym razem to linia demarkacyjna. Być może nie zabrzmi to poprawnie w języku „nowej lewicy” (która, rzecz jasna, jest tak stara jak sama lewica), ale pozwól sobie powiedzieć otwarcie: ta linia demarkacyjna oznacza, że albo jest się z ludami indiańskimi, albo jest z uchwalonym przez Kongres federalny prawem indiańskim. Innego wyboru nie ma.

„KLASA POLITYCZNA”: OD RASIZMU BIOLOGICZNEGO DO LĘKU KLASOWEGO

Nowe/stare prawo indiańskie nie tylko odzwierciedla rasizm polityczny dużej części „klasy politycznej” („rasizm biologiczny stara się ustanowić między moim życiem a śmiercią kogoś innego związek, który nie jest tylko wojskowy czy wojenny, ale również biologiczny” – Mauricio Lazzarato, O nową definicję pojęcia biopolityki), ale również nienawiść do EZLN i sposobu, w jaki armia ta pojmuje i uprawia politykę.

W łonie władzy ścierają się dwie linie. Po jednej stronie mamy tych, którzy są przekonani, że najlepszy sposób na pokonanie zapatysty to wciągnięcie go do cywilnej walki politycznej, choćby kosztem pewnych ustępstw w kwestii indiańskiej, bo stawiają na to, że gdy zapatysty pozbędzie się aury wojskowej, dużo straci z swojej siły magicznej. Co więcej, mają o-ni na uwadze doświadczenia licznych latynoamerykańskich ruchów rewolucyjnych, które w procesie przeobrażania się z ruchu wojskowego w cywilny ruch polityczny przystosowały się do działalności w ramach instytucjonalnych i stały się agendami wyborczymi lojalnej opozycji, skorymi do odwzajemniania się klientami państwa, wpisanymi w lapidarne określenie współczesnego teoretyka korumpującego państwa meksykańskiego, Jesusa Reyesa Herólesa: „kto się opiera, ten popiera”.

Po drugiej stronie mamy tych, którzy uważają, że za wszelką cenę należy uniemożliwić EZLN wyjście z podziemia i cyrkulację po całym kraju – to ci, którzy mówili, że zamkną w domu swoje rodziny, dopóki EZLN będzie przebywała w mieście Meksyk, ci, którzy oskarżyli EZLN, że „służą ciemnym interesom”, ci, którzy w grudniu 1996 r. oświadczyli, że nie można uchwalić projektu ustawy COCOPA, ponieważ jej uchwalenie byłoby czymś w rodzaju „wpuszczenia kozła do wyborczego sklepu z kryształami” i którzy w kwietniu 2001 r. uchwalili prawo indiańskie wiedząc, że dla zapatyzmu i Indiańskiego Kongresu Narodowego jest o-no nie do przyjęcia. Można powiedzieć, że raz jeszcze wygrało to drugie środowisko meksykańskiej „klasy politycznej” (do którego należy większość przywódców i „przedstawicieli ludu” z PRI, PAN i PRD).

Podobnie jak to było w grudniu 1996 r., usiłuje się zmusić EZLN do pozostania w błękitnych górach stanu Chiapas – w podziemi. Jak widać, dostępna jedynie dla wtajemniczonych „manna państwa” nie doznała uszczerbku. „W tajemnicy państwowej obiektywizuje się raz jeszcze, w sposób namacalny, a zarazem niematerialny, dawna manna rozdawana przez wodzów plemiennych i królów-kapłanów – to par excellence sekret władzy. Jego obecność wywołuje fale głębokiego szacunku, a jego ujawnienie – histeryczne oburzenie. W fazie upadku, w jakiej się znajduje, do pogwałcenia tabu nie trzeba już agresji – wystarczy znak zapytania. To rodzaj umiesienia, jakim nie cieszył się żaden suweren. Manna tajemnicy państwowej przenosi się na swoich depozytariuszy i uodpornia ich na zadawanie pytań w stopniu, który zależy od stopnia wtajemniczenia. Tak udziela im się dyspensy i stają się do-

słownie nieodpowiedzialni. W obrębie ukształtowanej z całą precyzją hierarchii zaszerogowuje się ich wraz z przywilejami w zależności od tego, jakie tajemnice państwowe znają. Masa poddanych nie ma tajemnic, a więc nie ma żadnego prawa do uczestnictwa w sprawowaniu władzy, do jej krytyki i kontroli.” (Hans Magnus Enzensberger, Przepięstwo i władza.)

Prawo indiańskie, chwalone z błogosławieństwem senatorów z PRD, a przy sprzeciwie posłów z tej samej partii, staje się nowym narzędziem kontrinsurekcji i posługuje za taran w „wojnie o niskim natężeniu” ze społecznościami indiańskimi, a także za środek wprowadzania i stymulowania podziałów między społecznościami. Rzecz jasna, ostatniego słowa jeszcze nie powiedziano. „Masa poddanych” nadal nie ma tajemnic, ale ujawniła już niejedną tajemnicę zimnych lochów władzy. Marszowi zapatystów udało się zaprezentować na scenie narodowej inny sposób pojmowania i uprawiania polityki – tym razem już nie w tej czy innej deklaracji, ale w działaniu społecznym i obywatelskim. Zaczęły realizować się nowe pojęcia obywatelstwa – takiego mianowicie, które stanowi i jest suwerenne – i partycypacji społecznej. Zapatyzm wycisnął piętą na życiu całego kraju. Nie ulega wątpliwości, że Indiański Kongres Narodowy skupi wokół siebie siły, które w całym kraju gotowe są do mobilizacji i akcji obywatelskiej przeciwko obecnemu prawu indiańskiemu.

KILKA SŁÓW NA ZAKOŃCZENIE

Na widnokręgu wylania się potrzeba budowy nowej siły politycznej, która u progu nowego stulecia ucieleśniałaby inaczej (na nowo) starą konieczność zmiany tego świata,

zmieniając urzeczowione stosunki polityczne – te zwłaszcza, w które uwikłana jest tradycja (lecz pozująca na nową) lewica; stosunki te służą kamuflowaniu realiów, których ukrywać już nie sposób. „Wielki paradoks egzystencjalny lewicy polega na tym, że przeczy swojej tożsamości i traci rację bytu dzieląc z prawicą taką samą ideę tego, czym jest polityka. (...) Łatwo więc zrozumieć, dlaczego lewica tylko nie będzie miała dziś nic do powiedzenia, ale również nie będzie miała przyszłości, jeśli nie zerwie z tego rodzaju teoretyczno-praktycznym sposobem pojmowania i uprawiania polityki.” (Jorge Stratos, Prawicowa idea polityki, którą podziela lewica.) Takiej nowej siły politycznej nie uda się, rzecz jasna, utworzyć bez bezpośredniego i czynnego udziału EZLN. Stąd ostatnia refleksja. Meksyk nie zasługuje na pozostawanie EZLN w podziemi. Czy to znaczy, że należy poprzeć uchwalone przez Kongres prawo indiańskie? Oczywiście, że nie. Czy to znaczy, że należy wznowić rokowania z rządem? Też nie. To znaczy, że należy podnieść stawkę i sprawić, aby władza droga zapłaciła za swoje prawo i za całą politykę i ideologię, za wszystkie „zwyczaje i obyczaje” tych, którzy żywią się „manna” władzy i dobrze na niej prosperują.

Niektórzy niecierpliwą się – co dalej? Cierpliwości – zapatyzm „zakreca, napiera, cofa się, okręzną drogę obiera i zawsze dociera”.

Antyszczyt w Warszawie



W dniach 28 – 30 kwietnia 2004 odbyło się w Warszawie spotkanie Europejskiego Forum Ekonomicznego. Na zaproszenie prezydenta Kwaśniewskiego przybyło kilkuset przedstawicieli świata polityki i wielkiego biznesu, głównie z Europy środkowo – wschodniej. Oczywiście sprawą było, że spotkanie to nie wniesie nic w poprawę naszego bytu, a wręcz przeciwnie. Bo przecież to z naszych kieszeni zasponsorowano uczestnikom forum drogi hotel i wykwitne jedzenie. Tematem ich rozmów nie było natomiast z pewnością debatowanie nad tym jak poprawić życie ludzi w naszym kraju, tylko uchwalenie kolejnych przepisów mających na celu ułatwienie przepływu kapitału i ciągle zwiększanie zysków.

Na szczęście wielu ludzi dawno doszło do tego, że organizowanie podobnych szczytów jest bezcelowe i

bezwocne. Postanowili oni pokazać społeczeństwu, że istnieje inna alternatywna forma, która dla świata może być lepszym rozwiązaniem. Dlatego równocześnie z odbywającym się EFE zorganizowano antyszczyt: Alternatywne Forum Ekonomiczne.

Na pierwszy dzień 28. 04. zaplanowano spotkania, wykłady i prelekcje na temat alternatywnego postrzegania gospodarki i ekonomii światowej. Prelekcje odbywały się niemal przez cały dzień i każdy kto tylko chciał mógł przyjść i posłuchać, aby dowiedzieć się czegoś nowego.

Następnego dnia tj. 29.04.2004 miała się odbyć demonstracja wszystkich przeciwników szczytu. Chcieliśmy w ten sposób wyrazić nasz brak akceptacji dla uchwalania praw i przepisów poza naszymi plecami, praw które zamiast służyć - szkodzą.

Na wiadomość o chęci zorganizowania protestu ulicznego zareagowały natychmiast władze Warszawy, które nie bez pomocy mediów, stworzyły histeryczną wręcz nagonkę na członków ruchu alterglobalistycznego. Przedstawieni zostaliśmy jako palący chęcią niszczenia i mordowania barbarzyńcy, którzy zjadą się z całego świata do stolicy, aby zmieść ją z powierzchni Ziemi. Niestety, prawie żaden dziennikarz czy też redaktor nie zadał sobie choćby najmniejszego trudu, aby przedstawić w mediach stanowisko drugiej strony. Nikt nie powiedział o tym co zamierzamy zrobić, albo o co walczymy. W telewizji non stop puszczali migawki z zamieszek w Pradze, Genui lub Seattle. Nikt nie chciał uwierzyć, że będziemy protestować pokojowo, do czego zresztą mamy całkowite prawo.

Ten propagandowy atak na nasze środowisko okazał się bardzo skuteczny, co można było zauważyć patrząc na warszawskie ulice w tamtym okresie. Na całej trasie zaplanowanego przemarszu demonstracji, wszystkie witryny sklepowe pozabijane były deskami. Taki właśnie widok ujrzelśmy wjeżdżając w czwartkowy rano 29.04 do Warszawy. Szczęśliwie udało nam się przejechać całą trasę z Łodzi do stolicy bez żadnej policyjnej kontroli. Pewnie dlatego, że wybraliśmy alternatywną trasę J. Z Łodzi wyjechaliśmy autokarem bardzo wcześnie. Mimo, że nie mamy przecież daleko, nie chcieliśmy ryzykować opóźnienia związanego właśnie z ewentualnymi kontrolami i celowym opóźnieniem nas przez policję. Nam się jednak poszczęściło ale większość ekip jadących na demo miała trochę kłopotów w czasie drogi. Po dotarciu na miejsce, udaliśmy się w rejon, z którego miała wyruszyć demonstracja. Ilość radiowozów, policjantów oraz latające nad głowami helikoptery były widokiem dość frapującym,

ale nie traciłmy nic ze swego animuszu. Z każdą minutą pojawiała się coraz więcej osób i powoli zaczęto formować ludzi w kolumnę, która miała przejść ulicami Warszawy.

Jako pierwszy stanął blok anarchistyczny, czyli nasz, a dalej za nami stanęły pozostałe ugrupowania alterglobalistów. Na czele stanęła kilkudziesięcio osobowa grupa Czarnego Bloku. Bezpośrednio za nimi ustawiliśmy się my, z naszym sztandarem FA i czarno – czerwonymi flagami. Na początek wysłuchaliśmy kilku przemówień, przedstawicieli min. Biedaszybów, pracowników fabryki kabli w Ożarowie i jeszcze kilku innych. Wreszcie nadszedł długo oczekiwany moment i ruszyliśmy. Po okolicy rozniósł się wielki krzyk „władza precz” niesiony setkami gardel. Wzdłuż drogi, na ulicy oraz z okien domów przyglądali nam się mieszkańcy Warszawy. Chcieli zobaczyć jak wyglądają ci strasni alterglobaliści, którzy przyjechali spalić im miasto. Wielokrotnie wolałoby do nich „Warszawiacy chodźcie z nami”, a oni się chętnie przyłączyli i szli razem z nami. Byli bardzo miło zaskoczeni i jednocześnie żli, że dali się nabrać oszustom sprawującym władzę. Usłyszeliśmy też bardzo wiele słów poparcia dla



tego co robimy, dla postawy, którą reprezentujemy. Dla mnie osobiście miało to dość duże znaczenie, gdyż oznaczało to, że to co robię, w co wierzę, jak staram się żyć i przekazywać to czym żyję innym, nie trafia w próżnię. Widziałem, że ci ludzie tego potrzebują, rozumieją to i doceniają. Zachęcaliśmy również mijanych po drodze



policjantów okrzykami „rzucicie pały, chodźcie z nami”, jednakże żaden z nich nie skorzystał z naszej propozycji J.

Praktycznie cała trasa przemarszu przebiegła bez żadnych komplikacji i ekscesów. Było co prawda kilka prób sprowokowania nas do wszczęcia zadymy, ale nieudanych. W radosnej atmosferze, wśród okrzyków, śpiewów i muzyki zmierzaliśmy ku miejscu zakończenia demonstracji. Pogoda nam dopisała, było ciepło i bezdeszczowo, ktoś z obserwatorów stwierdził nawet, że cały ten protest ma charakter wspaniałego pikniku. Po kilku godzinach chodzenia dotarliśmy w końcu do strefy, w której wszystko się miało zakończyć. Byliśmy trochę zmęczeni i wyczerpani, ale jak bardzo zadowoleni, że wszystko odbyło się tak jak zaplanowaliśmy, pokojowo, bez żadnych rozrób i zadym. Myślę, że jest to ważne dla nas, bo dzięki temu wielu zwyczajnych ludzi, zaczęło nas postrzegać zupełnie inaczej niż przed 29 kwietnia. To chyba dobrze dla naszego ruchu. Dobrze, żeby ludzie się nas nie bali tylko chcieli słuchać tego co mówimy i żeby to rozumieli.

I myślę, że przebieg demo trochę nam w tym pomógł.

Za pokojową demonstrację przyszedł nam podziękować również wiceprezydent W-wy. Cóż za hipokryzja!!! Jeszcze dzień wcześniej namawiał wszystkich do opuszczenia miasta i nie wychodzenia z domu, co by przypadkiem alterglobaliści, a zwłaszcza anarchości nie zrobili nikomu nic złego. Ale w końcu to polityk i takie zachowania to jego chleb powszedni.

Po tych kilku godzinach na nogach, w dość mocnym słończku, poczuliśmy się troszkę zmęczeni i straszliwie głodni. Na szczęście w autokarze czekała na nas w termosie gorąca zupka, którą poprzedniego wieczora kolektywnie ugotowaliśmy. Oczywiście wegetariańska! Ciepłe jedzenie zrobiło oczywiście swoje i zaraz każdy poczuł się dużo lepiej. Zajęliśmy swoje miejsca w autokarze. Mimo, że kilku z nas zostało jeszcze na następny dzień antyszczytu, to miejsca w autokarze zajęte były wszystkie, ponieważ zabraliśmy kilka osób, które wracały do Łodzi, a wcześniej do W-wy dojechały na własną rękę. Naturalnie głównym tematem rozmów były wydarzenia, w których jeszcze przed chwilą uczestniczyliśmy.

Cóż, to by było na tyle. Dodam jeszcze tylko od siebie, że jestem szczęśliwy, iż mogłem być tego dnia w W-wie, aby powiedzieć NIE. Jestem przecież wolnym człowiekiem i dlatego nie chcę, aby ktoś debatował nad tym jak mam żyć, co myśleć, jak się ubierać etc. Nie podoba mi się, że Ziemię i ludzi ją zamieszkujących sprowadza się do roli przedmiotów dostarczających niewyobrażalne pieniądze ludziom, którzy są zaledwie małym procentem całej ludzkości, a wydaje im się, że należy im się wszystko. Ja mówię im NIE. STOP DLA WASZYCH ZBRÓDNI. Nie zgadzam się, aby moje pieniądze wydawane były na wojny, zbrojenia, na bale dla bogatych darmożądów, zwłaszcza w czasach gdy w wielu krajach świata codziennie umierają setki ludzi i dzieci z głodu i pragnienia. Większość z tych nieszczęść ludzkości jest wynikiem prowadzenia globalnej, liberalnej polityki wysoko posta-

wionych obywateli zwanych dumnie elitą. Właśnie podczas szczytów takich jak WTO, AFE etc. debatują jak zwiększyć swe już i tak niewyobrażalne dochody kosztem prawa do wolności, zdrowia, a nawet życia ludzi takich jak ja, jak my. Dlatego musiałem być obecny, tam w W-



wie na ulicy, aby głośno krzyknąć „NIE! NIE DLA GLOBALNEGO WYZYSKU! WŁADZA PRECZ!”

Mam nadzieję, że był to pierwszy i ostatni szczyt jaki zorganizowano w Polsce, bo nas obywateli na to nie stać, zbyt wielu mamy w tym kraju głodujących. Jednak zdaje sobie sprawę z tego, że podobne szczyty organizowane będą w innych krajach lecz liczę na to, iż przeciwników szczytów będzie przybywało. Ja na pewno będę gotowy - gotowy, aby stanąć w szeregu z tysiącem innych ludzi, stanąć aby walczyć. Walczyć o mój świat, o Twój świat, o nasz świat.

Mariusz i Aneta



Święto Łodzi

Dnia chyba 16 maja w Łodzi zrobiliśmy na tzw. Pietrynie (główna ulica miasta) demonstrację w związku z ostatnimi poczynaniami policji, która to okazuje się być totalnie na luzie – może kogoś zjemy? - ok! Czemu nie? - między innymi chodzi o zastrzelenie koleśki w Poznaniu, który jak się później okazało miał w krwi śladowe ilości amfetaminy, co w sumie usprawiedliwia zrobienie spontanicznego plutonu egzekucyjnego i rozstrzelanie. Piloci amerykańscy latający na misje pokojowe (zrzucanie pokojowych bomb) w Iraku też dostawali amfetaminę, no ale oni musieli bo taki zawód... Inną ostatnią zbiorową zabawą psów babilonu był zbiorowy wpad na juwenalia. Sytuacja – tysiące studentów, których atakuje 20(!!!!) dresiarzy – kiboli. Zjawia się masa bastardów, którzy zabijają 2 osoby, bo im się pociśki popieprzyły... Nie wspomnę, że oboje dostali w dyńkę, chociaż glinem wolno strzelać do pasa... Inna ciekawostka, że zadna z zabitych osób to nie był kibol, jedna to dziewczyna, która sobie dorabiała sprzedając jakieś gofry czy inne buły, drugi był chłopak, który zwyczajnie przyszedł na juwki się pobawic. Jak się to skończyło dla glin, każdy wie. W TV i innych radiach wszystko poleciało na kibicow, wnioski w skrocie takie, że policji trzeba uprawnienia zwiększyć, co już jest w toku (m.in. Policjant do tej pory musiał strzelać tak, żeby nie zabić, a najwyżej zranić, teraz może już filmowo – w dyńkę). Potem różne dziwne rzeczy się w Łodzi działy, za szczyt których śmiejemy uważać zorganizowaną przez miasto demonstrację, gdzie różni ludzie znani różne bzdury gadali, m.in. Palant kropiwnicki – ukochany wódz – prezydent (odpowiedzialny m.in. za afery w Teatrze Nowym i za to, że w Łodzi nie ma Parady Wolności). Były jakieś transparense H.W.D.P., na mieście były napisy “Śmierć za śmierć” itp. Itd. Kiszka. Nikt nie zadał sobie podstawowych pytań – skąd się biorą pseudo-kibice? I w jaki sposób 20 osób jest w stanie streroryzować parę tysięcy? Dlaczego tak duża impreza nie była odpowiednio

zabezpieczona? Ale to są pytania niewygodne dla władz państwa, miasta, samorządu studenckiego odpowiedzialnego za organizację juwenaliów, więc lepiej pierdolić o złych kibicach.

Pomysły, co z tym zrobić były różne – od wlepek po fajczenie komisariatu. Stało, że zrobimy manifest w trakcie obchodów Dni Łodzi – takiego naszego lokalnego bzdurnego święta, żeby duże firmy mogły wyjść na ulicę ze stoiskami i się zareklamować. Zjawiliśmy się w 15 na tychże obchodach, z użyciem tuby i paru świeżo uczynionych transparentów przeszliśmy Piotrkowską od pasaży Schillera do Placu Wolności (ile u nas w Łodzi tej wolności – plac, parada...). Dookoła zabawa – jakieś sceny z występami zespołów, stoiska z pseudożarciem, stoiska, gdzie można sobie zbadać współczynnik xyz234 skóry (jak masz za niski, to jesteś podczłowiekiem), po prostu mega jarmark spektaklu. My drzemmy mordy ile sił, odczytujemy przemówienie. Od razu doleciały media – wypytały, wypytały, a potem w gazecie dali bzdurną notkę, opierającą się w 100% na jakimś moim komentarzu w stronę bawiących się ludzi. Doszliśmy do Placu Wolności, zwiniliśmy transparense i się zaczęliśmy powoli związać. Jak już się rozdzieliśmy, to podjechały dwa radiowowzy – przewaga liczebna znaczna – i zabierają się do spisywania. Jako niemiliwy dodatek pan i pani z kamerą, którzy po dwukrotnej odmowie podania nazwiska i imienia do kamery dopiero szcękneli, że są gliniarzami. Nie wspomnę, ile nacisków wymagało wyduszenie z nich okazania legitymacji. Wnioski są do bani, bo ludność była tak zajęta żarciem (przepraszam, konsumpcją) hotdogów z budki, oglądaniem najnowszego kremu zwiększającego jędrność piersi itp., że nie nikt do nas nie dołączył, nie poparł, nic. Nie wspomnę, że od studenciaków też nic się nie kwapiło przyleźć (choć wiedzieli), bo przecież odbębnili już swój obowiązek przyłączając na manifest kropiwnickiego...

Maciek



George'a W. Busha wojna z demokracją

Niedawno temu dowiedzieliśmy się, że mimo nieobecności broni masowego rażenia w Iraku wojna jest potrzebna, aby ustanowić w tym kraju demokrację. A tymczasem na naszych oczach po raz kolejny doszło do obalenia demokratycznie wybranych władz dzięki machinacjom "światowego strażnika demokracji", to jest Stanów Zjednoczonych. W czasach "zimnej wojny" takie praktyki były na porządku dziennym, ale teraz - zdaniem głównonurtowych mediów - należą już do przeszłości. Ale tak naprawdę przeprowadzane



są tylko w bardziej zakamuflowany sposób.

Haiti to wyspa cztery razy mniejsza od Polski, leżąca na wschód od Kuby. Znajdują się na niej dwa państwa: wschodnie dwie trzecie wyspy to Republika Dominikany, zamieszkała przez hiszpańskojęzycznych Mulatów, zaś jedna trzecia obszaru na zachodzie wyspy to Republika Haiti, kraj francuskojęzycznych Murzynów, przeludniony i cierpiący największą nędzę na całej zachodniej półkuli.

Nazwa wyspy wywodzi się z jednego z indiańskich narzeczy. Wkrótce po przybyciu Krzysztofa Kolumba na Antyle Hiszpanie założyli tu pierwsze kolonialne miasto w Nowym Świecie - San(to) Domingo (1494 r.). Z tego powodu cała wyspa była również nieraz tak nazywana. Od tego miasta pochodzi też nazwa Dominikany. Dwieście lat później zachodnie wybrzeża wyspy zostały zdobyte przez Francuzów, którzy pozakładali tu wielkie plantacje obrabiane przez sprowadzanych z Afryki czarnoskórych niewolników. W ten sposób powstała najbogsza z francuskich kolonii; podobnie jak w przypadku innych krajów Trzeciego Świata dzisiejsza nędza tego kraju to rezultat dwustu lat restrykcyjnego mocarstwa uprawiających gospodarczy imperializm.

Kiedy rewolucyjna Francja ogłosiła zniesienie niewolnictwa, Haitińczycy podeszli do tego bardzo na serio i wzięli swój los we własne ręce. Powstanie pod wodzą Toussainta L'Ouverture doprowadziło w roku 1794 do powstania niepodległej republiki wyzwolonych niewolników. Był to pierwszy (po Stanach Zjednoczonych) niepodległy kraj na półkuli zachodniej i zarazem pierwsze w dziejach nowożytnie państwo murzyńskie. Światowe mocarstwa, w których Czarni jeszcze przez dziesięciolecia mieli być niewolnikami, potraktowały je jako zniewagę dla swego honoru. Liberalny i postępowy prezydent USA, Tomasz Jefferson, odmówił Haiti międzynarodowego uznania, a Napoleon przy poparciu całego świata wysłał na wyspę chwilowo mu niepotrzebne Legiony Polskie w celu przywrócenia niewolnictwa i kolonialnego panowania Paryża. Zostały one pobite i zdziesiątkowane, lecz samozwańczy murzyński cesarz Haiti, Jean Jacques Dessalines okazał łaskę ich niedobitkom, które się potem przemieszyły z miejscową ludnością.

Krajowi temu dalej brakowało stabilności. Trwały walki o władzę między Murzynami a Mulatami, oraz walki z hiszpańskojęzycznym wschodem wyspy (oba kraje długo marzyły o panowaniu nad całością). Izolowana od świata republika pogrążała się w coraz większej nędży, tym bardziej, że za Restauracji Francuzi wymusili na Haitińczykach wypłacenie ogromnego okupu za swoją niezależność. Do dziś konsekwentnie odmawiają jego zwrotu. Nie posiadając żadnych innych tradycji poza życiem w niewoli i mętnymi resztkami feudalnych zwyczajów afrykańskich państwo to nie było w stanie wy-

kształcić innych form rządów niż bezwzględna tyrania. Każdy kolejny władca Republiki Haiti zachowywał się jak anegdotyczny kacyk, szerząc kult własnej osoby, niszcząc bezlitośnie swoich przeciwników i przelewając morze krwi. W końcu dochodziło do buntu, tyran był obalany, nowy przywódca ogłaszał wolność i swobodę, mordując wszystkich ludzi poprzedniego reżimu, a potem przylepiał etykietkę "zwolenników dawnego reżimu" wszystkim nieposłusznym i robił z nimi to samo. Cykl ten powtarzał się w nieskończoność.

Pod koniec XIX stulecia Haiti popadło w całkowitą zależność gospodarczą od Stanów Zjednoczonych, co niczego nie zmieniło na lepsze. Aby pokonać buntowników, wojska amerykańskie od 1915 r. przez dwadzieścia lat okupowały kraj, rozstrzelując swoich przeciwników, stosując tortury i zakładając obozy koncentracyjne. Później też działo się podobnie, przeludnienie doprowadziło do niewyobrażalnej wręcz nędzy i ciemnoty. Analfabetyzm cieszył się poparciem władz, gdyż dzięki temu haitańska biedota nie była w stanie skutecznie się bronić przed niewolniczą pracą za głodowym wynagrodzeniem. Pewne nadzieje ożyły w 1956 r., gdy prezydentem został cieszący się społecznym poparciem François Duvalier. Kiedy jednak już zasmakował we władzy, okazał się jeszcze gorszym tyranem od swoich poprzedników, a jego rządy można określić jako totalitarne. Po jego śmierci zastąpił go niezbyt rożgarnięty, ale równie okrutny synalek, którego żona, jedna z najbardziej zepsutych kobiet świata, demonstracyjnie pławiła się w luksusach. Dynastia ta nawet znalazła kapłanów swojego kultu, w postaci przywódców sekty voo-doo, mającej korzenie w tradycjach afrykańskich.

Popieranie osławionego klanu Duvalierów zaczęło w końcu być nie na rękę Amerykanom. Dlatego za ich milczącym przyzwoleniem rewolta ludowa w 1986 r. obaliła Jean-Claude'a Duvaliera. Dzięki temu wróciło w miarę normalne życie. Na czele buntu stanął jednak sługa dynastii, generał Henri Namphy, który - jak się szybko okazało - starał się głównie o to, aby na Haiti zmieniło się jak najmniej. Kilka lat później został obalony przez świetlejszych wojskowych, ale naród miał już tego dość. Pod wpływem wydarzeń w Europie Wschodniej doszło do masowych demonstracji, które zmusiły juntę do ustąpienia i rozpisania wolnych wyborów w 1990 roku.

Wygrał je charyzmatyczny ksiądz katolicki, obrońca biedoty i głosiciel teologii wyzwolenia - Jean-Bertrand Aristide. Po dziewięciu miesiącach jego rządów armia, przy cichym poparciu CIA (podczas gdy prezydent Bush senior przed kamerami oburzał się na obalenie demokracji) dokonała kolejnego przewrotu. Nowy władca Haiti, generał Raoul Cedras ze swymi szwadronami śmierci znów przelał wiele krwi i dokonał brutalnych pogwałceń praw człowieka.

A trzeba wiedzieć, że Haitińczycy, mimo skrajnego ubóstwa, analfabetyzmu i braku opieki socjalnej wcale nie byli jakimś bezwolnym tłumem, jak to skłonna byłaby sugerować oficjalna propaganda. Wręcz przeciwnie - stworzyli takie struktury wzajemnej samopomocy i oddolnego oporu, o jakich by tylko mogli marzyć aktywiści z krajów bogatych. Podczas dyktatury Cedrasa szwadrony śmierci tępiły takie ośrodki sprzeciwu, a jednym z najbardziej przeraźliwych aktów państwowego terroru była masakra w rejonie Raboteau, za którą stał Louis-Jodel Chamblain, jeden z przywódców obecnego puczu. Założyciel ówczesnych haitańskich szwadronów śmierci, Emmanuel Constant (co najmniej cztery tysiące morderstw), był instruowany (podobnie jak Chamblain) przez amerykańskich specjalistów w specjalnym obozie szkoleniowym na terenie Ekwadoru, pomimo że rząd USA w tym samym czasie oficjalnie uznawał juntę za nielegalną! A po cichu udzielał jej wsparcia ekonomicznego, łamiąc własne embargo.

Wreszcie, po trzech latach terroru, prezydent Bill Clinton chcąc umocnić swój image strażnika demokracji, zdecydował się na interwencję zbrojną pod auspicjami ONZ. W roku 1994 junta wobec międzynarodowej interwencji musiała się poddać, a do władzy z emigracji powrócił legalny prezydent Aristide.

Amerykianie dobrze wiedzieli, że nie jest to już ten

sam człowiek. Ze względu na przepisy prawa kanonicznego został zmuszony do zrzucenia sutanny, co spowodowało u niego głęboki kryzys psychiczny i poczucie niepewności. Poza tym wracając do władzy z łaski USA, musiał stać się większym "realistą" (czytaj: posłusznym wasalem Międzynarodowego Funduszu Walutowego), aby uzyskać międzynarodową akceptację.

Aristide zgodził się jednak na dyktat światowej finansjery w stopniu niezadowalającym. W odpowiedzi Amerykanie i Europejczycy zamiast władzom Haiti zaczęli udzielać pomocy "społeczeństwu obywatelskiemu" (czytaj: bogatym elitom bezpośrednio). Co sprawiło, że prezydent nie miał w budżecie pieniędzy nawet na najbardziej podstawowe świadczenia socjalne i musiał zapomnieć o swoich ambitnych planach reform społecznych. Państwowa burokracja została przeżarta przez korupcję, a nieuchronne w tej sytuacji protesty społeczne były tłumione przez władze brutalnie i bez skrupułów. Zresztą chyba w żadnym kraju na tym poziomie rozwoju nie dzieje się dużo lepiej, ale rzecz w tym, że co wolno klientom, to nie swawolnikom.

Poza tym nie wszystkie protesty społeczne były autentyczne. Wiele z nich wywoływali amerykańscy agenci oraz bonzowie poprzedniego reżimu, którzy na przykład strzelali do ludzi albo prowokowali krwawe zajścia, a winę za wszystko zwalali na Aristide'a. Osławiony od dawna szef policji, Guy Philippe, wespół z podobnymi sobie urządził kilka krwawych ataków na komisariaty i siedziby instytucji rządowych, po czym zbiegł do sąsied-



niej Dominikany, będącej posłusznym wasalem USA. Tenże pan Philippe jest wodzem obecnej rebelii. Wielka demonstracja studentka w stolicy kraju, Port-au-Prince, została zorganizowana w ten sposób, że jej uczestnikom wręczono łapówki lub obiecano zagraniczne wycieczki.

Wreszcie kilka tygodni temu wybuchł otwarty bunt "niezadowolonych watazków", jak mówią oficjalne media, tak naprawdę szkolonych i uzbrojanych przez Amerykanów. Ludzie odpowiedzialni za zbrodnie popełnione w czasie dyktatury Cedrasa po jego usunięciu zbiegli do Stanów Zjednoczonych i Dominikany, gdzie nikomu nawet nie śniło się o możliwości ich sądenia za cokolwiek. Podobnie autorzy bandyckich napadów na ludność, za które odpowiedzialność miała spaść na Aristide'a. Niektórzy z haitańskich "dysydentów" mieszkają od dziesięcioleci w USA i nie posiadają nawet haitańskiego obywatelstwa. Rzeczono "spontaniczny" bunt poległ na wkroczeniu dobrze uzbrojonej armii z Dominikany na terytorium Haiti. Podczas gdy armia rządowa posiadała tylko jeden jedyny helikopter, "buntownicy" byli wyposażeni w śmigłowce M-16, granatniki przeciwpancerne i inne nowoczesne uzbrojenie, jakiego nikt nigdy nie miał

na Haiti (a podejrzewam, że i w Dominikanie). Wszyscy analitycy twierdzą jednoznacznie, że to uzbrojenie pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. Przywódcy rebelii: Philippe, Chamblain, Constant i inni, to w ogromnej większości osoby odpowiedzialne za zbrodnie popełnione podczas rządów Cedrasa, bojówkarze szwadronów śmierci.

Wojna domowa sprawiła, że Amerykanie wysunęli propozycję rozmów pokojowych. Spodziewana odmowa władz miała w oczach świata usprawiedliwić nieprzejednaną postawę rebeliantów. Tymczasem Aristide zgodził się na tę propozycję. Rebelianci nie.

W momencie, kiedy pucyści zajęli już trzecie - Gonaïves, i drugie co do wielkości miasto kraju - Cap-Haïtien, prezydent Aristide złożył dymisję, mimo iż mieszkańcy dzielnic biedoty w Port-au-Prince byli gotowi

nieugięcie walczyć w jego obronie. Stan uzbrojenia obu stron i tak jednak przesądziłby o zwycięstwie rebeliantów, którzy mogliby w stolicy urządzić krwawą jatkę. Tymczasowym prezydentem został sędzia Sądu Najwyższego Boniface Alexandre. W tym momencie zdecydowano o wkroczeniu międzynarodowych wojsk rozjemczych pod patronatem USA. W stolicy nadal odbywają się demonstracje zwolenników Aristide'a, podczas jednej z nich policja zabiła sześć osób.

Nie jest to jedyny w ostatnich latach przykład obalania przez Amerykanów demokratycznie wybranych władz. Wydarzenia na Haiti zostały zrealizowane według scenariusza wypróbowanego nie tak dawno temu na Filipinach i w Wenezueli (z tym, że jak dotąd wenezuelskie pucze kończyły się fiaskiem).

Powszednie piekło Czechenii



Mimo całego medialnego szumu, jaki się wokół nich rozpełtał, trudno powiedzieć, że wydarzenia z Osetii zostały rzetelnie skomentowane przez środki masowego przekazu. Tzw. „tragedia w Bieslanie” najpierw została zwulgaryzowana przez bełkotliwy lament prasy brukowej, potem problem został spłycony przez naszpikowane natrętną propagandą probushowską dyskusje o światowym terroryzmie. Jeśli ktoś chciałby naprawdę zrozumieć przyczyny podobnych aktów terroryzmu, musiałby zrozumieć specyfikę czecheńskiego terroryzmu. A ten ma swoją genezę w krwawych rządach caratu, represjach bolszewickich, zbrodniach stalinowskich i wreszcie polityce powojennych władz Rosji, które pozostają wiernie polityce swoich przodków. Polityce, która już przeszło 160 lat konsekwentnie dąży do całkowitego unicestwienia narodu czecheńskiego.

W Czechenii nie ma kamer najbardziej opiniotwórczych kanałów informacyjnych, nie ma sześciogodzinnych relacji z miejsc tragedii. Zachodni dziennikarze są tu wpuszczani sporadycznie i traktowani z najwyższą niechęcią. „Zimą tego roku rosyjski oficer zażądał ode mnie skasowania sfilmowanej ulicy bo „tu wszystko jest tajne”” - pisze dziennikarka Rzeczpospolitej - Krystyna Korczab-Redlich. W Rosji, reporter to wróg, sprzymierzeniec terrorystów. Kreml zaciera ślady, utajnia, dezinformuje, a świat nie docieka. Czecheni walczyć samotnie ukryci w nieprzyjaznych górach Kaukazu...

W miastach czecheńskich brakuje wody pitnej. Nie ma gazu, elektryczności, przedszkoli dla dzieci. Po szarych

ulicach zniszczonych wiosek snują się ospale grupki rosyjskich żołnierzy. Znużeni, odcięci od cywilizowanego świata, grają w karty i piją wódkę wyżebraną od przyjezdnych. Na ponurych odludziach pograżonych w nędzę, brudzie i zakrzepłej nienawiści dziczej jeszcze bardziej niż swoje ofiary. Od przelożonych dostają dwie rzeczy: dzienny przydział amunicji i rozkaz pacyfikacji ludności. O resztę nikt nie pyta. Zdeprawowani żołnierze rosyjscy

gwałcą, mordują i okaleczają ludność cywilną. Władze Rosji patrzą przez palce a zbrodnie swoich żołnierzy. Według artykułu Radosława Rybińskiego „Pułkownik, który zgwałcił a potem zamordował czecheńską dziewczynę, czeka wprawdzie na proces, ale nie będzie odpowiadał za zabójstwo. Zostanie co najwyżej oskarżony o to, że zgwałcił zwłoki.” Na terenie Czechenii ciągle odkrywa się masowe groby. Zwłoki mają skrupowane ręce i dziurę z tyłu głowy. Nieliczni świadkowie przywożą z Czechenii przerażające obrazki dzieci okaleczonych przez zagubione bomby: sparaliżowanych, oślepionych, z oberwanymi dłońmi. Korczab-Redlich pamięta z Czechenii widok dziecięcego mózgu wystającego spod dziurawej czaszki i przejmujące opowieści cywilów, opowiedane ze łzami w oczach i nienawistną żądzą zemsty. „Rozmawiałam z piętnastoletnim świadkiem rozpruwania brzuchów dwóm żywym chłopcom czecheńskim, których wnętrzności pijani żołnierze rosyjscy rzucali psom...” - pisze dziennikarka. Tutaj codziennie dzieje się Bieslan...

Jeszcze gorzej sytuacja wygląda w obozach filtracyjnych (koncentracyjnych) rozsianych po terenie całej Czechenii. Tam, więźniowie są traktowani z najwyższym okrucieństwem. Szczecią psami, rażenie prądem, trzymanie żywych razem ze zwłokami to powszechnie stosowane metody. Do najwymiślniejszych kar należy przetrzymywanie więźniów w beczkach wypełnionych paliwem napędowym, obcinanie uszu i palców, a nawet gwałcenie kobiet przez specjalnie wyszkolone psy.

Sytuacja w Czechenii jest tak dramatyczna, że niedawno prezydent Aslan Maschadow wystosował do przywódców zachodnich list o następującej treści: „W imię ginącego

Polscy alterglobaliści mogą wyciągnąć z tych wypadków cenne wnioski. Przede wszystkim, tak zapalczywie sugerowane przez niektórych zakładanie partii i koncentrowanie się na działalności politycznej (w znaczeniu dążenia do zdobycia władzy) okazuje się drogą donikąd, zwykłym marnotrawstwem energii, z którego klasy uciskane nie mają żadnego pożytku, za to nowe grupy biurokratów otrzymują szanse na (nie zawsze uczciwe) wzbogacenie się. A w ostatecznym rozrachunku państwa narodowe i tak okazują się bezsilne wobec światowej finansjery, która już od dawna jest wobec nich władzą nadrzędną. Zamiast tego lepiej spożytkować nasze siły na wzajemną samopomoc, budowanie odpornych alternatyw i wywieranie nacisków na władze przy pomocy akcji bezpośrednich.

narodu, błagam Was byćście nie porzucali nas dłużej. Proszę Was byćście razem podjęli kroki, które doprowadziłyby do wznowienia negocjacji pokojowych i natychmiastowego zawieszenia broni gwarantowanego i nadzorowanego przez neutralne strony.” List pozostał bez odpowiedzi.

Świat już od dawna wykazuje się całkowitą obojętnością na sprawy Czechenii i pozostawia Rosjanom pełne pole do popisu w tej kwestii. W okazywaniu bezgranicznego poparcia dla prezydenta Putina, prym wiodą Stany Zjednoczone. George Bush ma parę powodów, żeby „nie przeszkadzać” Rosjanom. R. Rybiński twierdzi, że Amerykanie czują się dłużnikami Rosji, gdyż w czasie wojny w Kosowie Moskwa przeszkadzała im mniej niż się spodziewano.” Poza tym, świadome rozdmuchiwanie zagrożenia terroryzmem czecheńskim daje Bushowi potwierdzenie słuszności jego polityki, co jest cenne zwłaszcza w obliczu zbliżających się wyborów. „Niezawisimaja Gazeta” w ten sposób komentuje ciepłe stosunki Rosji z USA: „Konkretnym następstwem zbliżenia Moskwy i Waszyngtonu może stać się dawno oczekiwany targ - Irak w zamian za Czechenię.” Podobnie dwulicową postawę wobec Czechenii wykazuje Francja. Z właściwą sobie poprawnością polityczną, Jacques Chirac nazwał w 1999 roku drugą wojnę czecheńską „tragicznym błędem.” Nie przeszkodziło mu to jednak już w maju 2003 świętować w Petersburgu dołączenie Rosji do czołówki demokratycznych krajów, respektujących mniejszości narodowe.

Oczywiście, historia beznadziejnej walki narodu czecheńskiego może trwać nadal, tak jak trwa od dziesiątków lat. Czecheni mogą dalej się taplać w swojej codziennej tragedii, odcięci od świata i zapomniani przez swoich papierowych sprzymierzeńców. Mogą dalej nienawidzić, walczyć, mścić się i konać tak cicho, że Zachód nawet nie odwróci głowy. Ale wtedy możemy się spodziewać kolejnych zamachów - co najmniej tak strasznych jak powszednie piekło Czechenii...

Nat



Jak mówić prawdę i popaść w kłopoty

Jestem farmerem, hodowcą bydła czwartej generacji. Wychowałem się na farmie w Montanie, gdzie hodowałem krowy przez dwadzieścia lat. Wiem z doświadczenia jak wygląda hodowla fermowa i produkcja mięsa w USA - mam na ten temat informacje z pierwszej ręki.

Obecnie jestem prezydentem Międzynarodowej Unii Vegetariańskiej.

Z pewnością kiedyś lubiłem jeść steki - tak jak moi znajomi i sąsiedzi. Gdybyście jednak wiedzieli to, co ja wiem, o tym jak one powstają i co powoduje ich jedzenie, prawdopodobnie tak jak ja zostalibyście wegetarianami. I, wiercie mi lub nie, że jako wegetarianin, który nie konsumuje żadnych produktów zwierzęcych, mogę wam powiedzieć, że teraz jem więcej i jedzenie sprawia mi większą radość niż kiedyś.

Jeśli wciąż konsumujecie mięso, to powinniście wiedzieć, że macie coś wspólnego z większością krow, które zjadacie. One także jedzą mięso.

Kiedy zarzyna się krowę, blisko połowa masy jej ciała nie jest konsumowana przez ludzi: wnętrzności i ich zawartość, głowa, rogi, kopyta, jak również kości i krew. Te rzeczy (a także całe ciała chorych i zainfekowanych krow i innych zwierząt farmowych) są rozdrabniane, mielone i przetwarzane przez gigantyczne maszyny w specjalnych przetwórnach. Przetwórstwo tego rodzaju - to przemysł przynoszący dochód 2,4 miliarda dolarów rocznie, przetwarzający corocznie 40 miliardów funtów (tj. 18 mlrd kg) ciał martwych zwierząt.

Nie ma w Stanach Zjednoczonych zwierzęcia na tyle wyniszczzonego chorobą, przeżartego wrzodami czy rakiem, które nie mogłoby być powitane przez wszechobejmujące ramiona przemysłu przetwórczego. Innym, obok zwierząt farmowych, ważnym surowcem przetwórczym, są ciała uspijonych zwierząt domowych - sześć do siedmiu milionów psów i kotów, które corocznie zabija się w schroniskach dla bezdomnych zwierząt. Na przykład samo tylko Los Angeles wysyła miesięcznie dwieście ton uspijonych psów i kotów do zakładów przetwórczych. Do tego dochodzą jeszcze uspijone zwierzęta wyłapywane przez specjalizujące się w tym procederze firmy, oraz zwierzęta ginące na drogach. (ginące pod kołami samochodów zwierzęta nie są zbierane z dróg codziennie i latem ludzie zajmujący się ich zbieraniem zwykle, zanim je dostrzegą najpierw czują je węchem).

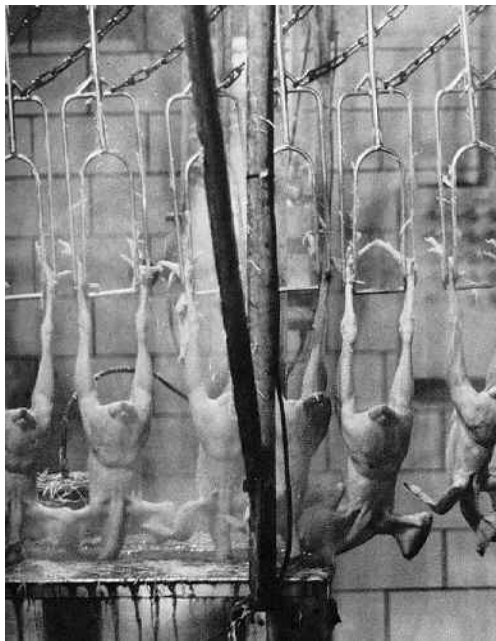
Ta makabryczna mikstura jest mielona, gotowana i odparowywana, po czym lżejszą, tłustą substancję wypływającą na powierzchnię poddaje się procesowi rafinacji i stosuje do produkcji kosmetyków, mydeł, świec, smarów i wosków. Cięższy ekstrakt białkowy zostaje wysuszony i zmielony na brązowy proszek, który składa się w 1/4 z fekalii. Proszek ten wykorzystywany jest następnie jako dodatek do prawie wszystkich rodzajów karmy dla zwierząt domowych jak również do paszy dla zwierząt farmowych. Hodowcy nazywają go "koncentratem białkowym". W 1995 roku pięć milionów ton odpadków z rzeźni zostało sprzedanych i przerobionych na paszę dla zwierząt w Stanach Zjednoczonych. Ja sam zwykle wykorzystywałem tony tego rodzaju paszy do karmienia mojego inwentarza żywego. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, że karmię krowy krowami.

W sierpniu 1997 roku, w odpowiedzi na zagrożenie ze strony "choroby szalonych krow" (czyli gąbczastego zwyrodnienia mózgu), amerykańskie Ministerstwo ds. Żywności i Leków (Food and Drug Administration - FDA) zatwierdziło nowe przepisy zakazujące karmienia zwierząt przeżuwiających białkami pochodzącymi od zwierząt przeżuwiających. Wprowadzenie w życie tego zarządzenia spowodowało, że krowy nie są już karmione kanibalistyczną karmą, jaką przygotowali dla nich ludzie. Nie jedzą już całych kawałków innych krow, owiec lub kóz, jakkolwiek wciąż przeżuwiają one sproszkowane ciała martwych koni, psów, kotów, świń, kurczaków czy indyków, jak również krew i fekalia własnego gatunku.

Około 75% z 90-milionowego pogłowia bydła amerykańskiego rutynowo karmione jest paszą "wzbogaconą" przetworzonymi częściami martwych zwierząt. Powszechnie jest także używane zwierzęcych ekskrementów do produkcji paszy, ponieważ przedsiębiorcy zauważyli, że jest to "rozsądny" sposób pozbycia się części z 1,6 milio-

na ton zwierzęcych odchodów produkowanych corocznie przez farmy hodowlane.

Na przykład w stanie Arkansas jedna, przeciętnej wielkości farma karmi corocznie swoje krowy ponad 50 tonami kurzych odchodów. Pismo U.S. News & World Report cytowało wypowiedź pewnego farmera z Arkansas, który ostatnio kupił 745 ton odchodów i odpadków kurzych zebranych na pobliskiej farmie. Po dodaniu do nich niewielkiej ilości otrąb sojowych i wymieszaniu całości, nakarmił tą mieszaną swoje stado 800 krow, co sprawiło, że stały się one, jak sam powiedział: "tłuste jak kluski". Następnie wyjaśnił: "Gdybym nie miał tych kurzych odpadków, musiałbym sprzedać połowę mojego stada. Inne rodzaje pożywienia są zbyt drogie". Przykład ten



zapewne pomoże zrozumieć osobom jedzącym mięso czym żywi się ich pożywienie.

Nie wiemy wszystkiego, o chcielibyśmy wiedzieć o skali, w jakiej konsumpcja chorych czy zakażonych zwierząt powoduje choroby u ludzi, lecz z pewnością wiemy, że niektóre z nich - na przykład wścieklizna - są przenoszone ze zwierząt gospodarskich na ludzi. Wiemy, że zatrucia pokarmowe przenoszone są powszechnie przez takie mikroorganizmy jak bakterie E. coli (ich obecność w pożywieniu jest skutkiem zanieczyszczenia żywności zwierzęcymi odchodami), które powodują śmierć 9 000 Amerykanów rocznie. Wiemy też, że około 80% wszystkich zatruc pokarmowych powoduje zakażone mięso. Obecnie możemy już być pewni także i tego, że "choroba szalonych krow", która nawiedziła stada brytyjskich krow, może atakować też inne gatunki i być przyczyną powstania nowej odmiany choroby Creutzfeldta-Jakoba, zawsze fatalnej w skutkach i niszczącej ludzki mózg.

Zabawne rzeczy mogą zdarzyć się kiedy zaczniesz w USA mówić ludziom prawdę. Możesz wtedy trafić do sądu. W kwietniu 1996 roku uczestniczyłem w programie TV pt. The Oprah Winfrey Show. Pamiętam, jak siedząc wówczas w studiu patrzyłem na mocno zdziwione miny ludzi, którzy po raz pierwszy dowiedzieli się, że krowy karmi się dietą kanibalistyczną. Właśnie teraz - wyjaśniłem - robimy dokładnie to samo, co robili brytyjczy hodowcy, którzy od dziesięciu lat zmagają się z "chorobą szalonych krow" (bardziej dyskutując o tej chorobie, niż rzeczywiście dokonując istotnych zmian). Kilkaset krow hodowanych w Stanach Zjednoczonych jednej nocy wygląda na zdrowe, a następnego ranka znajduje się je martwe. Większość z tych krow przerabia się na paszę, którą następnie karmi się inne krowy. Jeśli tylko jedna z nich jest chora na "chorobę szalonych krow" - może potencjalnie zarazić tysiące innych osobników. Także prowadząca program Oprah Winfrey była zaskoczona moimi słowami i powie-

działa: "Krowy są zwierzętami trawożernymi. Nie powinny one zjadać szczątków innych krow... to po prostu powstrzymuje mnie od zjedzenia następnego hamburgera".

W studiu oprócz mnie był reprezentant Krajowego Związku Hodowców Bydła, dr Gary Weber, którego zadaniem było zapewnienie oglądającej program publiczności o tym, że mięso jest absolutnie bezpiecznym pożywieniem. Żał mi było tego jęgomościa - miał on nadzwyczaj trudną rolę do odegrania. Nie był w stanie zaprzeczyć moim zapewnieniom, że krowy karmi się krowami, lecz lekceważąc ten fakt nie czuł się zbyt pewnie siedząc przed wpatrującą się w niego publicznością. Podczas przerwy w nagrywaniu wyraził swoje prywatne zdanie zgadzając się ze mną, że nie powinniśmy dodawać zmielonych kawałków krow do zwierzęcej paszy.

W czerwcu 1996 roku grupa hodowców bydła z Teksasu wytoczyła proces mnie i prowadzącej ten program Oprah Winfrey, a także jej wytwórni filmowej "Harpo Productions", oskarżając nas o dyskredytowanie produktów żywnościowych. Hodowcy z Teksasu oraz tamtejszy pełnomocnik rządu ds. rolnictwa widocznie wierzą, że Pierwsza Poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych gwarantująca wolność wypowiedzi, nie może być interpretowana tak szeroko, by dawała ludziom możliwość wypowiadania krytycznych opinii pod adresem wołowiny. Wskazując na możliwe załamania handlu byłem, wnoszący pozew oskarżył mnie o wygłaszanie "oszczerczych twierdzeń" o bydło i wołowinie, które spowodowały, że musieli oni cierpieć "wstyd, upokorzenie, zażenowanie, psychiczny ból i udręk".

Według prawa obowiązującego w Teksasie, regulującego kwestie dyskredytowania żywności, ciężar udowodnienia racji spoczywa w dużym stopniu na barkach obrońców. W styczniu 1998 roku, w mieście Amarillo w Teksasie został zwołany sąd przysięgłych, mający między innymi określić, na ile moje stwierdzenia odbiegały od "uzasadnionego i rzetelnego naukowego zbierania faktów, informacji i danych" - jest to standardowy proces dowodzenia, który kompletnie ignoruje fakt, że w środowisku naukowców zawsze istniały nieporozumienia w większości ważnych kwestii i z pewnością kontrowersje takie istnieją obecnie w przypadku "choroby szalonych krow". Pamiętam jak ostatnio czytałem o pewnej kontrowersji, jaka pojawiła się w XIX wieku na Węgrzech, kiedy to dr Ignaz Semmelweis zasugerował, aby studenci medycyny obowiązkowo myli ręce przed odbieraniem porodów - zwłaszcza, że wielu z nich przychodziło do sal porodowych prosto z sal operacyjnych. Dr Semmelweis został wtedy bezpardonowo zaatakowany za swoje radykalne poglądy, lecz przynajmniej nie musiał stawiać czoła żadnym przepisom prawnym zakazującym dyskredytowania zarzków.

Trzydzieści stanów amerykańskich posiada przepisy prawne zakazujące dyskredytowania żywności. W Kolorado osoby publicznie dyskredytujące dane produkty żywnościowe mogą nawet trafić za to do więzienia. Te przepisy prawne dotyczą najczęstszych ataków na gwarantowaną przez Pierwszą Poprawkę konstytucyjną wolność słowa i skutecznie zwracają uwagę wszystkim adwokatom konsumentów, że cokolwiek chcieliby powiedzieć głośno o jakimkolwiek aspekcie związanym z "bezpieczną" żywnością, może to przynieść im proces sądowy kończący się dla nich bankrutem.

Oprah Winfrey i ja zostaliśmy zaszczytzeni faktem, że nam jako pierwszym wytoczono proces z tytułu łamania obowiązujących w Teksasie przepisów dotyczących dyskredytowania żywności. Po przeszło roku od oskarżenia nas, rozpoczął się drugi proces oparty na tym prawie - wytoczony przez hodowców strusi emu przeciwko firmie samochodowej Honda, która w swojej reklamie emitowanej w TV komercyjnej, ośmieszała strusie emu. Ceny tych ptaków obniżały się latami; podejrzewam, że hodowcy strusi odczuwali cichą satysfakcję ze znalezienia kozła ofiar nego w postaci zasobnej finansowo Hondy, którą można było obwinąć o spadek cen strusi. Wydaje się, że ostrożności w wypowiadaniu się na temat bydła i strusi emu nigdy nie za wiele - przynajmniej w Teksasie.

W ciągu kilku miesięcy od mojego występu w programie

Oprah Winfrey, który spowodował burzę dyskusji i sporów w Stanach Zjednoczonych, FDA wydało nowe rozporządzenia mające wyeliminować proceder karmienia zwierząt przeżuujących dietę kanibalistyczną. Wdrożenie w życie tych rozporządzeń zostało opóźnione aż do zakończenia wyborów prezydenckich w 1996 roku, najprawdopodobniej po to, by nie drażnić hodowców. W końcu w sierpniu 1997 roku zakazano karmienia zwierząt przeżuujących zwierzętami przeżuującymi - konieczny, lecz niewystarczający środek zapobiegający rozpowszechnianiu się "choroby szalonych krów" w USA został wreszcie wprowadzony.

Większość liczących się w tym kraju mediów rozpoczęła wielką kampanię reklamową opłacaną przez przemysł mięsny i mleczarski. Po moim wystąpieniu w The Oprah Winfrey Show, dowiedziałem się, że Komitet Promocji Wołowiny wydał ponad 600 tysięcy dolarów na reklamę swoich produktów. Bardzo rzadko można spotkać tak znaną jak pani Oprah osobistość ze świata mediów, która chciałaby z odwagą i uczciwością stawić czoło "grubym rybom", przedstawicielom wielkiego biznesu. Nigdy nie zapomnę, jak w dniu, w którym kręciliśmy program, Oprah powiedziała mi na osobności, że oglądała kilka razy film "Babe - świnka z klasą", wskutek czego przestała jeść wieprzowinę. Po naszym programie przestała także jeść wołowinę.

Jeśli zostanie wam kiedykolwiek wytoczony proces o dyskredytowanie wołowiny, niech zdrowy rozsądek podpowie wam, byście wybrali jakiegokolwiek miejsce rozpraw, byle nie było to Amarillo w Teksasie. Amarillo dosłownie jest całe wypełnione krowami; przemysł mięsny ma tutaj roczny budżet rzędu 3 miliardów dolarów. 25% amerykańskiego bydła jest tużeczone w Amarillo, zanim trafi na rynek. Największym prywatnym pracodawcą w tym mieście jest rzeźnia. Freski przedstawiające bydło ozdabiają gmach tujejszego sądu. Amarillo jest także rodzinnym miastem Paula Englera - właściciela farmy będącej jednym z powodów w procesie przeciwko mnie i Oprah Winfrey.

Memorandum wydane przez prezydenta Izby Handlowej w Amarillo, na prawie dwa tygodnie przed rozpoczęciem procesu, przypominało wszystkim zainteresowanym tą sprawą, że Izba Handlowa "w pełni popiera hodowlę bydła i produkcję wołowiny" i że nie powinno się "rozwiać czerwonego dywanu przed Oprah Winfrey". Z powyższych przyczyn, nasz adwokat złożył w sądzie wniosek, w którym prosił o zmianę miejsca prowadzenia procesu - z Amarillo na bardziej neutralne terytorium, takie jak Dallas. Wniosek ten został odrzucony. Mój adwokat uznał to za niepowodzenie i przejaw wrogości sądu wobec naszej strony, lecz mnie niezbyt to zmartwiło. Cieszyła mnie myśl o zwycięstwie nad moimi oponentami w ich własnym domu. Jeśli ja i Oprah Winfrey zdołalibyśmy wygrać proces w Amarillo, nasze zwycięstwo byłoby jeszcze słodsze.

Oprah zdołałaby z łatwością zapłacić miliony dolarów, których domagał się oskarżyciel, lecz będąc osobą ambitną, postanowiła walczyć o swą reputację i o prawo do wolności słowa. Na czas trwania procesu przeniosła swoją wytwórnię filmową z Chicago do Amarillo. Reporterzy zbiegali się do niej jak pszczoły do miodu. Jednakże ani ona, ani ja nie mogliśmy podejść do mikrofonów, gdyż sędzina Mary Lou Robinson nałożyła na obie strony zakaz udzielania wywiadów na czas trwania procesu. Dzień po dniu w telewizyjnych wiadomościach można było zobaczyć Oprah wchodzącą lub wychodzącą z gmachu sądu, najwyraźniej ignorującą przybliżane do niej kamery. Z jakichś powodów, prasa wykazywała mniejsze zainteresowanie moją osobą.

Przez dwa dni składałem zeznania jako świadek. Przepisy zakazujące dyskredytowania żywności, o łamanie których

zostaliśmy oskarżeni, czynią człowieka odpowiedzialnym jeśli rozgłasza on informacje, które "stwierdzają lub sugerują", że jakieś "psujące się produkty żywnościowe mogą stanowić niebezpieczeństwo w przypadku skonsumowania ich przez ludzi" i jeśli ta informacja zostanie uznana przez sąd za fałszywą, zgodnie z "racjonalnymi i rzetelnymi informacjami naukowymi, faktami i danymi", adwokat powoła musiał najpierw określić, czy ja rozpowszechniałem takie "fakty?". Następnie powinien udowodnić, że te fakty były "fałszywe" oraz to, że ja wiedziałem o tym, iż były fałszywe. Ale ja po prostu zaprzeczyłem, że moje ostrzeżenia przed rozpowszechnianiem się "choroby szalonych krów" w Stanach były "faktami". Powtórzyłem kilka razy, że wyrażałem w tej kwestii tylko moją opinię. Osobiście jestem przekonany, że moje ostrzeżenia, iż praktykowanie krowiego kanibalizmu mogłoby mieć tragiczne skutki, nadaje się do rozpatrywania raczej w kategoriach "opinii" niż "faktu". Jak w ogóle można mówić o faktach mających nastąpić w przyszłości? Konceptcja, że odpowiedzialność warta miliony dolarów może zależeć od takich rozróżnień, zagraża rzetelnej dyskusji. Doświadczenia jakie zdobyłem podczas składania zeznań w sądzie, były dla mnie czymś bardzo osobliwym - nawet nie podejrzewałbym, że może się to zdarzyć w USA. Musiałem odpowiadać na pytania takie jak: "Czy ktoś kiedykolwiek powiedział ci, że jesteś nieodpowiedzialny?" Odpowiadałem w sądzie pod przysięgą. Nie mogłem kłamać. "Moja żona" - odpowiedziałem.

Kiedy Oprah zaczęła składać zeznania, nazwała ten proces "najbardziej bolesną rzeczą, jakiej musiała doświadczyć". Następnie dodała: "Czuję w głębi swego serca, że nigdy nie wyrządziłam krzywdy żadnej ludzkiej istocie". Wierzę w to, co powiedziała. W czasie trwania procesu, zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz sali sądowej, nigdy nie słyszałem, aby źle wypowiadała się o kimkolwiek - nawet o hodowcach bydła, którzy ją zaatakowali, kwestionując jej uczciwość i podważając jej reputację. "Ja po prostu nie rozumiem, dlaczego tutaj jestem" - mówiła często. Jak podkreślała w zeznaniach, do uczestnictwa w swym programie zaprosiła dwóch gości, aby zaprezentowali swój punkt widzenia w kwestii przemysłu mięsnego. Co więcej - pozwoliła jednemu z nich, dr Weberowi, by kontynuował swą wypowiedź w programie bez mojego w nim udziału, czy też bez udziału jakiegokolwiek osoby mogącej zaprzeczyć jego poglądom. Na zdrowy rozum rzeczywiście trudno byłoby oskarżyć Oprah o stronniczość i knucie jakiegoś "anty-wołowego" spisku, a mimo to była ona w Amarillo oskarżona właśnie o coś takiego.

Pan Engler, nasz oskarżyciel, zaczął swoje wystąpienie od złożenia zeznania, w którym stwierdził, że nigdy nie wszcząłby tego procesu, gdybym ja zakwalifikował moje stwierdzenia jako "opinie". Powiedział on, że dr Weber nie był do tego samego zobowiązany, ponieważ jego wiarygodność jest większa od mojej - z racji posiadania przez niego tytułu naukowego oraz tego, że nie jest on wegetarianinem. Mój obrońca podkreślił, że między panem Englerem i mną występują pewne podobieństwa: obaj jesteśmy absolutnymi wyższej uczelni rolniczej i obaj byliśmy kiedyś hodowcami bydła, którzy sprzedali swoje krowy by spłacić długi. Dlatego mój obrońca zadał pytanie: "Gdyby pan pojawił się w telewizyjnym talk-show, czy wówczas musiałby pan powiedzieć, że wyraża tylko jakieś opinie?".

"Nie" - odpowiedział Engler.

"Czy zatem jakaś istotna różnica między panem a panem Lymanem powoduje, że nie zgadza się pan z nim?" - zapytał mój obrońca.

"Nie, proszę pana. Trudno powiedzieć" - odrzekł Engler, a po krótkiej pauzie wyjaśnił: "Pan Lyman jest kłamcą".

Jednak sąd nie kupił jego logiki. 26 grudnia 1998 roku długi czas ciężkiej próby dobiegł końca: sąd po 6-godzinnej

naradzie uznał nas za niewinnych i oczyścił z wszelkich zarzutów. To był piękny dzień w moim życiu, pełen radości, która powstaje z ulgi oczyszczenia się z zarzutów. Jednak są jeszcze większe powody do radości - nie życzylibym przegrania tego procesu mojemu największemu wrogowi. Zważywszy fakt, że w trzynastu stanach trwają obecnie procesy o dyskredytowanie żywności, a w czterestu innych - jak mi wiadomo - takie procesy mają zostać wszczęte, to wygrany przez nas proces w Amarillo, który odbił się głośnym echem w całym kraju, stał się przysłowiowym kijem włożonym w mrowisko. Ufam też i wierzę, że obecnie obowiązujące przepisy prawne zakazujące dyskredytowania żywności będą wkrótce uznane za sprzeczne z konstytucją.

Mogę powiedzieć wam, jako były, rzekomy obrazoburca żywności, że za absurdem prawa zakazującego dyskredytowania żywności stoi paskudna rzeczywistość. Amerykańscy obywatele zostali wychowani w przeświadczeniu, że ktoś za nich baczenie dogląda kwestii bezpieczeństwa żywności. Niemila rzeczywistość wygląda jednak tak, że upoważnionymi do ochrony jakości produktów żywnościowych są biurokraci z amerykańskiego Ministerstwa Rolnictwa (U.S. Department of Agriculture - USDA) oraz FDA, którzy nie zachowują się jak rzecznicy interesu publicznego, lecz są jak płatni najemnicy, wydłużone macki przemysłu mięsnego i mleczarskiego.

Moje życie jako farmera hodującego bydło na swoim rancho potoczyło się dziwnymi torami: byłem człowiekiem, który kiedyś tuczył w klatkach cielęta, a potem musiał frustrować się waszyngtońską polityką i który pasjonował się zdobyciami nowoczesnego rolnictwa, by potem zostać oskarżonym przez jego przedstawicieli. Wcale nie udaje, że znam znaczenie każdego wyboju na drodze, którą podróżuję.

Czasami czuję, że pierwszą połowę tej drogi przeżyłem w zupełnej nieświadomości. Mogę jednak powiedzieć z całą pewnością: wszystkie drogowskazy na mojej drodze dotyczyły aspektu zdrowia. Za każdym razem, gdy instynktownie dokonywałem wyboru związanego z polepszeniem stanu mojego zdrowia fizycznego, było to tak, jakby nowe promienie światła zaczynały oświetlać mi coś dotąd nieznanego, co okazywało się wspaniałe i zdumiewająco proste.

Książkę tę pisałem przede wszystkim z chęci podzielenia się wiedzą o tym, jak najlepszy wybór w kwestii naszego osobistego zdrowia może okazać się najlepszym wyborem dla całego świata, który zamieszkujemy.

Dla zbyt wielu Amerykanów pierwszą, świadomie podejmowaną decyzją dotyczącą własnego zdrowia jest desperacki wybór pomiędzy operacją wstawienia by-passu a angioplastyką lub pomiędzy chemioterapią a radioterapią. W rzeczywistości jednak, świadomie lub nieświadomie, każdego dnia podejmujemy decyzje, które mogą prowadzić nas albo w kierunku ponurych i zatrwających wyborów, albo w kierunku tych bardziej dla nas korzystnych i szczęśliwych. Robimy to oczywiście za każdym razem, kiedy decydujemy, jaki rodzaj "paliwa" wlewamy do swych ciał.

Abymy mogli dokonywać wyborów, będąc lepiej poinformowanymi, musimy zacząć od przedstawienia faktów.

**Wstawienie by-passów (inaczej: pomostowanie) polega na wstawieniu fragmentu naczynia (zazwyczaj własnego) do naczyni wieńcowych z pominięciem chorego fragmentu. Angioplastyką - nazywa się rozszerzenie balonikiem zwężonego naczynia lub zastawki bez otwierania serca (przyp. red.).*

Źródło:
Roman Rutowski

Znów minus jeden

2. czerwca br. zmarł jeden ze współautorów zbioru „Moje miasto” (Instytut RS@, Gdańsk 2002) – Marek „Duże Człowieki” Kluciński. Zwiqzany najpierw z Warszawą, gdzie się urodził w r. 1948 i gdzie odsiedział wyrok za udział w buncie studenckim roku 1968, ostatnie kilkanaście lat życia spędził w Lublinie.

Był twórcą ruchu Mail Art, poetą, reportażystą, tłumaczem i informatykiem. Z chwilą reaktywowania międzynarodowej ekipy fluxusu „Double Travel” (D.T.) we wrześniu 1999 roku, został jej członkiem. Jako dziennikarz i redaktor techniczny współtworzył od lutego 2000 „Ulicę Wszystkich Świętych”.

Decyzji powrotu do Polski z odległej Australii, gdzie przebywał na emigracji (nieco wcześniej był kurierem i wydawcą podziemnej „S”) zawał od lat. Myślał o ponownym wyjeździe. Nie zdążył.

Pogrzeb Marka odbył się w Lublinie 9. czerwca. Odszedł jeszcze jeden człowiek prawdziwy.

Za „Ulicę...” i D.T.: „Lu” Soroka